

JULIA PRZYŁĘBSKA
CZŁOWIEK WOLNOŚCI 2017

PRZEWIDUJEMY:
CO SIĘ WYDARZY W NOWYM ROKU

NR 1 (266) 2018 28 XII 2017–7 I 2018 CENA: 7,90 zł (W TYM 8% VAT)

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

JACEK SARYUSZ-WOLSKI
W SENSACYJNYM WYWIADZIE

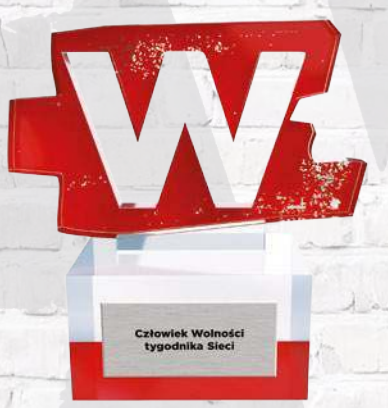
TO OPOZYCJA I TUSK ZAMÓWILI ATAK NA POLSKĘ

„BŁAGALI, DOMAGALI SIĘ, SUFLOWALI, PROSILI, NADZOROWALI, DYRYGOWALI. BEZ TEGO UNIA NIC BY NIE ZROBIŁA. WIDZIAŁEM TO”

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

Człowiek Wolności tygodnika SIECI

MAMY LAUREATA!



JUBILEUSZOWA
V EDYCJA PLEBISCYTU



TYTUŁ CZŁOWIEKA WOLNOŚCI 2017 TYGODNIKA „SIECI" OTRZYMUJE

JULIA PRZYŁĘBSKA

PREZES TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO

O laureatce czytaj na stronie 6

Partnerzy plebiscytu

ALIOR BANK
ORLEN
PGNiG
Bank Polski
PZU

eprasa.pl 150ab1bc81



Polska nie mogła ustąpić

To nie przypadek, że Komisja Europejska uruchomiła art. 7 niedługo po powołaniu nowego premiera: to miał być pokaz siły i arogancji. Przekaz jest jasny: nie ma mowy o żadnym dialogu, o żadnym nowym otwarciu. Albo robicie to, co chcemy, albo otwarta wojna. Konkretne żądania nie pozostawiają złudzeń. Na przykład w odniesieniu do KRS Komisja żąda, by... jej członków wybierali sędziowie, a nie posłowie. Ma być więc dokładnie tak, jak było. Reforma może mieć co najwyżej kosmetyczny, a nie systemowy charakter.

Ta ścieżka nie doprowadzi Komisji ani do odebrania Polsce prawa głosu, ani do sankcji. Napiętnowanie naszego kraju ułatwi jednak inne działania nękające, w tym próbę obcięcia funduszy. Obóz rządzący nie miał jednak wyjścia – gdyby Polska zrezygnowała pod tak ostentacyjną presją z naprawy dziedziny jasno przypisanej w traktatach państwom członkowskim, zgodziłaby się na degradację do roli swoistego protektoratu. Dlatego prezydent już kilka godzin po decyzji Komisji zapowiedział podpisanie ustaw. Nasz komunikat też był jasny: nie damy się zastraszyć, tak rozmawiać nie będziemy.

Co dalej? Przede wszystkim trzeba szybko przeprowadzić reformy zapisane w ustawach. Trzeba także zrobić wszystko, by zapewnić sobie wsparcie możliwie wielu państw podczas głosowania nad art. 7. Trzeba też dbać o jedność obozu rządzącego i poparcie dla niego, bo to argument nie bez znaczenia. I czekać, bo gdy twardogłowi nie osiągną sukcesu, może nadejść czas gołębi.

Jacek Karnowski

Stracony rozum

Gdyby uznać liczbę protestów za miarę oszołomstwa, to okaże się, że obecna antypisowska opozycja bije dawną prawicę o kilka długości. Wzmożenie trwa nieustannie od chwili, gdy PiS objęło władzę, a więc już ponad dwa lata. Być może to wzajemna gra na przetrzymanie: prawica nie reaguje, żeby nie dolewać oliwy do ognia, druga strona – przeciwnie – jest zdeterminowana, aby podgrzewać emocje aż do upadłego. I im bardziej przegrywa bitwę o społeczną sympatię, tym częściej przekracza kolejne granice.

Z każdym dniem narasta wulgarny atak na każdego, kto wspiera dobrą zmianę: od reporterki TVP począwszy, na urzędującym prezydencie skończywszy. Szaleńców dzieli już tylko krok od napaści fizycznej. Skala rozpętanej nienawiści zaczyna się bowiem zbliżać do niebezpiecznego poziomu. A cynicznie rozbujane emocje mogą pewnego dnia doprowadzić do tragedii.

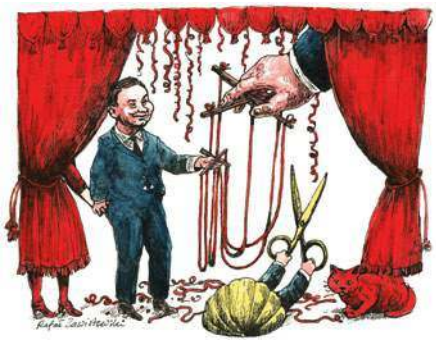
W internecie pojawiają się wpisy całkiem otwarcie nawołujące do rozróby. Jeden z nich, umieszczony niedawno na Twitterze przez użytkowniczkę podpisującą się jako Olga Szymkiewicz (jak się potem okazało, panią anestezjolog z Paryża), brzmiał następująco: „Obawiam się, że aby wyzwolić Polskę, będzie musiała polać się polska krew! Oby to była krew pisowska!". Jeszcze trochę takiej retoryki, a pojawi się jakiś kolejny Ryszard Cyba, który zacznie „wyzwalać Polskę" z rewolwerem w ręku.

Konrad Kołodziejski

47/1017/F, 51/1017/F, 49/1017/F, 55/1017/F, 60/1017/F

eprasa.pl 150ab1bc81

SIECI spis treści



31 Szopka noworoczna
Krzysztof Feusette



54 Przyszłość Morawieckiego
Stanisław Janecki



67 Z Waldemarem Dąbrowskim
rozmawia Adam Ciesielski

CZŁOWIEK WOLNOŚCI

6 **JULIA PRZYŁĘBSKA**
Bronisław Wildstein

NA POCZĄTEK

10 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

12 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

14 **LUDZIE, KULTURY!**
Krzysztof Feusette

15 **TRENDY I OWĘDY**
Ryszard Makowski

15 **KORSUN CHILI KORSUN**
Paweł Korsun

16 **ROK 17. BITWA O SPRAWIEDLIWOŚĆ**
Jan Pietrzak

17 **NIEPOPRAWNY AUTYZM**
Bronisław Wildstein

18 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

19 **ODKURZONE PIĘKNO**
Marta Kaczyńska

20 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

21 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

22 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

24 **KARA ZA TRÓJMORZE**
Maciej Pawlicki

26 **Z JACKIEM SARYUSZ-WOLSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

SZOPKA

31 **BAL U PREZYDENTA**
Krzysztof Feusette

PROGNOZY

36 **POLITYCZNY ALFABET 2018 r.**
Jan Rokita

40 **Z PROF. NORBERTEM MALISZEWSKIM**
rozmawia Konrad Kołodziejski

44 **LA PLATA WPADA DO TYBRU**
Grzegorz Górny

47 **JAK ZMIENI SIĘ KLIMAT**
Przemysław Barszcz

KRAJ

50 **Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ**
rozmawia Jacek Karnowski

54 **PRZYSZŁOŚĆ MORAWIECKIEGO**
Stanisław Janecki

57 **REKONSTRUKCJA PO POLSKU**
Piotr Skwieciński

60 **Z PAWŁEM BORYSEM**
rozmawia Edyta Hołdyńska

64 **SZANTAŻ SOWIECKIEGO PUŁKOWNIKA**
Marek Pyza

NA NOWY ROK

67 **Z WALDEMAREM DĄBROWSKIM**
rozmawia Adam Ciesielski

72 **K2 DLA POLAKÓW?**
Jaromir Kwiatkowski

76 **„GWIEZDNE WOJNY". NOWE OTWARCIE**
Łukasz Adamski

80 **Z ANNĄ JAKI**
rozmawia Dorota Łosiewicz

84 **Z KS. PROF. WALDEMAREM CHROSTOWSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy – część druga

87 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

88 **JAK FRANCJA ŻEGNAŁA JOHNNY'EGO HALLYDAYA**
Bernard Margueritte

90 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

92 **POLECA**
Łukasz Adamski

94 **TYLKO CHWILE**
Krzysztof Logan Tomaszewski

96 **DOOKOŁA EUROPY**
z Krystyną Grzybowską

GOSPODARKA

98 **TO BYŁ DOBRY ROK**
Janusz Szewczak

ZDROWIE

114 **RYNEK SUPLEMENTÓW NA NOWO**
Piotr Filipczyk

KUCHNIA

116 **MOJE SMAKI: PROCENTY GALAKTYKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

117 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

118 **ROŚNIE FREKWENCJA, ROŚNIE PiS**
Wojciech Reszczyński

119 **WIDMO PRZYSZŁOŚCI**
Wojciech Wencel

120 **FLORIAN CZARNYSZEWICZ**
Dariusz Karłowicz

122 **OBRONIĆ OSTATNIĄ POZYCJĘ**
Piotr Skwieciński

123 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

124 **W STARY ROK**
Wiktor Świetlik

125 **MOJE ARCYDZIEŁO**
Aleksander Nalaskowski

126 **KONSTRUKCJA CEPA**
Robert Mazurek

127 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

130 **MILCZENIE W ERZE INFOZGIEŁKU**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Następne wydanie naszego tygodnika ukaże się w poniedziałek 8 stycznia 2018 r.

eprasa.pl 150ab1bc81

29/1017/F



eprasa.pl 150ab1bc81

Prezes Trybunału Konstytucyjnego odgrywa rolę nie do przecenienia w odbudowie polskiego porządku prawnego, gwarancji naszej wolności





Fot. Julia Szewczyk

Julia Przyłębska Człowiekiem Wolności 2017



BRONISŁAW WILDSTEIN

Uznanie Julii Przyłębskiej, prezes Trybunału Konstytucyjnego, za Człowieka Wolności roku 2017 jawi się jako oczywiste. Wyróżnienie tygodnika „Sieci" przeznaczone jest dla patriotów zaangażowanych na rzecz narodu. Działalność taka kreuje jeden z istotniejszych, choć często pomijanych obecnie wymiarów wolności, czyli możliwość kształtowania rzeczywistości, w której żyjemy. To wolność pozytywna, która pozwala nam panować nad naszym losem, gdyż tylko zespołowo jesteśmy w stanie podejmować przedsięwzięcia w tym kierunku, to republikańskie nastawienie na tworzenie dobra wspólnego.

Wybór Julii Przyłębskiej na stanowisko prezesa Trybunału Konstytucyjnego to początek odbudowy wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Historia tej instytucji, uznawanej współcześnie za kardynalny element sądownictwa, jest stosunkowo niedługa. Jej wielka kariera wiąże się z doświadczeniem narodowego socjalizmu, którego dojście do władzy w Niemczech uznać można za samobójstwo demokracji. W celu uniemożliwienia tego typu wypadków stworzone zostały sądy konstytucyjne, które dbać miały, aby narody nie zakwestionowały podstawowych praw regulujących ich funkcjonowanie. Miały więc odgrywać specyficzną rolę i interweniować w wyjątkowych okolicznościach. Niestety wyposażone w szczególne uprawnienia nie potrafiły oprzeć się pokusie ich rozszerzania i nadużywania. W III RP mieliśmy do czynienia ze szczególną egzemplifikacją tego zjawiska. Wpływ na to miał stan kadr sędziowskich, które w nową, demokratyczną rzeczywistość przemaszerowały w niezmienionym składzie z PRL.

Wprawdzie upłynęło od tego niemal 30 lat, co musiało zmienić ich personalia, ale w korporacji, która uzyskała pełnię władzy nad wymiarem sprawiedliwości, w tym kompetencje powoływania i kształtowania nowych adeptów, przetrwała instytucjonalna tożsamość. Jej podstawowym elementem była obrona status quo, który dawał sędziom niezwykłe uprawnienia.

System III RP to rodzaj oligarchii, czyli panowanie nielicznych w swoim interesie. Układ ten zagrożony jest procedurami wyborczymi, gdyż formalnie funkcjonuje w Polsce ustrój demokratyczny. W tej sytuacji bezpiecznikiem oligarchii pozostaje wymiar sprawiedliwości, który stanowi jej istotną część składową, a zwłaszcza jej ostatni bastion – Trybunał Konstytucyjny. Doświadczyliśmy tego w czasie rządów PiS w latach 2005–2007. Głębsze zmiany blokowane były przez tę instancję, która, gdy zabrakło litery, potrafiła odwoływać się do „ducha konstytucji", a jej zapisy rozciągała dowolnie. Próbę otwarcia zawodów prawniczych zakwestionowała na mocy zapisu, że korporacje mają prawo się samoorganizować. Tak więc pod

eprasa.pl 150ab1bc81

szyldem państwa prawa uzyskaliśmy państwo prawników, które stanowiło tak ścisły gorset dla demokracji, że realnie pozbawiało ją elementarnego sensu.

Podobnie miało być po ostatnich wyborach, dwa lata temu. Sejm poprzedni wybrał awansem pięciu kolejnych członków Trybunału Konstytucyjnego, mimo że kadencje ich poprzedników kończyły się już po wyborach. Nowe ciało ustawodawcze nie zgodziło się na to ewidentne złamanie zasad, unieważniło wybór i powołało kolejnych pięciu sędziów. Trybunał Konstytucyjny salomonowym wyrokiem zgodził się na powołanie dwóch, ale trzech odrzucił. Gdyby Sejm i prezydent zaakceptowali ten pseudokompromis, większość w Trybunale jeszcze długo pozostawałaby wroga nowym rządom i, można mieć pewność, skutecznie je paraliżowała.

Jednym z dwojga sędziów, co do których wyboru nie podnoszono żadnego sprzeciwu, była Julia Przyłębska.

Kiedy piszemy o nastawieniu korporacji, wskazujemy postawę jej dominujących elit, co nie znaczy, że podzielają ją wszyscy sędziowie. Pozytywnym przykładem innego podejścia do prawa jest obecna prezes Trybunału Konstytucyjnego. Nie jest profesorem, ale sędzią praktykiem. Nie kształtowały jej uniwersyteckie układy, lecz robiła to konfrontacja z problemami ludzi, którzy próbują dochodzić swoich racji. Prawdopodobnie również dlatego uważa, że prawo powinno być elementem państwa, a sędziowie nie są „nadzwyczajną kastą", tylko pełnią służbę narodowi i jego obywatelom.

Przyłębska z powodzeniem sprawowała funkcje dyplomatyczne. Współpracowała z Instytutem Gaucka, a także uczestniczyła w negocjacjach z Niemcami w sprawie odszkodowań dla obywateli polskich za pracę przymusową w czasie II wojny światowej. Odznaczona została za to medalem Stowarzyszenia Żydów Kombatantów RP i Poszkodowanych w II Wojnie Światowej.

Obecna prezes, w przeciwieństwie do swojego poprzednika, nie uczestniczy w rozgrywkach partyjnych, nie deklaruje swoich sympatii ani antypatii w tej mierze. Zerwała z bizantyńskim stylem, który prezentowali jej poprzednicy, rozbudowanym ceremoniałem i kosztami z tym związanymi. Niezależnie od oskarżeń o próbę rewanżu rozpoczęła audyt instytucji, którą przejęła.

Jej wybór na prezesa, tak jak i na sędziego Trybunału Konstytucyjnego, nie wywołał pierwotnie sprzeciwu. Nawet niechętny jej wiceprzewodniczący Trybunału prof. Stanisław Biernat stwierdził, że należy pogodzić się z nowym stanem rzeczy. Formalnie wszystko przebiegło bez zarzutu, a przecież obrońcy ancien régime chcieli prezentować się jako legaliści doskonali. Ale nie w wypadku, kiedy działało to na ich niekorzyść.

Ciekawe jest prześledzenie ataków na Julię Przyłębską po przejęciu przez nią przewodnictwa w Trybunale Konstytucyjnym. Na przykład pierwsza prezes tej instytucji Ewa Łętowska stwierdziła, że jej następczyni ma „bardzo kruchą legitymację". Co to miało znaczyć, nie dowiedzieliśmy się. Andrzej Rzepliński posunął się dalej, stwierdzając, że Julia Przyłębska nie została wybrana prawidłowo, ponieważ... nie poinformowała w trakcie mianowania, że ileś lat wcześniej otrzymała negatywne opinie od wizytatorów sędziowskich. Były prezes nie dodał, że opinie te nie wpłynęły na awanse Julii Przyłębskiej w sądzie okręgowym. Konflikt obecnej prezes z częścią poznańskiego establishmentu wydaje o niej jak najlepsze świadectwo, gdyż był efektem jej nieustępliwości w tropieniu afery, w którą uwikłana była miejscowa socjeta.

Radykalną zmianę opinii na jej temat pouczająco prezentuje Andrzej Byrt, były ambasador w Niemczech, który w trakcie pracy Julii Przyłębskiej jako swojego podwładnego i bezpośrednio po jej zakończeniu, wystawiał entuzjastyczne rekomendacje przyszłej prezes, dziś natomiast mówi o niej wyłącznie źle.

Mnożące się zastrzeżenia, które obrońcy dawnego układu wysuwali przeciw niepochodzącej z ich szeregów przewodniczącej, z czasem przekształciły się w stałą kontestację. Teza, że Julia Przyłębska została wybrana niewłaściwie, powtarzana jest bez żadnego uzasadnienia. Podobno dlatego, że uchwała na ten temat nie została przedstawiona we właściwym czasie. Julia Przyłębska precyzyjnie wyjaśniła wszystkie związane z tym nieporozumienia, ale nikt się tym nie przejął. Dziś z ust wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej Fransa Timmermansa słyszymy, że jej wybór był „nieprawny".

To jeszcze walka na poziomie polityczno-prawnym, jakkolwiek śladu w niej dobrej woli i poszanowania faktów brak. Towarzyszy temu jednak odrażająca nagonka osobista zarówno na Julię Przyłębską, jak i jej męża. „Gazeta Wyborcza" eksponuje sążnisty tekst na temat powiązań obecnej prezes z tajnymi służbami III RP. Clou wywodu mieści się w sformułowaniu, że nie ma na to dowodów, gdyż leżą one ukryte w archiwach tychże. Można mieć pewność, że nie będzie to ostatnia insynuacja ani jedyna kampania pomówień.

A Julia Przyłębska? Znosi to wszystko z podziwu godnym spokojem i zajmuje się swoimi obowiązkami. Jest prezesem Trybunału Konstytucyjnego, któremu przywraca należną mu, niesłychanie znaczącą, ale również ustawowo ograniczoną rolę. Odgrywa rolę nie do przecenienia w odbudowie polskiego porządku prawnego, gwarancji naszej wolności.

Człowiek Wolności 2017
tygodnika SIECI

To doroczny plebiscyt, w którym czytelnicy i kapituła honorują osoby szczególnie zasłużone w dziele troski o wolną Polskę.

W tym roku główną nagrodą została uhonorowana prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska.

W minionych latach tytuł Człowieka Wolności „Sieci" otrzymali prof. Krzysztof Szwagrzyk, historyk kierujący pracami na kwaterze „Ł", poeta i pisarz Jarosław Marek Rymkiewicz, prezydent RP Andrzej Duda oraz prezes PiS Jarosław Kaczyński.

W gronie laureatów, którzy w poprzednich edycjach plebiscytu otrzymali wyróżnienia, są Dariusz Malejonek za projekt „Panny Wyklęte", Arkadiusz Gołębiewski za filmy „Kwatera »Ł«" i „Dzieci kwatery »Ł«" oraz Karolina i Tomasz Elbanowscy, organizatorzy akcji sprzeciwu wobec przymusu szkolnego dla sześciolatków.

25/1117/F

eprasa.pl 150ab1bc81



Ta sama oferta. Ci sami ludzie.
Od lat w ofercie Kasy Stefczyka.

SKOK ubezpieczenia

zmienia się na

SALTUS UBEZPIECZENIA

eprasa.pl 150ab1bc81

Z życia koalicji



Ha, doczekał się! ***Marek Suski*** poszedł w ministry! W zasadzie moglibyśmy spokojnie obie rubryki poświęcić tylko jemu. Poznaliśmy go dwadzieścia lat temu, gdy przychodził do redakcji „Nowego Państwa", w którym rubryka ta powstała, i patrzył przez ramię, co my tam piszemy, albo siedział z uśmiechem Mony Lizy, nie odzywając się do nikogo. Tak oto zyskał ksywę BWPC, czyli Bardzo Ważny PeCetowiec. No i proszę, wywróżyliśmy, jest bardzo ważny.

Aha, Suski na początek został szefem gabinetu politycznego premiera Morawieckiego, ale kluczowe jest tu sformułowanie „na początek". Pora bowiem przypomnieć, że nasza rubryka od początku wspiera kampanię prezydencką #Suski2020.



Fundowanie pełzającej rekonstrukcji rządu w okresie świąteczno-noworocznym oznacza, że kiedy państwo będą czytać te słowa, to wiele z naszych historyjek może się okazać nieaktualnymi, no ale co tam. Pewne jest, że Morawiecki nie rozbił całkowicie Gangu Tapirów. W zasadzie z kancelarii i z rządu wyleciała jedynie postać nazwiskiem ***Witek Elżbieta***, gdzie Elżbieta to imię. Pani minister nie powinna narzekać. Odchodząc z kancelarii, weźmie mnóstwo nikomu niepotrzebnych prezentów, i to się akurat wyrzuci. No ale zawsze zostaną jej nowe zęby i fryzura.

Szefową kancelarii premiera przestała być z kolei Beata Kempa. Postać tę zapamiętamy z wielu powodów, nie tylko z histerycznych esemesów, które wysyłała Krzysztofowi Łapińskiemu, wrzeszcząc na niego, że sufluje mediom, iż Szydło leci. Otóż pani minister bardzo walczyła o swoją pozycję po rekonstrukcji i za nic nie dopuszczała do wiadomości, że mogłoby jej w rządzie zabraknąć. I faktycznie, Kempa pozostała ministrem. Ma teraz w kancelarii premiera odpowiadać za uchodźców. No patrzcie państwo, a my myśleliśmy, że ostatnim, który tam pracował, był Arabski.

Nie, to głupie żarty, pani minister Kempa ma odpowiadać za pomoc humanitarną i uchodźców. Ale wciąż jedyna jej kompetencja w tej dziedzinie to ta, że zjadła kiedyś tatara.

Szefem kancelarii premiera został z kolei Michał Dworczyk, dotychczas wiceminister obrony, człowiek, o którym już dawno temu mówiono dobrze, ale przestano. Zdaje się, że jest śmiertelnie nudny i to przesądziło o nominacji.



Z plotek cała planowana na styczeń rekonstrukcja jawi się tak: poważna, ale bez przesady. Tłumacząc na konkrety: ***Waszczu*** i Szyszko oczywiście lecą, ale Macierewicz i Ziobro oczywiście zostają. A co z resztą? A to różnie mówią, bo nawet Henio Kowalczyk jak na razie zostaje, a miał wylecieć z przeciągiem. Kubatura pana ministra w tym przeszkodziła?

Nas najbardziej cieszy pogłoska, że ministrem środowiska miałaby zostać Jadwiga Emilewicz, dotychczas gowinowa zastępczyni Morawieckiego w resorcie niedorozwoju. Nie, żeby Jadźka się na środowisku znała, bez jaj, nie zna się, ale nigdy dość przypominania, że pani minister karierę zaczynała dwadzieścia lat temu jako nasza researcherka. Od tego czasu Jadźka zhardziała i urodziła trzech synów, nie nam zresztą, ale panu Emilewiczowi, ale co tam. Ma się tę rękę do ludzi, co nie?



PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Julita Szewczyk (x3)

eprasa.pl 150ab1b0

Z życia opozycji



Ta plotka jest nader popularna wśród posłów opozycji. Od dwojga z nich usłyszeliśmy „pewne informacje", że wkrótce, najdalej w styczniu, lutym, CBA wyprowadzi ***Bufetową*** z ratusza w kajdankach. E tam, obiecanki cacanki.

Ale faktycznie znakomita była ta końcówka roku dla Hanny Gronkiewicz-Waltz, po prostu znakomita, nie ma co. Otóż najsampierw wyrzucili ją z władz Platformy. Ten balast ciążył im stanowczo za bardzo, więc po cichu, bez pompy pozbawiono ją stanowiska wiceszefowej partii, wpuszczając tam Budkę Borysa vel Borysława. Niestety nie obejmie on jednak przydomku Bufetowy, ten jest zastrzeżony. Natomiast balast obciachu w zarządzie partii zostanie z pewnością zachowany.



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Największy cios Waltzom zadała jednak komisja weryfikacyjna, która tuż przed świętami zapowiedziała, że rodzina Bufetowej będzie musiała oddać forsę ze sprzedaży kamienicy, którą to kamienicę zgarnęli w wyniku dzikiej reprywatyzacji. A mąż i córka, nie licząc reszty rodziny, przytulili po bańce. No i tak przed samymi świętami. Toż to można niestrawności dostać, im się Jaki w wigilijną noc przyśni!

Wyszedł! Grzegorz Schetyna wziął i wyszedł z propozycją powołania wspólnych prezydiów klubów opozycji. W celu koordynowania i takiego tam. W tłumaczeniu na nasze – Grześ chciał stworzyć taki Komitet Centralny PO-N. Byłoby to jednak takie bieda-KC, bo jeno sześcioosobowe, po trzy sztuki z każdej partii. No trudno, my tak czy owak jesteśmy za. Zawsze nas bowiem fascynowała instytucja zastępcy członka.



My może i jesteśmy za, ale ***Kaśka Lubnauer*** jest trochę jakby przeciw. Tutaj sprawa jest prosta, bo skoro Petru jest za, to Lubnauer zawsze jest przeciw, a największy petrolub w Układzie Słonecznym, poseł Mieszkowski, dostaje ataku histerii. Bo on najbardziej na świecie nie lubi, gdy ktoś krzywdzi Misia Rysia.

Jedyna fajna historia o Mieszkowskim jest taka, że gdy jeszcze miał zupełnie normalne poglądy, to upił się na gadatliwie z Bronkiem Wildsteinem. Z kolei o samej Lubnauer, z zawodu, wyglądu i zachowania nauczycielki, co z tego, że akademickiej, niczego takiego nie możemy powiedzieć. Możemy za to powiedzieć, że lubi jeść mięso, i to surowe. No i że kiedy jako panna Libudzisz wychodziła za mąż, to koleżanka powiedziała jej, że ona właściwie nie zmienia nazwiska, tylko tłumaczy je sobie na niemiecki.

Skoro już przy tej marginalnej partyjce jesteśmy, to dodajmy, że ostatnio cios w serce zadał Ryśkowi Petru sam jego wieloletni patron Leszek Balcerowicz. Zaproszony na posiedzenie rady krajowej, czy jak to się tam w Nowoczesnej nazywa. Balcerowicz zamiast poprzeć swego Rysia, dość jednoznacznie wspierał Katarzynę Lubnauer. Czyżby miał to być koniec tej pięknej, dwudziestopięcioletniej historii? I zamiast Rumuna będzie teraz Niemka Balcerowicza?

Aha, zapomnieliśmy dodać, że Schetyna zaproponował wspólne listy opozycji w wyborach. To akurat nie nowina, ale wiecie, kogo on na tych listach widzi? Otóż byłaby to Platforma, Nowoczesna, PSL i – uwaga, uwaga – Unia Pracy! Grzesiek, heloł, tu Ziemia! Ta partia od dwudziestu lat nie istnieje, a to, co widzisz przed oknem, to krasnal ogrodowy, nie Ryszard Bugaj.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Mateusz Zelnik

eprasa.pl 150ab1bc81

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

20 grudnia w samo południe ***Komisja Europejska wypowiedziała Polsce wojnę***, a już pięć godzin później Polska odpowiedziała ogniem: prezydent zapowiedział, że podpisze ustawy sądowe. Czyli non possumus. Słusznie. W starciu z eurołobuzami nie można okazać strachu.

A więc ***prezydent znów jest w Drużynie Pierścienia*** i źli ludzie nie mogą chwilowo liczyć, że podział zniszczy dobrą zmianę. Relacje Jarosław Kaczyński–Andrzej Duda są najlepsze od ponad dwóch lat. Szkoda, że tyle złego musiało się zdarzyć po drodze. Na pocieszenie: koszty zawsze mogły być wyższe.

Obu panów połączyła także wymiana premiera. ***Beata Szydło weszła w konflikt z prezydentem*** i to był – jak dziś widać – jeden z jej największych błędów. O co jednak poszło, trudno dociec, wersji jest kilka. W każdym razie nastąpiło odwrócenie sojuszy i było po sprawie.

Czy Orbán ***sprzeda Polskę i nie zablokuje sankcji***? Kosmopolici się łudzą, że stary lis z Budapesztu zechce nas przehandlować. Niewykluczone, że mógłby chcieć, ale jest jeden problem: jeśli tak zrobi, on będzie następny. Procedura w sprawie Węgier też biegnie.

W związku z reformą sądów media III RP ***gęsto cytują śp. Lecha Kaczyńskiego***, któremu zdarzało się chwalić sędziów. Ale zdarzało się także krytykować. No i to było przed Smoleńskiem, choć już po tym, gdy na wyciągniętą do zgody rękę prezydenta elity i salony odpowiedziały przemysłem pogardy.

Dlaczego ***wybór padł na Mateusza Morawieckiego?*** Zdecydował m.in. Marsz Niepodległości. Liderzy PiS przestraszyli się, że Polska naprawdę zostanie uznana za kraj faszystów i że trzeba coś z tym zrobić. I tak już będzie: nowy etap, nowy premier. Ciekawe, czy zawsze w cyklu dwuletnim.

Jarosław Kaczyński uważa zresztą, że wymiana prezesa Rady Ministrów ***poszła bardzo, bardzo gładko***. Sądził, że opór będzie większy, a tymczasem dwa zebrania, dwa przemówienia i po sprawie. Wniosek z tego, że cykl nie musi być dwuletni.

W Nowoczesnej nie tracą ducha. „A co, jeśli Trzaskowskiego dopadnie jakaś afera?" – usłyszeli dziennikarze, gdy dopytywali, dlaczego tak łatwo Katarzyna Lubnauer ustąpiła Schetynie w sprawie Warszawy. A więc stołeczne derby opozycji jeszcze się nie skończyły.

CBA ustrzeliło w Platformie Stanisława Gawłowskiego, nie byle kogo, bo sekretarza generalnego PO. Koleś miał wysyłać zdjęcia zegarków, które sobie życzył jako łapówki! Ta miłość platfusów do zegarków jest iście putinowska. Jak to było? „Zbyt podobne, by spać spokojnie".

Wcześniej CBA ***ustrzeliło Stanisława Koguta***, senatora PiS. Dobrze, że pilnują też swoich, choć czy nie mogliby staranniej? Nieprzypadkowo prezes miał zażartować, że „chyba wszystko sprywatyzuje".

TVN24 potrafi zaskoczyć. 14 grudnia sprzed Pałacu Prezydenckiego pod Senat przeszedł „Łańcuch ludzi", rzecz jasna w sprawie sądów. A na antenie stacji spokój, luz i zupełne głupoty. Najpierw wyciągają ludzi na mróz, a później nawet nie transmitują. Obrzydliwość.

W TVP Info z kolei ***paskowy depnął gaz do dechy***. „Ewa Kopacz chwali te kobiety, które zamiast przygotowywać święta – stoją przed Sejmem i sądami". Oczywiście Kopacz nic nie mówiła o świętach. Oj, za te paski kiedyś słono może zapłacić cała prawica.

W Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych ***powstał sklep z „darami lasu"***. Pod tą piękną nazwą także dziczyzna. „W ofercie wędliny oraz surowe mięsa z dzika, jelenia czy sarny" – czytamy w prasie. Jest więc szansa, by pójść śladem ministra Szyszki i zacząć się żywić wyłącznie dziczyzną. Drogo, ale zdrowo. No, chyba że dzik z ASF.

Sygnalista



eprasa.pl 150ab1bc81

Polecamy

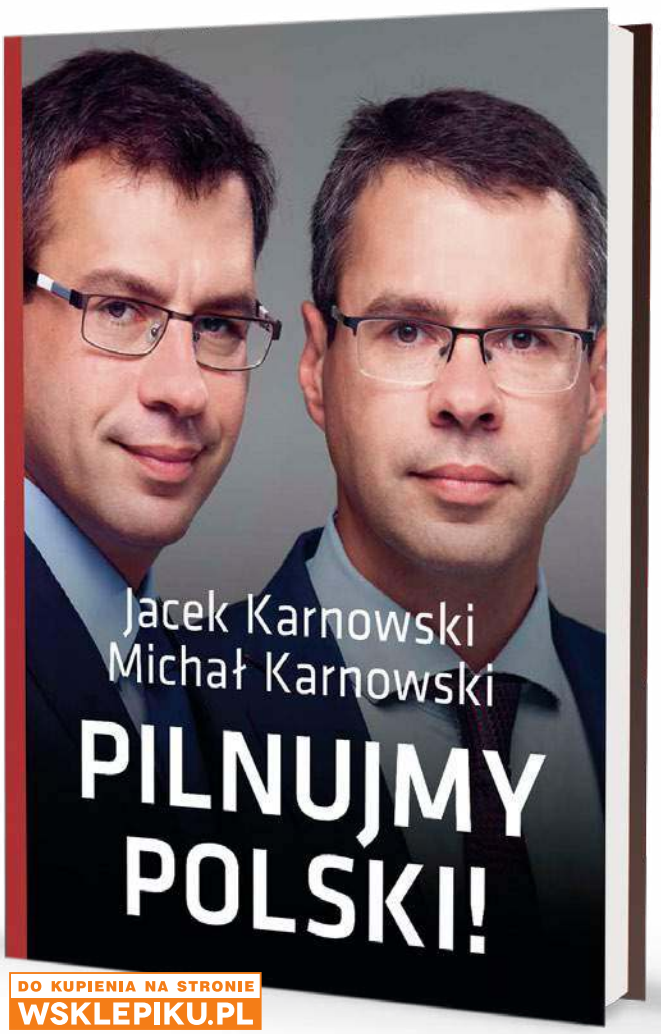
Ukazała się właśnie na rynku pozycja, która powinna zainteresować naszych czytelników. Znane krakowskie Wydawnictwo M tak zapowiada książkę „Pilnujmy Polski": „Odważny wywiad z braćmi Karnowskimi – znanymi dziennikarzami i publicystami – o ich korzeniach, życiowych wyborach i wartościach oraz burzliwych kulisach polityki w Polsce w latach 2010–2015. W swojej publicystyce dokonują wnikliwej analizy wydarzeń w naszym kraju na przestrzeni ostatnich kilku lat – począwszy od płaszczyzny politycznej, poprzez gospodarczą, na udziale mediów w polityce skończywszy. W latach 2010–2015 komentowali na bieżąco przemiany na polskiej arenie politycznej, które zaowocowały podwójnym zwycięstwem obozu patriotycznego w wyborach prezydenckich i parlamentarnych. Znakomicie wyłapali decydujący moment przesilenia jako zapowiedź nadchodzących zmian. W swojej publicystyce wiele uwagi poświęcili też mediom, wykorzystywanym jako narzędzia w walce politycznej oraz zmianom, jakie na przestrzeni lat nieustannie dokonują się w mediach publicznych.

Autorzy łącząc odpowiedzialność i umiar w politycznym działaniu, są twórcami jednego z najważniejszych środowisk medialnych w Polsce. Równocześnie w sferze wartości starają się zawsze pozostać wierni zasadom zawartym w dewizie Bóg – Honor – Ojczyzna. Najważniejszą cechą ich publicystyki jest pasja, z jaką podejmują tematy często trudne i delikatne. Pasja, do której zdolni są wyłącznie ludzie »Polską przejęci«. I właśnie dzięki temu lektura ich twórczości tak wciąga i fascynuje".

Z perspektywy redakcji walorem książki jest także biograficzny wywiad z twórcami tygodnika „Sieci", przeprowadzony przez Jaromira Kwiatkowskiego. Poznajemy korzenie rodziny, możemy zerknąć do rodzinnego albumu. Całość czyta się z przyjemnością, bo lektura zaraża entuzjazmem, optymizmem i przekonaniem, że ciężką pracą i wspólnym wysiłkiem możemy pchnąć do przodu zarówno sprawy polskie, jak i osobiste.

Serdecznie polecamy!

(wu-ka)



AUTOPROMOCJA

SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, MARTA LEWANDOWSKA, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MAREK OLEKSICKI, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, BARTOSZ SZTYBOR, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, MARCIN WOLSKI, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
MATEUSZ ZELNIK, MATEUSZ.ZELNIK@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
78 1750 1325 0000 0000 2103 8946
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 128 030 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
ANNA PUCHACZ – DYREKTOR DS. PROJEKTÓW SPECJALNYCH
TEL. 602 42 00 14, ANNA.PUCHACZ@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

PBC Polskie Badania Czytelnictwa

NA OKŁADCE: CHRISTOPHE LICOPPE/EASTNEWS, SHUTTERSTOCK x3, ANDRZEJ WIKTOR, WIKTOR DABKOWSKI/EASTNEWS, TATYANA ZENKOVICH / EPA/PAP

eprasa.pl 150ab1bc81

Ludzie, kultury!



KRZYSZTOF FEUSETTE

Trzeba przyznać, iż kandydatów do nagrody Człowieka Kultury Totalnej 2017 jest zaskakująco wielu, zważywszy na to, że w kraju rządzonym przez reżim totalitarny ludzie kultury funkcjonują z reguły w drugim obiegu.

Na szczęście w naszym reżimie jest odwrotnie. Prześladowani sędziowie ciągają totalitarną władzę po sądach, represjonowani opozycjoniści popychają dziennikarzy reżimowych mediów, wyzywając ich od „k...", gnębieni eksperci nie wychodzą ze studiów telewizyjnych, fundacje walczące o pokój prześcigają się w wywoływaniu zamieszek, obrońcy praw człowieka blokują wyjście posłów z Sejmu, księża pochwalają samobójstwa, a komunistyczni pałkarze uczą demokracji. Trudno się dziwić, że gdy kultura kwitnie w takim akurat środowisku, uszy więdną, a oczy wypadają z orbit.

Wybór laureata pozostawiam jednak państwu. Nie potrafię zdecydować, który z nominowanych w mijającym roku błysnął kulturą jak cep w słońcu, a kto wycierał sobie nią usta tak długo, że twarz mu się starła do zera. Poniżej lista nominowanych – chronologicznie.

Magdalena Cielecka, aktorka, 2 stycznia, „Newsweek": „Pamiętam, jak raz wracałam wieczorem tramwajem po manifestacji, z przypiętym znaczkiem KOD. I siedział tam facet, czułam, że mnie rozpoznał. I on jakimiś dźwiękami, onomatopejami zwierzęcymi, próbował dać mi do zrozumienia, że mu śmierdzę. Poczułam się jak – przepraszam za porównanie – żydowskie dziecko w tramwaju w czasie okupacji".

Maciej Maleńczuk, piosenkarz, 10 lutego, Koduj24.pl: „Jeżeli cham robi coś chamskiego, należy mu dać w mordę. Jak tego nie zrobisz, to ty jesteś chamem [...]. Ja całkiem szczerze mogę powiedzieć, że nienawidzę PiS-u. Nienawidzę tych ludzi. Ja na nich, k..., patrzeć nie mogę. Dosłownie cierpię, oglądając TVN24. Robi mi się niedobrze, kiedy patrzę na ich paskudne gęby [...]. Nie powinniśmy startować do nich z gołymi rękami. Ktoś tu powinien dostać w pysk [...]. Wydaje mi się, że Macierewicz jest całkowicie niezrównoważony psychicznie. Nie chciałbym być jego żoną czy dzieckiem i wolę sobie nie wyobrażać, co tam się musi dziać u niego na chacie".

Krystyna Janda, aktorka, 25 kwietnia, Wirtualna Polska: „Beata Szydło to nie jest kobieta. To jest moim zdaniem hybrydowa postać [...]. Nie zastanawiam się, jakie sumienia mają kobiety w rządzie, co one myślą wieczorem, co mówią swoim dzieciom, jak je wychowują i jak traktują swoich mężów [...], bo jest to po prostu bolesny temat".

12 września, Radio Zet: „Ja się czuję, jakby ktoś na mnie srał po prostu cały czas. To jest coś okropnego!".

Rafał Olbiński, plakacista, 18 maja, Koduj24.pl: „Wyszła z nas potworna morda chama [...]. Widzę, kto mnie reprezentuje na arenie międzynarodowej i że kobieta z charyzmą pieca kaflowego, nieznająca żadnego obcego języka, jest moim reprezentantem. Widzę, że moim prezydentem jest jakaś śmieszna, patetyczna karykatura Mussoliniego [...]. Niech sobie będzie reprezentantem tej swojej miernoty. Zresztą badania pokazały, kto go wybrał [...]. Co miesiąc widzę kobiety, które łażą po Krakowskim Przedmieściu od katedry przed Pałac Prezydencki z różańcami. One mają nienawiść w oczach, one zamordowałyby każdego, kto się nie zgadza z ich fanatycznymi i irracjonalnymi przekonaniami o morderstwie w Smoleńsku".

Andrzej Saramonowicz, reżyser filmowy, 24 lipca, Facebook: „Lepiej z trupa zdzierać strupy, niż u kaczej wisieć dupy. Lepiej chadzać do rajfurek, niźli styczność mieć z Mazurek. Lepiej z wodą wypić glona, niż Antkowi czyścić drona".

Agnieszka Holland, reżyserka filmowa, 11 sierpnia, Tok FM: „Miesięcznica to brzmi jak z jakiejś powieści futurystycznej; to dziwna nowomowa. Mnie się to również skojarzyło z miesiączką, bo miesiączka to jest comiesięczne krwawienie płodnej kobiety. A mnie się wydaje, że te obchody urodziły groźne jajowęże!".

Janusz Kijowski, reżyser filmowy, stryj Mateusza, 21 września, Facebook: „Ściągnięcie przez skarbówkę 12 tys. z prywatnego konta Hanny Gronkiewicz-Waltz (bez wyroku sądowego!) – to już nowy etap ustrojowy naszego Państwa! Tak tylko Stalin i Bierut zabierali majątki kułakom i burżujom, a Hitler – Żydom. Jaki nie jest Berią, Jeżowem ani Himmlerem. Jest po prostu mściwym kretynem!".

Krystian Lupa, reżyser teatralny, 27 września, „Gazeta Wyborcza": „Z tego kraju trzeba uciekać, bo wstyd, bo życie tu nie ma sensu".

Dorota Stalińska, aktorka, 3 października, RMF: „PiS ma parę pomysłów, np. żeby kobiety zmuszać do rodzenia dzieci czy płodów okaleczonych genetycznie, chce płacić kobietom – co jest obrzydliwe – za to, żeby donosiły ciężko chore płody po to tylko, żeby umarły zaraz po urodzeniu albo jeszcze tuż przed".

Jerzy Stuhr, aktor, 25 października, Wirtualna Polska: „Jakim jesteśmy społeczeństwem? Niedouczonym. Niewychowanym [...]. Jak się mnie pani pyta, jak się czuję jako Polak za granicą, to powolutku już mówię żonie na ulicy: »Tylko nie za głośno po polsku«".

Daniel Olbrychski, aktor, 15 listopada, „Gazeta Wyborcza": „Należę do grona ludzi, mam nadzieję licznego, którzy na pytanie, czym jest patriotyzm, lekko zwieszają głowę, bo nie bardzo by chcieli o tym mówić [...]. Dwa lata temu społeczeństwo pokazało nam, że ma gdzieś wolność i szansę na udział w życiu publicznym!".

Jacek Poniedziałek, aktor, 13 grudnia, Facebook: „Pisowskie ch...je – nie ma innego słowa".

Prawda, że jest w kim wybierać? Szkoda tylko, że między tymi ludźmi a ich kulturą trzeba coraz częściej wstawiać przecinki i wielokropki. Wielkie jak ich pompowane kasą ego.

eprasa.pl 150ab1bc81

Alarm! UE zwariowała!

Unia ma kłopot. Chyba nie wie, że trafiła na Polaków



Ryszard Makowski

Komisja Europejska uruchomiła wobec Polski artykuł 7. traktatu o Unii Europejskiej, zwany opcją atomową. Prowadzi ona do sankcji i odebrania prawa głosu. Ubaw gwarantuje przyczyna wszczęcia tej procedury: „Robimy to dla Polski, dla polskich obywateli. Każdy obywatel każdego kraju w Unii Europejskiej ma prawo do niezależnego sądownictwa". I kto to mówi? Wszyscy zgadli. Nasz dobroczyńca. To proszę, zgodnym chórem: Frans Timmermans. Tak, to ten pan, który wygrałby wszystkie castingi na rolę seryjnego mordercy w filmach klasy B.

Z jakiegoś powodu ten wizerunkowy Psycho Killer (Fa-fa-fa-fa-fa-fa-fa-fa-fa...) upodobał sobie Polskę. Europa się dla niego skurczyła do jednego kraju. Dyszy nieustannie: Polska, Polska, Polska. Dlaczego akurat tak się zawziął na nas? Może to przysługa dla Donalda Tuska, który nie zdążył zniszczyć Polski osobiście, bo zmuszony taśmami z Sowy & Przyjaciół wiał na synekurę do centrali?

A może ten Frans ma adekwatne do wyglądu tajemnice, znane przypadkiem specom od masońskich igraszek? Ale się nadział. Prezydent Andrzej Duda wymierzył mu dwa precyzyjne podbródkowe, podpisując ustawy o SN i KRS: „Jako prezydent chcę przywrócić poczucie sprawiedliwości i pan Timmermans mi tego nie zabroni". My, Polacy, mamy poczucie wolności i żaden brukselski urzędniczyna nie będzie na nas bez powodu pohukiwał ani wmontowywał nas w zwykłą farsę. My przetrwamy, a po takiej Unii nikt tu płakał nie będzie.

KORSUN *chili* KORSUN



Do rysunku wykorzystano fot. Shutterstock



Paweł Korsun

Hej, bracia, czy śpicie, artykuł 7 nałożycie? Dziwy niesłychane" – aż chciałoby się zaśpiewać na Wigilii w Komisji Europejskiej, bo najwyraźniej „Przybieżeli do Brukseli (gdy trzeba) pa-sy-wni, grając Polsce na nerwach szantażyści". Jeanowi-Claude'owi Junckerowi i jego lewej ręce Fransowi Timmermansowi można by też zaintonować inną kolędę: „A jo stary dziod. Jo se kluskom rod [...]. Jo sie najod ciepłyk klusek, a potem mnie bolol brzusek". I wygląda na to, że tak będzie, bo argumentacja UE używana w prześladowaniu Polski jest „Mizerna, cicha i licha", ale od stajenki odróżnia ją to, że na pewno nie jest „pełna niebieskiej chwały". Prędzej czarnej hańby i tęczowej niekonsekwencji.

À propos, znany troll niderlandzki specjalizujący się w trollowaniu Polski, który „pracuje" zamiast „w szopie, to w pałacu", właśnie awansował do rangi czarnego Mikołaja. Dziadek „Fruns" nie nagradza za demokrację, ale „w dziecięcej bezradności" wobec legalnych działań polskiego rządu zabiera suwerenność. „Pozwól, Boże, byś w jego sercu mógł zamieszkać znów", bo Timmermans najwyraźniej niezdrów. Działania KE wobec wolnej Polski tłumaczy swoimi wspomnieniami ze studenckich podróży po wschodniej Europie zniewolonej przez ZSRS i próbuje nam wmówić, że robi to dla Polski. Nie uwierzy w to nawet dziecko wypatrujące pierwszej gwiazdki i reniferów z Laponii. Czarny Mikołaju, daj sobie rózgę sam, a najlepiej 7.

eprasa.pl 150ab1bc81

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Rok 17. Bitwa o sprawiedliwość



Jan Pietrzak

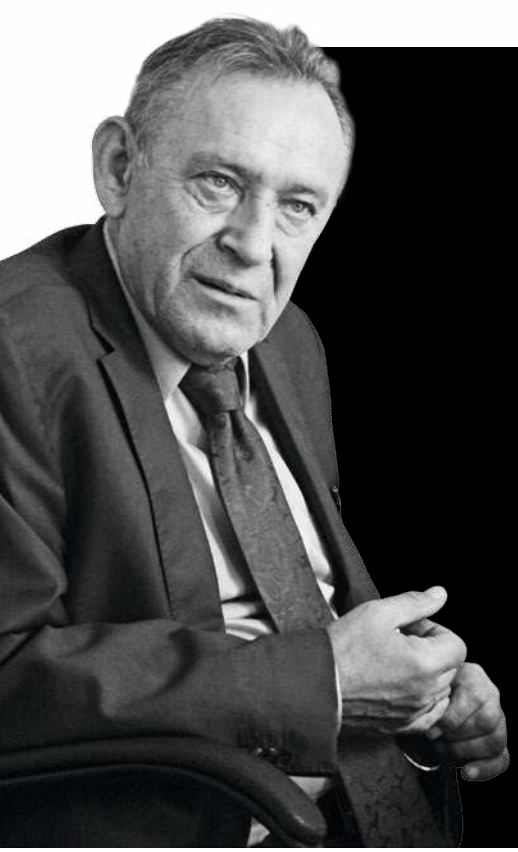
Nawyk bilansowania mijającego roku jest stary jak kalendarz. Kalendarze bywają lunarne lub solarne... Tak więc podsumowując rok na słonecznej plaży egzotycznej wyspy, inaczej widzimy nasz roczny urobek niż pod smętnym księżycem na osiedlu XX-lecia PRL czekającym na dekomunizację.

Jeżeli o mnie chodzi, rok był raczej dobry, bo udało się przeskoczyć barierę 80 lat na trasie biegu z przeszkodami zwanego życiem. Doceniam to, że dzięki Bogu i kardiochirurgii z ul. Banacha mogę na własne oczy widzieć zmagania pracowitego rządu z politycznymi degeneratami zwanymi „totalną opozycją". „Zmaganie" to serial grany od początku lat 90. Napisałem wtedy piosenkę „Co zrobimy z naszą wolnością?". Śpiewa ją brawurowo wrocławska grupa ŚWIT.

Każdy okres ma szczególny koloryt na polskiej drodze do wolności. Były lata budzące nadzieję, lecz przeważały okresy paskudne. Na przykład rozkradanie schedy po PRL, zwane powszechną prywatyzacją. Przypominam, że w realnym socjalizmie huty, stocznie, kopalnie, fabryki były „nasze", wspólne. I nagle fiku-miku na patyku – stały się czyjeś! To się nazywało liberalizm. Gospodarką miała zarządzać niewidzialna ręka rynku. Okazała się łapą złodzieja.

Inny epizod, pod rządami Tuska, to już nie tylko rozkradanie, lecz celowe niszczenie. Padły stocznie, plajtowało górnictwo, miał być sprzedany LOT, zrujnowano PKP, skasowano Żerań itd. Cichą dyrektywą było przyzwolenie na złodziejstwo wśród kumpli. Stąd tzw. reprywatyzacja warszawska, Amber Gold, karuzela VAT-owska, paliwa z przestępczego importu. Wszystko to działo się pod ochronnym parasolem niemrawego wymiaru sprawiedliwości. Powstał taki zwyczaj, że nikt, kto ukradł powyżej miliona, nie miał prawa być ukarany.

Kiedy przymuleni, ogłupieni mediami rodacy wreszcie się zorientowali, że są robieni w konia, oddali władzę Prawu i Sprawiedliwości. Partia ta pośród wielu niezbędnych projektów zabrała się do naprawy sądownictwa. Mija rok bitwy o polską sprawiedliwość. Będzie dobry bilans. Przed nami słoneczny rok.



Był wybitnym prawnikiem

Zmarł prof. Henryk Cioch, senator Rzeczypospolitej Polskiej, sędzia Trybunału Konstytucyjnego, wybitny prawnik, ekspert prawa spółdzielczego, konstytucjonalista, wykładowca akademicki. Przyczyną śmierci były prawdopodobnie problemy zdrowotne. Senator Cioch w ubiegłym roku doznał udaru.

Prof. Henryk Cioch urodził się w 1951 r. w Lubaczowie na Lubelszczyźnie i związał swoje życie z lubelskim środowiskiem prawnym oraz naukowym. Pełnił m.in. funkcję prodziekana Wydziału Prawa, Prawa Kanonicznego i Administracji Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, był członkiem Towarzystwa Naukowego KUL. Henryk Cioch pełnił także funkcję rektora Wyższej Szkoły Handlowej w Radomiu oraz Wyższej Szkoły Finansów i Bankowości w Radomiu.

W 2011 r. Henryk Cioch uzyskał w wyborach mandat senatora jako bezpartyjny kandydat popierany przez Prawo i Sprawiedliwość. Zasiadał w senackiej komisji budżetu i finansów publicznych oraz był delegatem Senatu do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy.

Prowadził cenioną praktykę adwokacką, współpracował z Radą Naukową sopockiego Spółdzielczego Instytutu Naukowego. W 2010 r., w uznaniu dotychczasowych zasług, prezydent Lech Kaczyński powołał Henryka Ciocha do Narodowej Rady Rozwoju.

W 2015 r. prof. Henryk Cioch został wybrany na sędziego Trybunału Konstytucyjnego.

Odszedł w wieku 66 lat.

Fot. Fratria

eprasa.pl 150ab1bc81

BRONISŁAW WILDSTEIN

Niepoprawny autyzm

James Damore ma 28 lat. Był inżynierem na wysokim stanowisku w Google'u. Został zwolniony za rozesłanie w firmie notatki na temat wewnętrznej cenzury, która jest efektem dominującej ideologii. Jako przykład podał politykę gender. Napisał, że mężczyźni i kobiety „przeciętnie" mają inne cechy psychologiczne, które mogą tłumaczyć, dlaczego mniej kobiet pracuje w inżynierii, a czołowe stanowiska w Google'u zajmują raczej mężczyźni.

Kobiety, domniemywał Damore, są z reguły bardziej zainteresowane „ludźmi niż przedmiotami" i mają w sobie „większą otwartość na sferę uczuć oraz estetyki". Obie te cechy, jego zdaniem, mogłyby wyjaśniać, dlaczego wybierają one raczej prace „w dziedzinach społecznych i artystycznych" niż np. w kodowaniu. Według Damore'a kobiety są bardziej przyjazne i mniej stanowcze od mężczyzn. Nigdzie nie napisał, że mężczyźni są lepsi w programowaniu.

Jego list wywołał szok w przedsiębiorstwie. „Kosztowało mnie to dwa dni gniewu i utraty produktywności, a przecież nawet nie byłem celem tych ataków", oświadczył jeden z menedżerów, deklarując, że już nigdy więcej nie będzie współpracować z Damore'em. „Zamierzam uciszyć te poglądy. Są brutalnie obraźliwe" – ogłosił inny. „Jesteś mizoginem i okropnym człowiekiem. Będę cię prześladować, aż ktoś z nas stąd wyleci. Pieprz się" – to kolejny komentarz skierowany bezpośrednio do Damore'a.

Ta ideologiczna histeria przypominająca nagonki na odszczepieńców w czasach panującego komunizmu towarzyszyła usunięciu młodego inżyniera z pracy. Równocześnie jednak ujawniło się źródło jego nieprawomyślności. Został u niego zdiagnozowany „wysoko funkcyjny autyzm". Ma to być przypadłość, na którą cierpi blisko 2 proc. młodych mieszkańców USA. Dyskusja w Krzemowej Dolinie skoncentrowała się więc na tym, jak traktować chorych, którzy nie akceptują dominującej ideologii, gdyż jedynie niepełnosprawność może tłumaczyć takie zachowanie.

Okazuje się, że Damore nie jest jedyny, gdyż w ubiegłym roku wyrzucono z Google'a innego inżyniera, który „zakwestionował używanie zaimków niebinarnych i w otwarty sposób zaprzeczył, jakoby płeć była pewnym kontinuum". Czyli chciał posługiwać się zaimkami zgodnie z gramatycznymi regułami i uznawał dwie płcie, a nie ich nieskończoną stopniowalność. No i... tak zgadli państwo, ujawniło się, że ów inżynier cierpi na autyzm.

Ważna psychiatra cytowana przez „Guardiana" twierdzi, że z firm technologicznych zwolniono już wielu inżynierów z powodu autyzmu. „Dyskusje na tematy ogólne, do jakich zachęca Google, mogą nastręczać pracownikom z autystycznego spektrum poważnych trudności" – zauważa. Innymi słowy, tylko autyści są w stanie zakwestionować dogmaty dominującej ideologii. I, jak widać, zapłacić za to. Gdyż, jak zgodnie głoszą szefowie korporacji, niemieszczące się w doktrynie poglądy są naruszeniem norm współżycia, a więc automatycznie prowadzić powinny do usunięcia z pracy.

W Krzemowej Dolinie w miękki sposób udało osiągnąć to, o czym marzyło Biuro Polityczne Związku Sowieckiego i co usiłowało realizować topornymi metodami. Nadzorcy kraju rad uzgodnili, że „dysydentów" należy uznawać za chorych psychicznie, a w konsekwencji zamykać ich w psychuszkach i kurować odpowiednimi dawkami chemii oraz wstrząsów elektrycznych. Na Zachodzie te brutalne metody nie są potrzebne. „Bezobjawową schizofrenię" zastąpił autyzm, a zamiast izolowanego zakładu wystarczy ostracyzm społeczny.

Z wypowiedzi Damore'a wynika, że stopniowo przyjmuje on do świadomości, że źródłem jego niewłaściwych opinii jest jego schorzenie. A to otwiera drogę do „wyleczenia". Kiedy będziemy już to wiedzieli i nauczymy się, że niepoprawnych myśli nie wolno ujawniać, stopniowo same będą obumierać.

W filmie Woody'ego Allena porządnej lewicowej (liberalnej) rodzinie utrapienia przysparzał krewny, który popierał Partię Republikańską. Okazało się, że przyczyną był tumor mózgowy, po którego usunięciu był on już jak wszyscy dookoła.

Ten pozornie niewinny żart stał się opisem. I nie trzeba nawet niczego wycinać. Być może nawet humanitarne środowiska Krzemowej Doliny tworzyły będą pomieszczenia dla autystów, gdzie szczelnie izolowani będą mogli mówić, co chcą. No, nie. Taki eksperyment mógłby być niebezpieczny.



Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

Golenie Mikołaja

Najstarsza część Uniwersytetu Londyńskiego – University College London (UCL) – została skutecznie zastraszona przez hordy politpoprawnych oszołomów. Na jej twitterowej stronie pojawił się bowiem wpis: „Czy marzycie o białych świętach?". Jak powszechnie wiadomo, sformułowanie „białe święta" – „White Christmas" wzięło się od tytułu piosenki, hitu autorstwa Irvinga Berlina z 1941 r., pierwotnie wykonanej przez Binga Crosby'ego i Marthę Mears w filmie „Gospoda świąteczna". Sięgając jeszcze dalej w głąb etymologii tego sformułowania – każdy wie, że tytuł piosenki pochodzi od śniegu, tak typowego w wielu krajach Europy dla Bożego Narodzenia. Wydawałoby się, że tego nie trzeba specjalnie nikomu tłumaczyć. A jednak. Na uczelnię posypały się gromy i oskarżenia o rasizm. „Białe" święta? W Londynie? Śniegu tam jak na lekarstwo, a dookoła sami kolorowi. No i renomowana uczelnia padła na kolana i przeprasza. Przeprasza, że żyje.



W Austrii też nie lepiej. Zatrzymano jadącego samochodem mężczyznę – Hansa M. przebranego za Mikołaja, bo miał brodę, która zasłaniała twarz, i długą czerwoną szatę. Patrol policji powołał się na przepis, który niedawno wszedł w życie. Reguluje on zakaz zakrywania twarzy w miejscach publicznych. Chodzi w nim o tych, którzy „nie są gotowi zaakceptować wartości oświeceniowych", albowiem oni „będą musieli opuścić nasz kraj oraz społeczeństwo". Argumentem ma być „społeczeństwo otwarte" i „otwarta komunikacja", którą uniemożliwia strój typu burka czy nikab. Nie pomogły tłumaczenia Hansa M., że czekają na niego dzieci. Po kwadransie trzepania samochodu i spisaniu delikwenta stróże prawa dali mu do zrozumienia, że to dopiero początek kłopotów. To nie nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu, jak mówi powiedzonko, tylko polityczna poprawność w oświeceniowym duchu.

Na zlecenie brytyjskiego kanału telewizji publicznej Channel 4 przeprowadzono sondaż. Badanie składało się z bezpośrednich rozmów z tysiącem muzułmanów zamieszkujących cały kraj. Dla porównania wyników przeprowadzono telefoniczne ankiety z 1 008 przedstawicielami ogólnej populacji. Światło dzienne ujrzały dwie informacje. Jedna dobra, druga zła. Dobra, że tylko 4 proc. wyznawców islamu popiera ludzi, którzy przeprowadzają zamachy terrorystyczne. Zła, że to ponad 100 tys. mieszkańców Brytanii. 52 proc. ankietowanych popiera delegalizację homoseksualizmu, a 47 proc. nie chce, by geje i lesbijki mogli wykładać w szkołach. Dla porównania tylko 4 proc. ogólnej populacji Albionu było przeciwnego zdania. Natomiast muzułmanie czują się bardziej związani z Wielką Brytanią niż większość mieszkańców. 86 proc. respondentów powiedziało, że przynależy do tego kraju – dla porównania podobną odpowiedź zaznaczyło 83 proc. populacji ogółem. 88 proc. ankietowanych jest zdania, że kraj jest dobrym miejscem dla muzułmanów, natomiast 78 proc. chciałoby integracji ze społeczeństwem brytyjskim. I tu leży pies pogrzebany. A na czyich zasadach?

Gdy w Polsce w Boże Narodzenie śpiewaliśmy kolędy, w Belgii i Holandii rekordy popularności zdobywał demoniczny teledysk, łatwo wpadający w ucho – „Kind van de duivel" („Dziecko diabła"). „Jestem dzieckiem diabła / Mamo, nie musisz płakać / Nie potrzebuję przemówienia, nie potrzebuję kwiatów / Rzuć alkohol i narkotyki na moją trumnę / Mam nadzieję, że to zagrasz na moim pogrzebie/" – śpiewa dwóch wytatuowanych kolesi w towarzystwie spędzonych do studia dzieciaków, którym założono na głowę czerwone, plastikowe rogi. Holenderskie i belgijskie pociechy nucą w domach pod nosem melodię kilka razy dziennie – alarmują niektórzy wstrząśnięci rodzice. W dodatku nagrano inne teledyski z udziałem małoletnich, których treścią są ta i inne satanistyczne piosenki. Wręcz roi się w nich od diabelskich symboli. Jeden osioł ze stajenki jest mądrzejszy od większości Flamandów i Walonów razem wziętych.

W według najnowszego raportu UE Polska to państwo homofobów i rasistów. Autorzy zwracali uwagę na charakter debaty publicznej, tło kampanii wyborczych, działalność parlamentarną, zapisy polskiego prawa. Skoro tako rzeczą eurokołchozowe „autorytety", to pozostaje tylko stwierdzić, że mamy do czynienia z największym komplementem z ich strony od 28 lat. Albowiem na powyższe epitety zasługuje według brukselskich socjotechników politpoprawności tylko naród, który stara się podążać za wartościami ujętymi w Ewangelii. Panie i panowie, tak trzymać! Czego w nowym roku życzymy sobie i wszystkim.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 150ab1bc81

Odkurzone piękno



Marta Kaczyńska

Ponad dziesięć lat temu miałam okazję zwiedzić Rezydencję Prezydenta RP Zamek w Wiśle – Narodowy Zespół Zabytkowy. Modernistyczna budowla zaprojektowana przez Adolfa Szyszko-Bohusza dla prezydenta Ignacego Mościckiego zachwyciła mnie wówczas swoją prostą formą, przestrzenią wnętrz i wyposażeniem, które stanowi wiele oryginalnych mebli z okresu międzywojennego, uchowanych przed zniszczeniem przez okupantów. Przeszklony salon, pełniący funkcje reprezentacyjne zarówno w przeszłości, jak i obecnie (zamek od 2002 r. ponownie pełni funkcję rezydencji prezydenta RP), został wyposażony w unikatowy zestaw mebli skonstruowanych z giętych rur chromowanych, pluszowych i skórzanych obić. Fotele i stoliki są dziełem Włodzimierza Padlewskiego i Andrzeja Pronaszki. Pierwszy z wymienionych był wieloletnim profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, przed wybuchem II wojny światowej zasłynął na Wystawie Światowej w Nowym Jorku, kiedy to wraz z Tadeuszem Piotrowskim otrzymał I nagrodę za projekt polskiego pawilonu. Andrzej Pronaszko to wybitny artysta plastyk, członek grupy Praesens, współcześnie znany jednak głównie ze swoich dzieł malarskich. W prezydenckiej rezydencji na zboczu Baraniej Góry można także obejrzeć żyrandole z epoki zaprojektowane przez Stanisława Bartłomiejczyka, zajrzeć do salonu kąpielowego Mościckiego, w którym znajduje się armatura z 20-lecia międzywojennego, a także odwiedzić jego gabinet. Zamek w Wiśle to miejsce wyjątkowe, zdecydowanie warte uwagi koneserów designu, ale i wszystkich zainteresowanych historią naszego kraju. Warto zaznaczyć, że jest to muzeum otwarte dla publiczności i zwiedzić może je każdy po uprzednim zgłoszeniu.

Wspomnienie rezydencji, stanowiącej kwintesencję wnętrzarskich trendów sprzed prawie stu lat, przyszło mi na myśl po otwarciu stałej galerii polskiego wzornictwa w gmachu Muzeum Narodowego w Warszawie. Do tej chwili rodzimi twórcy wnętrz byli albo skazani na zapomnienie, albo można było poznawać ich realizacje w trakcie wystaw czasowych, w kolekcjach prywatnych lub np. w takich miejscach jak rezydencja prezydenta. Zbiory przedstawione w Warszawie to zaledwie fragment składającego się z 25 tys. obiektów archiwum MNW, które przez wiele lat pozostawało zamknięte w magazynie w Otwocku Wielkim. Kuratorkom galerii Annie Demskiej, Annie Magi i Kai Muszyńskiej za pomocą 600 eksponatów udało się jednak stworzyć opowieść o polskim designie, począwszy od końca wieku XIX aż po współczesność. Historia naszego wzornictwa została przedstawiona za pomocą projektów Stanisława Ignacego Witkiewicza, Spółdzielni Artystów „Ład", Karola i Zofii Stryjeńskich – uczestników Wystawy Sztuk Dekoracyjnych i Nowoczesnego Przemysłu w Paryżu w 1925 r. W zbiorach można obejrzeć tkaniny Władysława Strzemińskiego, dzieła Jana Wróblewskiego, którego prace znajdują się m.in. w Museum of Modern Art w Nowym Jorku, czy ubrania wymyślone przez Barbarę Hoff. Na wystawie zgromadzono także przedmioty codziennego użytku, takie jak kultowa porcelana z Ćmielowa, aparat Alfa, gramofon Bambino, wyroby z Włocławka czy też współczesny stołek PLOPP projektu niesłusznie słabo znanego w Polsce Oskara Zięty.

Prace polskiego designu zyskały stałe miejsce na mapie Polski

Wyjątkowe prace polskiego designu zyskały swoje stałe miejsce na mapie Polski, co zwłaszcza w dobie popularności wszelkiego rodzaju rozwiązań dedykowanych architekturze wnętrz stanowi niezbędny i interesujący punkt odniesienia zarówno dla tych, którzy pasjonują się aranżacją wnętrz, jak i tych, którzy interesują się szeroko pojętą sztuką i chcą się przekonać, jaki potencjał tkwił w dawnych twórcach, a jaki drzemie we współczesnych, którzy nierzadko pozostają doceniani jedynie poza naszymi granicami.

W dniu 20 grudnia 2017 roku odszedł od nas

ŚP

HENRYK CIOCH

profesor,
Sędzia Trybunału Konstytucyjnego,
wybitny prawnik, serdeczny, przyjazny ludziom,
powszechnie szanowany.
Rodzinie i bliskim składamy
wyrazy współczucia

Prezes Trybunału Konstytucyjnego,
Sędziowie i pracownicy
Trybunału Konstytucyjnego

45/1217/F

eprasa.pl 150ab1bc81

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Prawie bezpieczne

Kolonia szykuje się do sylwestra. Władze miasta nie chcą powtórki z 2015 r. To wtedy doszło do licznych napaści na kobiety na tle seksualnym. Sprawcami byli imigranci z Afryki Północnej. Teraz bezpieczeństwa uczestników imprezy będzie strzegła większa liczba policjantów, a kobiety otrzymają „specjalną ochronę" w postaci silikonowej opaski na rękę z napisem: „Respect". Ma ona być sygnałem dla potencjalnych sprawców, że kobiety nie są bezbronne i nikt nie ma prawa naruszać ich godności. Niemcy przejmują więc pomysł szwedzkiej policji, który tam nie wypalił, bo sami funkcjonariusze uznali go za zbyt naiwny. Co jeśli takie zabezpieczenie nie wypali? Może władze Kolonii za rok zaproponują kobietom dla bezpieczeństwa założenie burek...



674,8 tys.

– tylu rodziców od stycznia do listopada 2017 r. skorzystało z urlopów na dzieci. Częściej dotyczy to kobiet (498,6 tys.) niż mężczyzn (176,2 tys.).

3,74 mld zł

– łącznie na taką wartość udzieliły banki w listopadzie 2017 r. kredytów mieszkaniowych. Liczba kredytów udzielonych od początku 2017 r. wzrosła o 6,3 proc., a ich łączna kwota powiększyła się o 12,6 proc. w stosunku do analogicznego okresu w 2016 r.

25 gr

– (z VAT) zapłaci od 2018 r. klient sklepu za możliwość zapakowania zakupów w plastikową torbę. Środki z tej opłaty recyklingowej mają pomóc chronić środowisko naturalne.



Moja wina, moja wina...

Minister sprawiedliwości RFN Heiko Maas przyznał, że niemiecki rząd nie był wystarczająco przygotowany do otoczenia opieką osób poszkodowanych w 2016 r. w zamachu terrorystycznym w Berlinie, i przeprosił za popełnione błędy. „Zadaniem polityków w demokratycznym państwie prawa jest uczenie się na błędach i odpowiedzialność wobec ofiar terroryzmu" – powiedział polityk SPD. Niemcy i uczenie się na błędach?! A łyżka na to (widząc skutki niemieckiej polityki imigracyjnej): „Niemożliwe".

Zakaz

W Wielkiej Brytanii w sieci restauracji McDonald's polscy pracownicy otrzymali całkowity zakaz porozumiewania się w języku ojczystym. To podobno dla dobra biznesu, bo język polski odstrasza klientów. Takiego zakazu na pewno nie dostaną muzułmanie mieszkający w Niemczech. I to nie dlatego, że podniósłby się skandal w związku z dyskryminacją ze względu na pochodzenie. Raczej dlatego, że niezbyt wielu pracuje. Wolą niemiecki socjal. Wyciąganie ręki w każdym języku wygląda tak samo.



eprasa.pl 150ab1bc81



Psom i Polakom wejście wzbronione

A skoro o dyskryminacji mowa, to pewien Brytyjczyk, właściciel łowiska znajdującego się w hrabstwie Oxfrodshire, postawił w 2009 r. na swoim terenie znak, który zabrania wchodzenia tam m.in. dzieciom, psom i Polakom. Przez lata interwencja Polonii w Wielkiej Brytanii była nieskuteczna, a właściciel łowiska znaku nie usunął. Teraz do sprawy postanowił się włączyć Radek Papiewski, który prowadzi specjalny projekt integrujący wędkarzy z różnych krajów świata. Mężczyzna złożył pozew cywilny przeciwko właścicielowi łowiska. Gdyby Brytyjczyk napisał na tabliczce, że psom, muzułmanom i Murzynom wstęp wzbroniony, pewnie poszedłby siedzieć. Ale nie od dziś wiadomo, że jeśli chodzi o równość, to są równi i równiejsi.

***Bardzo proszę Unię i innych przyjaciół Polski o jeszcze bardziej zdecydowane działania dyscyplinujące, a polskich parlamentarzystów europejskich o zdecydowane popieranie tych działań w Unii"* – wystąpił na Facebooku z błagalnym apelem Lech Wałęsa. I tylko nie wiadomo, czy to pisał sam Wałęsa, czy szalejący w jego komputerze haker, który działa na zlecenie władzy i w imieniu Wałęsy rozpowszechnia fake newsy. Jeszcze chwila i Wałęsa ogłosi, że tym hakerem jest Jarosław Kaczyński**

Reklama dźwignią handlu?

Jedna z piekarni w Londynie umieściła w bożonarodzeniowym żłóbku hot doga zamiast nowo narodzonego Jezusa Chrystusa. Tylko patrzeć, jak za rok w żłóbku pojawią się reklamy klinik proaborcyjnych czy prezerwatyw. Jak szaleć, to szaleć!



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (×2), hanohiki/Shutterstock.com

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

„Gwiezdne wojny". Drugie dno



Dominik Zdort

Murzyn i Azjatka zostają brutalnie rzuceni na ziemię, przygwożdżeni do podłogi. Biały rudzielec każe ich torturować, drugi z białych, podejrzany typek z niechlujnym zarostem, okazuje się zdrajcą, który wydał wspomnianą na początku parę w ręce złych ludzi... Poprawność polityczna w czystej postaci. W najnowszych „Gwiezdnych wojnach".

Nie chcę przez to powiedzieć, że „Ostatni Jedi" mi się nie podobał. Jest chyba najbardziej udanym filmem z tej serii w ostatnim czasie, najlepiej nawiązującym do klasycznej sagi z lat 1977–1983. Równoległe wątki akcji są poprowadzone w dynamiczny sposób, bohaterowie są wyraziści i ciekawi. Brakuje Hana Solo, ale wcielający się w jego syna Adam Driver (pamiętny kierowca autobusu Paterson z filmu Jima Jarmuscha) to kawał świetnego aktora i widać to nawet w tak rozrywkowej produkcji. Moja córka wprawdzie narzekała, że jakiś dziwny ten film, uzgodniliśmy też, że miał parę zakończeń, ale ogólnie wrażenie jest niezłe. Tym bardziej szkoda, że czasem lewicowo-liberalne przesądy twórców okazały się silniejsze od zdrowego rozsądku.

W tym filmie jedynymi całkowicie pozytywnymi bohaterami są kobiety. Księżniczka Leia (tym razem tytułowana generałem, dobrze, że nie generałką – to też znak czasów, że w „Gwiezdnych wojnach" nie ma już miejsca na monarchię) jest chodzącym ideałem. Młoda Rey to uosobienie szczerości i szlachetności. Wiceadmirał Amylin Holdo – symbol rozwagi i geniusz taktyki. Rose Tico (chyba pierwsza Azjatka w serii „Gwiezdnych wojen") jest uczciwa i dzielna. Wyjątek potwierdzający regułę to kapitan Phazma, no ale ona jest po stronie Zła.

Podobnie oczywiste jest, że wśród przeciwników Rebelii wszyscy faceci muszą być negatywnymi bohaterami, ale i pozostali – nawet ci, którzy nie należą do obozu Zła – nie są ideałami. DJ (zagrany przez wyśmienitego Benicia del Toro) to niby nowe wcielenie Hana Solo, ale nieporównanie mniej sympatyczne i bardziej cyniczne od pierwowzoru. Fin jest tchórzliwy i niepoukładany. Luke Skywalker – niezdecydowany i w depresji. Jedynym chyba wyjątkiem jest Chewbacca, ale to jednak specyficzny przypadek, bo można go zaliczyć do fauny.

Można się już niepokoić, co nowego nam zgotuje politycznie poprawny Disney w 2019 r. Oby się nie okazało, że dawna sympatia podstarzałego Luke'a Skywalkera do młodego Bena Solo miała drugie dno...

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 150ab1bc81

RZECZY POSPOLITE

Kod nieśmiertelności



Tomasz ***Łysiak***

Porównania do stanu wojennego to mało! Chłopaki z KOD, chłopaki z Ubywatelskich ruchów, poeci z Nowoczesnej, bardowie i skaldowie z PO, idźcie dalej. Niech was poezja unosi na falach i niech wam wiatry wschodnio-absurdalne dmą w mózgi jak w żagle. Bierzcie się do mocniejszych porównań, chociaż rozumiem, że najbliżej wam właśnie do ZOMO, Urbana, Jaruzela i Kiszczaka, to przecież ich kumple idą z wami we wszystkich pochodach, to razem wznosicie okrzyki i ciskacie jajkami.

Hitler, Himmler i naziści? Też już przeciwczyliście, przypisując idącym w Marszu Niepodległości hasło „Módlmy się za islamski holokaust".

Ale dlaczego nie sięgniecie po inkwizycyjne stosy? Narysować można by choćby Kijowskiego jako Husa stojącego na stosie ułożonym z faktur, do których zbliża się ktoś z pochodnią w ręku? A może pokażcie posłów PiS jako hiszpańskich konkwistadorów, którzy z morderczym błyskiem w oku wieszają na drzewach (zamiast liści) czerwonoskórych lewicowców?

Proponuję, byście nakręcili teledysk „Dzień Niepodległości". Mam gotowy scenariusz. Oto nad Warszawą pojawiają się wielkie spodki ze znakami PiS, czarnymi krzyżami i napisami „Pray for islamic holocaust". Zawisają nad Pałacem Kultury i Nauki. Z jednego spodka strzela laser, który rozbija budynek im. Stalina, a potem zaczyna walić po obywatelach wolnego świata. Spala ich. Na chodniku zostają tylko białe róże... jedyny ślad po prawdziwie wolnych ludziach. Wielkie dyski niszczą praktycznie cały świat. Zostają tylko ostatnie dwie twierdze... Dwie wieże. Czerska Wieża i Wiertnicza Wieża. Stamtąd wyjdą obudzeni bohaterowie przeszłości.... Z gilotyną w jednej ręce i dziełami Marksa w drugiej ruszą z odsieczą: Stalin i Lenin, Pol Pot i Mao, Fidel i Robespierre. A za nimi rebelianci. Na czele Tom Cruise grający Mateusza Kijowskiego i Tom Hanks odgrywający Katarzynę Lubnauer. Napis „Dzień Niepodległości" znika. Zamiast niego pojawia się inny, coraz większy i większy, wypełniający cały ekran... „KOD NIEŚMIERTELNOŚCI".

Piekło i niebo



Piotr ***Cywiński***

Jest źle. Tak źle, że gorzej być nie może. Po dwóch latach autorytarnych rządów, demolowania państwa przez tę partię neofaszystów, Prawo i Sprawiedliwość popiera więcej Polek i Polaków, niż wtedy gdy zapewne przez pomyłkę na nie głosowało. Na tych ćwoków, durniów, na te kanalie, chamów, prostaków i paranoików, na tę hołotę, tych dziadów, szkodników, plugawców, nikczemników, na te świńskie ryje, obłudników, karłów moralnych, na te katolickie cioty, na te zera... – jak cytowałem niedawno na portalu wPolityce.pl imponderabilia dotyczące PiS, autorstwa ówczesnej partii władzy, Platformy tzw. Obywatelskiej na temat kaczystowskiej opozycji. Niestety, mimo tych wysiłków zdobyła władzę, trzyma się jej kurczowo i chyba w przewidywalnym czasie nie odda...

Czyż nie jest tragicznie?! Mimo doinformowania przez PO unijnych funkcjonariuszy i podjęcia stosownych inicjatyw przez Brukselę, ci – patrz wyżej – nie ustępują miejsca sprawdzonej, przyjaznej obywatelom, jedynie słusznej partii, która wiedziała, jak rządzić i między kogo dzielić. No, ręce opadają! Na dodatek premier zmienili, ze złej na jeszcze gorszego... Świat mógł zobaczyć i usłyszeć, gdzie naród ma takie numery, jak nim pogardza, reprezentanci Obywateli dobitnie to wykazali podczas exposé tego nowego – jak mu tam – Morawieckiego, żadnych oklasków, miny grobowe, buczenie... Niech wie!

Wigilia była. W wigilię to ponoć nawet teściowe i zwierzęta mówią ludzkim głosem. A ci – patrz wyżej – aroganci swoje, tonu nie zmieniają i jeszcze z gębą do Unii troszczącej się o nasz, polski, zagubiony naród, żeśmy nie „petenci", że będzie „kontynuacja", że „sieją"... A co oni mogą zasiać, niezgodę tylko, w kraju i za zagranicą. „Za komuny była walka, ale nie tak bezczelna, jak oni robią. Dojdzie do wielkiej konfrontacji! Ja jestem wciąż na czuwaniu i proponuję, żebyście też czuwali, bo będę musiał jeszcze raz dać polecenie, dość mamy tego wszystkiego", zapowiedziała znana w całym bożym świecie „ikona »Solidarności«" z Matką Boską w klapie.

„Bóg nie skazuje nas na piekło, o ile sami siebie na nie nie skażemy. Być grzesznikiem to nasze nieszczęście, ale być tego świadomym to nasza nadzieja...", prawił bliski papieżowi Janowi Pawłowi II biskup Fulton John Sheen. Pan Bóg na szczęście jest z nami. I z tym optymistycznym akcentem wkraczajmy w nowy rok!

eprasa.pl 150ab1bc81



Krzyż Wolności i Solidarności dla Grzegorza Biereckiego

Senator Grzegorz Bierecki, przewodniczący senackiej komisji budżetu i finansów publicznych, został odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności. W imieniu prezydenta Andrzeja Dudy odznaczenia dokonał prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr Jarosław Szarek. Uroczystość odbyła się w sali BHP Stoczni Gdańskiej

Jesteśmy w miejscu szczególnym, bo to w tej niezwykłej sali zmieniła się historia Polski. To tu powstało to, co daliśmy najpiękniejsze Polsce i Europie. Są tu ci, którzy pierwsi wypełnili słowo »solidarność« treścią. To miejsce jest miejscem nadziei na lepszą i wolną Polskę. Ten czas, to miejsce w roku 1970 i później 13 grudnia 1981 r. Wszyscy znamy te fotografie – kordon zomowców i lufy wymierzone w was, w naszą »Solidarność«. Gdzie dziś są ci ludzie? Gdzie jest tamten system? Nie ma. Minęło 36 lat, ale dziś w pełni widać państwa zwycięstwo. To państwo własną ofiarą i własnym poświęceniem nas do tego miejsca przyprowadzili. I za to państwu dziękujemy" – mówił dr Jarosław Szarek.

Prezes IPN skrytykował też w swoim przemówieniu haniebne porównania dzisiejszej rzeczywistości do stanu wojennego, których często używa opozycja parlamentarna. Zaapelował również o poszanowanie i pamięć o bohaterach „Solidarności".

Wśród odznaczonych Krzyżem Wolności i Solidarności był senator Grzegorz Bierecki, który w działalność opozycyjną zaangażował się jeszcze w czasie nauki w IV Liceum Ogólnokształcącym w Gdańsku. Od 1981 r., kiedy został wybrany na przewodniczącego ogólnopolskiego komitetu założycielskiego Federacji Młodzieży Szkolnej, organizował niejawne struktury Solidarności Młodych. Tej działalności nie przerwał wybuch stanu wojennego, nie przerwało jej też trzymiesięczne aresztowanie w 1984 r. Zwolniony na mocy amnestii angażował się w reaktywację lokalnego, działającego w podziemiu Niezależnego Zrzeszenia Studentów. To tam brał udział w redagowaniu wydawnictw drugiego obiegu. W latach 1989 –1991 pełnił funkcję szefa biura Krajowej Komisji NSZZ „Solidarność" w Gdańsku.

Krzyż Wolności i Solidarności został ustanowiony przez Sejm 5 sierpnia 2010 r. Po raz pierwszy przyznano go w czerwcu 2011 r. przy okazji obchodów 35. rocznicy protestów społecznych w Radomiu. Krzyż nadawany jest przez prezydenta RP, na wniosek prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, działaczom opozycji wobec dyktatury komunistycznej, za działalność na rzecz odzyskania przez Polskę niepodległości i suwerenności lub respektowanie praw człowieka w PRL. Źródłem uchwalenia Krzyża Wolności i Solidarności jest Krzyż Niepodległości z II Rzeczypospolitej.

Odznaczenia otrzymało 28 osób: Bakiera Aleksandra, Banit Jan, Bering Danuta, Bielawski Zbigniew, Bierecki Grzegorz, Czapiewski Leon, Ćwikła Bogdan, Dobrzyński Wojciech, Domaradzka Irena, Filipkowski Antoni, Hejcz Barbara, Klimiuk Andrzej, Kołakowski Andrzej, Kortoniuk Kazimierz, Mazur Krzysztof, Miatkowski Maciej, Opuchlik Ireneusz, Oświecimski Bogumił, Pączek Roman, Sadowska Danuta, Suzga Tadeusz, Trzaska Andrzej, Wereszczyński Witold, Wolarz Jan, Wołyniec Tadeusz Jan i pośmiertnie Dąbrowski Zbigniew, Konopka Bolesław i Koziatek Jan.

Artur Ceyrowski

eprasa.pl 150ab1bc81

Kara za Trójmorze

Polska wreszcie dorosła. Artykuł 7 to rytuał przejścia. Właśnie przechodzimy okres próby, czy potrafimy być podmiotowi, czy zasługujemy na niepodległość



Fot. AFP/EAST NEWS



MACIEJ PAWLICKI

W wielu kulturach rytuał przejścia jest obchodzony jako sprawdzian dojrzałości kandydata: młodzieniec musi przejść dość ciężką próbę, by udowodnić, że jest już gotów do wejścia w świat dorosłych. Że na to zasługuje. Bo jest poważny i odważny. Wytrzymały na ból i stres, w obliczu zagrożenia czujny, ale wystarczająco spokojny, by podejmować właściwe decyzje. Że jest mądry, bo potrafi ocenić swoje położenie, nazywać swój cel i – omijając pułapki – rozpoznawać do niego drogę.

Wraz z uruchomieniem przez brukselskich urzędników „paragrafu 7" Polska właśnie rozpoczęła przechodzenie z kategorii państw niepoważnych i skolonizowanych do grupy państw podmiotowych. Nie tylko samostanowiących, lecz przede wszystkim samodzielnie definiujących swój narodowy i państwowy interes oraz ośmielających się otwarcie i konsekwentnie działać ku jego realizacji. Polska rozpoczęła przechodzenie do grona liderów międzynarodowej społeczności. A tak, wcale nie przesadzam. Kiedy dwa lata temu pisałem, że mamy na to wielką szansę, wielu pokiwało głowami z pobłażaniem, że to mrzonki i naiwne chciejstwo. Tyle tylko, że Polska nie ma wyjścia – albo będzie wielka, albo nie będzie jej wcale.

Żyjemy między dwoma dużymi narodami, których polityczna mentalność oparta jest na uzurpowaniu sobie prawa do kolonizowania sąsiadów. Między dwoma nieuleczalnymi drapieżnikami, którzy w różnych okresach stosują różne metody, by Polskę sobie podporządkować. Nie mamy więc wyboru, zadowolenie się rolą średniaka prowadzi do utraty niepodległości, bez względu na to, czy to średniak osamotniony (jak w dwudziestoleciu międzywojennym), czy średniak potulny i kolonizowany (jak w dwudziestopięcioleciu postkomunistycznym). Polska – by istnieć – musi być ambitna, zdeterminowana i konsekwentna w realizowaniu swej racji stanu, jaką jest rola lidera.

Ile jest w Europie takich państw ambitnych? Cztery: Niemcy, Francja, Anglia i Rosja. Jeśli mentalnie azjatycką Rosję do Europy zaliczymy. Tuż koło Europy jeszcze Izrael i Turcja, które sobie swą podmiotowość po prostu wzięły, nikogo nie pytając o zdanie. Ambicje Hiszpanii dawno minęły, dziś ma kłopoty sama z sobą, Włosi dawno oddali Francji pierwszeństwo w basenie śródziemnomorskim, a dziś dygocą jako platforma wkraczającego islamu. Anglicy – zbrzydzeni uzurpacją brukselskich urzędników – przypomnieli sobie dobrodziejstwa „splendid isolation". Wymyślona przez Schumana i de Gasperiego unia wolnych, podmioto-

eprasa.pl 150ab1bc81

wych, szanujących się i równych państw już całkiem otwarcie przekształcana jest w Unię Niemiecką Narodu Europejskiego, czyli IV rzeszę niemiecką ze stolicą w Berlinie. Zarządzane przez Niemców superpaństwo całkowicie podporządkowane kaście panów dobieranych nie rasowo, ale ideowo. Liberalno-lewicowe dogmaty stały się nową religią, która niszczy inne. Z wyjątkiem islamu, którego używa jako młota na chrześcijaństwo, nie widząc, że pewnie sama od tego młota zginie.

CAŁKOWITA ZGROZA

W tym niemiecko-francuskim planie Polska ma na zawsze pozostać skolonizowaną montownią, rynkiem zbytu gorszych towarów sprzedawanych drożej, rezerwuarem taniej siły roboczej, eldoradem pozbawionym własnych rządów i reguł chroniących tubylców przed przemocą oraz korupcją. Państwem zawstydzonych, zgiętych w pół i mnących w dłoniach czapki tubylców, których jedynym marzeniem jest ukrycie swej polskości i praca dla Niemca za ćwierć stawki. I oto po znakomicie umożliwiających skolonizowanie Polski rządach Balcerowicza, po cudownych ośmioletnich rządach kapciowego Angeli Merkel, całkiem nagle (oczywiście nie „nagle", ale dla niemieckich, francuskich i brukselskich urzędników czerpiących wiedzę o Polsce z „Gazety Wyborczej" okropnie nagle) Polacy wybrali rząd, który realizuje politykę ambitną i podmiotową. Dla Polski przecież nieprzewidzianą, Polakom przecież zakazaną.

Polska uzdrawia kolejne obszary chorego państwa, dofinansowuje rodziny, straszy oszustów i odbiera im miliardy, ośmiela się nie kupować francuskich nielotów wciskanych nam jako śmigłowce. Odbudowuje narodową dumę i wzmacnia obronność. Już wie, że jest „foreign owned", że wyprzedała sama siebie na gigantyczną skalę. Zbliża się z USA, utrudniając wypchnięcie z Europy i niemiecką hegemonię. Knuje z Chińczykami, wyrażając chęć odgrywania kluczowej roli w nowym jedwabnym szlaku. Z gazoportu chce zaopatrywać południową Europę, a przez via Baltica wzmacniać wspólnotę interesów od Estonii po Grecję. Przekopie Mierzeję Wiślaną, odbuduje skasowany przez Unię polski przemysł stoczniowy, zbuduje centralny port komunikacyjny („nową Gdynię w środku Europy"), który konkurować będzie z portami niemieckimi i z czasem może tę rywalizację wygrać. Stawia na innowacje, chce być wśród liderów nowej technologicznej rewolucji. Nadal zakazuje aborcji, chroni instytucję małżeństwa, a odmawiając dyktatowi przyjmowania imigrantów, twardo stoi na straży swej etnicznej, kulturowej i religijnej jednolitości. Wraca do niezapłaconych Polsce reparacji za niemieckie zbrodnie. Ogłasza ideę Trójmorza, zaprasza szefów kilkunastu państw i uświadamia im wspólnotę interesów, która – gdy uświadomiona – daje wielką siłę. I to bez zgody Berlina, Brukseli i Moskwy! Zapowiada zniesienie sztuczek prawnych, za pomocą których koncerny wyprowadzają z Polski setki miliardów... I to wszystko czyni ludek podbity, skolonizowany, jeszcze tak niedawno, za Tuska, całkowicie posłuszny i potulny... No zgroza, całkowita zgroza.

A teraz jeszcze, mimo tylu ostrzeżeń, że nie wolno, uzdrawiają system sądownictwa, który na zawsze miał pozostać postkomunistyczny, chory, skorumpowany i nieefektywny. W Niemczech sędziów mianują prezydent i ministrowie, w demokratycznych krajach nie ma „kasty" pozostającej poza demokratyczną kontrolą i samo się wybierającą. Ale polaczkom wara od skuteczności sądów. Mają pozostać w bagnie imposybilizmu, a państwu swemu nie ufać i go nienawidzić. Sprawiedliwe, skuteczne sądy grożą tym, że Polacy na masową skalę zaczną się ze swym państwem utożsamiać, wiązać z nim swe nadzieje i ambicje. Nie wolno do tego dopuścić, jedyną nadzieją i punktem odniesienia Polaków mają być – jak za Tuska – Unia Europejska i objawiane przez Brukselę prawdy o świecie.

RYTUAŁ PRZEJŚCIA

Uruchomienie przez unijnych urzędników procedury karnej to znacznie więcej niż arogancja, obłuda i pogarda. Dla nas to rytuał przejścia, dla nich rozpaczliwa próba zatrzymania polskiej ambicji stawania się państwem poważnym. Gra idzie o miliardy tak gładko wyprowadzane z Polski, ale także o bardzo poważne interesy międzynarodowe, a nawet globalne. To – skracając symbolicznie – kara za Trójmorze. Europą rządzą dwa duety, w obu są Niemcy. Część decyzji uzgadniają z próżnymi i patologicznie asertywnymi Francuzami, a część – z zakompleksionymi i bezwzględnymi Rosjanami. Obu tym niemieckim duetom polska ambicja bardzo przeszkadza, więc ich kapciowe Timmermansy i Junckery rzeczywiście nie miały wyjścia, muszą coś robić, bo – wierząc Michnikowi, że Komorowski będzie zgiętymi polaczkami rządzić do końca świata – strasznie „polskie sprawy" zaniedbali.

Kiedy i dlaczego powstały „Polish jokes", dowcipy o głupich Polakach? Wcale nie wtedy, gdy w USA pojawiła się fala Polaków, którzy przyjechali za chlebem, choć w większości byli to ludzie prości. „Polish jokes" wymyślono dopiero wtedy, gdy amerykańscy Polacy zaczynali zdobywać pieniądze, edukację, obejmować cenione zawody, awansować w pozycji społecznej, stanowić realną konkurencję. „Polish jokes" były rozpaczliwym narzędziem powstrzymywania awansu Polaków.

W tradycyjnym rytuale przejścia zazwyczaj asystują członkowie społeczności, witają nowo przybyłego. Wchodząc do grupy liderów Europy, nie oczekujmy, że ktoś nas przywita. Będą nas zawstydzać, grozić nam i życzliwie doradzać, byśmy pozostali w kącie pokornie skuleni i zawsze pytający, co nam wolno myśleć. „Ścieżka zdrowia", jaką robią nam unijni ormowcy, jest żałosna i nieprzyjemna, ale zrozumiała. Walczą o to, by nas nie wpuścić do pierwszej ligi.

Dzięki Bogu wkroczyliśmy na drogę budowania w sobie siły, rozumienia, co jest polskim interesem, polską racją stanu. Świętowanie 100-lecia odzyskania niepodległości przypada na czas kolejnej próby zniewolenia, zniszczenia polskiej ambicji i woli życia. Idzie o to, by „znów porządek zapanował w Warszawie". Ale my, drodzy panowie, będąc przez Opatrzność postawionymi w tym miejscu świata, nie mamy wyjścia – Polska musi być wielka. I będzie.

eprasa.pl 150ab1bc81

Ten atak na Polskę zamówiła opozycja

To ona tę akcję wymusiła. Donosili, błagali, żebrali, nadzorowali. Użyli też Tuska. Działali jak współczesna targowica. Musimy zdjąć rękawice i kontratakować

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Jackiem Saryusz-Wolskim, posłem do Parlamentu Europejskiego, ekonomistą, znawcą spraw europejskich

„Robimy to dla Polski" – stwierdził wiceszef Komisji Europejskiej Frans Timmermans, tłumacząc, dlaczego KE zdecydowała się na uruchomienie procedury artykułu 7.1 przeciwko Polsce. A opozycyjne media donosiły z kuluarów, że miał łzy w oczach, gdy podejmował tę decyzję. Skąd ta troska?

Jacek Saryusz-Wolski: Raczej cynizm.

Dlaczego?

Napisałem o tym w liście otwartym do komisarza Timmermansa: „Wobec realnych problemów korupcji, naruszeń rządów prawa na Malcie, Pan, Panie Komisarzu Timmermans, milczy i nie uruchamia procedury. Czy dlatego, że jest to rząd Pańskiej rodziny politycznej, socjalistów? Nie miał Pan takich zahamowań, by wytoczyć działa kłamliwych oskarżeń wobec Polski, przepisując, słowo w słowo, »copy-paste«, fałszywe zarzuty totalnej opozycji, broniącej patologii minionych rządów i pozostałości po komunizmie".

Nazwał pan to „paradoksem Timmermansa". Na czym ten paradoks polega?

Po pierwsze, na milczeniu w sprawie korupcji w łonie własnej, socjalistycznej rodziny. Po drugie, na atakowaniu tych, którzy, jak w Polsce, mając demokratyczny mandat, naprawdę korupcję zwalczają, reformując chory, obarczony patologiami system sądowy, niezreformowany od czasów komunizmu, niezlustrowany, obciążany powiązaniami z układami o charakterze przestępczym i korupcyjnym. Po trzecie, na stawaniu po stronie tych, którzy chcą chronić i konserwować patologie polskiego sądownictwa. To odwrócona hierarchia wartości. Komisja Europejska nie chce widzieć, że w Polsce dokonuje się sanacja chorego państwa i wymiaru sprawiedliwości, że jest to próba dokończenia rewolucji „Solidarności", spóźniona o 25 lat, a nie żadne naruszanie zasad demokracji i rządów prawa.

Główne pytanie nie dotyczy jednak oceny moralnej, bo zgoda, że inspiracja polityczna tych decyzji jest ewidentna, ale tego, co jest na końcu tej drogi. Czy mogą nam zrobić krzywdę?

Z dwojga złego, czyli grillowania Polski w nieskończoność albo uruchomienia art. 7, lepsze jest to drugie. Dlatego, że musi to niechybnie zakończyć się porażką Komisji Europejskiej już w etapie drugim, czyli przy art. 7.2. Należy ubolewać, że KE zdecydowała się na tę bezprecedensową, ale zarazem bezpodstawną – jeżeli chodzi o podstawy prawne i meritum oskarżeń wobec Polski – procedurę. Finał tej sprawy jest jednak przewidywalny, bo nie będzie jednomyślności w radzie. A to znaczy, że w grę nie wchodzą sankcje, a grillowanie Polski się zakończy. Zwracam uwagę, że nękanie kraju członkowskiego jest, według służb prawnych Rady, nielegalne. A to jest nękanie, które wyrządza Polsce szkody.

Nie ma więc szans na dojście do art. 7.3, bo przy art. 7.2 nie będzie już jednomyślności wszystkich krajów?

Tak, nie będzie art. 7.3, jeśli nie przejdzie art. 7.2, a art. 7.2 wymaga jednomyślności. Są trzy etapy, pierwszy zostaje teraz uruchomiony. Komisja wyprzedziła tutaj europarlament, bo przecież on też wkroczył na tę drogę. Ta sprawa wpłynie teraz do Rady, prezydencja bułgarska zadecyduje, kiedy procedować. 4/5 krajów członkowskich UE (czyli 22) oraz 2/3 parlamentu muszą teraz podzielić zdanie, że jest wyraźne ryzyko poważnego naruszenia praworządności w Polsce. Jeśli tak by się stało, co wcale nie jest oczywiste, to tylko wtedy następuje

eprasa.pl 150ab1bc81



Fot. Andrzej Wiktor

przejście do fazy drugiej, czyli art. 7.2, gdzie musi być jednomyślność, a tej nie będzie. Nie tylko Węgry staną po stronie Polski.

Które jeszcze kraje mogą nas poprzeć?

Można się tylko domyślać. Żaden kraj nie jest bowiem skłonny do tego, by wyprzedzająco to komunikować. Oczywiście poza Węgrami, które w tej materii mają szczególną sytuację, bo są następne w kolejce do tej procedury. Według mnie niejeden kraj zgłosi weto w tej sprawie, więc moim zdaniem nie ma szans na art. 7.3. Niech Komisja dopełni procedury, skoro się na to niestety zdecydowała, niech tym samym zakończy grillowanie Polski, a potem niech odejdzie. Uruchomienie art. 7 stanowi oczywiście paliwo dla przeciwników naszego kraju, a także dla totalnej opozycji. W tle jest Rosja. Sądzę bowiem, że rosyjskie interesy w Europie są również zaangażowane w procedurę sankcyjną wobec Polski.

Timmermans powiedział w trakcie konferencji, że widział już newsy w Polsce nazywające uruchomienie art. 7 „opcją atomową", a to jest tylko „kolejny krok w stronę dialogu". Widać, że się dobrze bawi.

Motywacje komisarza Timmermansa są zawiłe, zapętlił się, nie słucha argumentów. Procedura nadzoru praworządności stosowana przez Komisję jest pozatraktatowa, co stwierdziła ekspertyza Sekretariatu Rady. Wywodzenie z deklaratywnego art. 2 traktatu preskryptywnych uprawnień KE prowadzi do nadinterpretacji i falandyzacji prawa europejskiego. Tymczasem według traktatów sądownictwo i ustrój sądów są w kompetencji państw członkowskich. Podobnie jest z wiekiem emerytalnym. Stąd naciągane zarzuty, pod pozorem równości płci albo domniemanego naruszenia konstytucji. To procedura politycznie Polsce nieprzyjazna. Dominująca opcja lewicowo-liberalna postanowiła się rozprawić z krnąbrnymi Węgrami oraz Polakami i przetestować rozciągliwość traktatów.

Pewne nadzieje na skuteczniejszy dialog łączy się w Polsce z premierem Mateuszem Morawieckim. Podziela je pan?

Ma wszelkie dane po temu, by skutecznie negocjować, ale natura sporu jest strukturalna. Wynika z pozycji przyjętej przez Brukselę, która nie chce uznać, że to, co dzieje się w Polsce, to jest – wspomniana przeze mnie w liście otwartym do Timmermansa – druga faza rewolucji solidarnościowej, proces sanacji polskiego życia publicznego. Po stronie Brukseli nie ma gotowości, co wynika albo z ignorancji, albo ze złej woli, żeby zrozumieć naturę zmian w Polsce. Po stronie polskiej jest zaś determinacja, żeby z tej historycznej szansy naprawy państwa skorzystać. To powoduje, że ta relacja jest tak trudna.

Osobowość polityka, obycie w świecie nie mają znaczenia?

Jako człowiek obserwujący politykę europejską od kilku dekad i znający jej trzewia wiem, że czynnik osobowościowy jest bardzo ważny, ale wtórny wobec interesów, tych jawnych i tych ukrytych. Ważne są obycie w świecie i znajomość języków, ale także operowanie tym samym kodem kulturowym co establishment brukselski. Żeby nastąpiła widoczna zmiana, musi się pojawić choćby chęć zrozumienia polskich racji albo zmiana wśród elit unijnych, co wskutek procesów demokratycznych w państwach członkowskich może nastąpić. Jeśli wystąpi któryś z tych czynników, wtedy walory szefa polskiego rządu będą idealne do wykorzystania szansy.

Ludzie dziś rządzący Unią są zdolni do takiej przemiany?

Musimy ich do tego przekonywać. Na razie mamy złamanie jednej z ważnych zasad Unii przez Komisję Europejską, która postanowiła, wbrew traktatom, wkroczyć w wewnętrzną politykę kraju członkowskiego, w obszarze, który nie podlega wspólnotowym regulacjom. Rządzący dziś w Brukseli nurt lewicowo-liberalny testuje na Polsce, ale i na Węgrzech, jak daleko może się posunąć.

Sprawdza swoją siłę?

Sprawdza, czy może z powodów ideologicznych wkraczać, selektywnie i uznaniowo, w wewnętrzną scenę polityczną w poszczególnych krajach, czy może stawać po stronie jednej ze stron sporu politycznego. Wcześniej było to nie do pomyślenia, KE miała być obiektywnym arbitrem pilnującym całości, dobra wspólnego, strzegącym traktatów oraz interesów słabych. Teraz, za kadencji przewodniczącego Junckera, staje się politycznie zaangażowanym uczestnikiem gry, aktorem politycznym podatnym na wpływy koncertu wielkich stolic. Ten proces zaczął się wraz z wejściem w życie traktatu lizbońskiego i nowego systemu głosowania, który zaburzył wewnętrzną równowagę polityczną i instytucjonalną w UE. Sprawił, że Komisja Europejska została zdominowana przez wielkich, przestała być obrońcą zasad i pilnującym interesów całości, w tym krajów mniejszych i uboższych. To poważnie rzutuje na kryzys w stosunkach z Polską.

Jak rozumiemy, siła sporu Brukseli z naszym krajem i Węgrami jest tak duża, gdyż jednocześnie działają dwa dynamiczne czynniki. Z jednej strony oba kraje próbują się wyrwać z pułapek postkomunizmu, z drugiej – Komisja chce pójść w kierunku większej kontroli nad państwami.

Tak. KE przypisuje sobie uprawnienia, których nie ma. Wkracza w obszary takie jak polityka imigracyjna czy system sądowniczy, które nie są jej kompetencją. Jest to wyraźnie zapisane w traktatach. Państwa narodowe nigdy tych kompetencji nie scedowały na rzecz Komisji.

Łamie prawo?

W Polsce znamy takie określenie jak „falandyzacja prawa". Komisja samodzielnie dokonuje rozszerzającej interpretacji prawa. Rozpycha się łokciami. Dobrze to widać na konkretach. Weźmy choćby sprawę tzw. pracowników delegowanych. Próba zamknięcia tej ścieżki konkurencji dla firm z państw naszego regionu jest oczywistym naruszeniem zasady swobody przepływu usług. I KE za czasów Barrosa też stała na tym stanowisku, broniła tego. Komisja za Junckera odwróciła pogląd o 180 stopni, uczyniła

eprasa.pl 150ab1bc81


Fot. Andrzej Wiktor

to swoim celem. Komisja Barrosa nigdy by nie wkroczyła w kompetencje państw narodowych próbą przymusowej, kwotowej relokacji imigrantów. Nigdy by też nie próbowała meblować państwom systemu sądowniczego.

Tylko Polsce to nie pasuje?

Wielu nie pasuje, ale Polska z racji swojej siły i wielkości idzie jak lodołamacz przed innymi, przeciera pewne szlaki, płacąc za to cenę. Inni się za nami kryją, czasami dołączając się do nas, czasami rejterując. Komisja już wie, że inni patrzą na Polskę, i wie, że gdy złamie nasz opór, to inni też się wycofają. To wszystko nie ma podstaw w unijnym prawie ani tradycji, ale dzieje się na naszych oczach. Myślę, że odejście od korzeni zaszło już tak daleko, że Robert Schuman czy De Gasperi, ojcowie założyciele Unii, nie przeszliby w głosowaniu na unijnego komisarza, tak jak nie przeszedł kiedyś Rocco Butiglione.

Kiedy więc cała lewica europejska i polska woła: „Gwałcicie unijne zasady", pan mówi, że jest odwrotnie – to my próbujemy ich bronić, a depcze je Bruksela?

Tak. Nasze oczekiwania, że Unia będzie działała zgodnie z traktatami, że będzie korzystała tylko z tych narzędzi, które przyznały jej państwa członkowskie, są absolutnie uprawnione. Musimy też widzieć szerszy kontekst, o którym często mówię, choć mało kto chce słuchać. Otóż nie jest tak, że wszyscy chcieli wielkiego rozszerzenia. I nie jest tak, że wszyscy uznali nas za pełnoprawnych członków tej wspólnoty. Dla niektórych prezydentów Francji i Martina Schulza jest jasne, że my mamy siedzieć cicho, kiedy Niemcy czy Francja zabierają głos.

Warto ponowić pytanie: dlaczego tak wiele państw to akceptuje? Zwłaszcza w naszym regionie, który najwięcej na tym traci.

Dojrzałość państw Europy Środkowo-Wschodniej do stawiania oporu postępuje bardzo powoli. Każde z nich jest jakoś na dorobku, ma swoje trochę inne, często żywotne, interesy. Weźmy Bułgarię i Rumunię. Te państwa starają się o wejście do strefy Schengen i wszystko temu podporządkowały, ma to dla nich absolutny priorytet. Dla Bałtów z kolei rosyjskie zagrożenie jest tak duże, że wszystko inne jest mniej ważne.

A Europa Zachodnia jest zadowolona w całości ze status quo?

Nie ma czegoś takiego jak jedna Europa Zachodnia. W samym Parlamencie Europejskim jest wiele nurtów, choć dominuje lewicowo-liberalny. Dynamicznie zmienia się polityka wewnętrzna w wielu krajach: od Austrii, przez Hiszpanię, Włochy, aż po Niemcy. Powstają nowe partie. To są ruchy tektoniczne, ich skutki docierają do Brukseli.

No właśnie, wiele krajów ma wewnętrzne problemy, ale tylko Polska jest na celowniku. Dlaczego? Skąd ten „paradoks Timmermansa"?

Trzeba powiedzieć jasno: obecnego ataku na Polskę nigdy by nie było, gdyby nie zachęty, prośby i wsparcie ze strony opozycji totalnej.

Aż tak?

Aż tak. Gdyby nasza totalna opozycja nie donosiła, gdyby nie domagała się, suflowała, żebrała, błagała, prosiła, nadzorowała, dyrygowała, gdyby nie Donald Tusk, to w ogóle byśmy dzisiaj o tym nie rozmawiali, bo żadnej akcji przeciw Polsce by nie było. Wobec dużego kraju, jakim jest Polska, takich rzeczy się nie robi. A jeśli już, to tylko za przyzwoleniem głównego nurtu jego sceny politycznej. Nasza obecna opozycja nie tylko takie przyzwolenie dała, lecz sama tę akcję wymusiła i wywołała. Dlatego można ją nazywać targowicą. Jako insider znam instytucje unijne od środka, nie o wszystkich źródłach mojej wiedzy mogę mówić. Ale wiem, naprawdę wiem, że to, co zostało zrobione, było na wyraźną prośbę i zamówienie totalnej opozycji. Powtarzam: na wyraźne zamówienie.

Komisarze w większości mieli już tego dość, opędzali się, widzieli, że nie ma podstaw, że jest silny mandat demokratyczny dla obecnego rządu. Ale byli nagabywani, przymuszani, by działać, by wytaczać działa.

I dlatego powiedział pan, że wysiada z Platformy Obywatelskiej na przystanku niepodległość?

Na przystanku Polska. Tak powiedziałem. To był imperatyw. Pamiętam ten moment, gdy uznałem, że dłużej nie mogę czekać na otrzeźwienie PO i jej ludzi. Usłyszałem Donalda Tuska, przewodniczącego Rady Europejskiej, mówiącego, iż popiera procedurę przeciw Polsce, a w konsekwencji – sankcje. Swoją drogą, jest w archiwach prasowych wczesna wypowiedź Donalda Tuska dla „Financial Times", w której opowiada się przeciwko tej procedurze wobec Polski. Potem nagle zmienił zdanie.

Dostał telefon z Berlina?

Wyjaśnienie przyczyn zmiany tej decyzji to już zadanie dla dziennikarzy śledczych. Jedno jest pewne: znam dobrze Brukselę i wiem, że bez tego przyzwolenia ze strony byłego polskiego premiera, przewodniczącego Rady Europejskiej, Komisja Europejska dalej by się nie posunęła. A potem już lewicowo-liberalna KE dała panu

eprasa.pl 150ab1bc81

Timmermansowi zadanie, on je gorliwie wykonuje i uczynił z tego wehikuł kariery politycznej. Z tym większą ochotą, że jest przekonany o własnej wyższości cywilizacyjnej nad nami.

W jakim sensie?

Zapytany w jednym z wywiadów, dlaczego w Holandii sędziów może wybierać inna gałąź władzy, a w Polsce jest to zamachem na demokrację, odpowiedział: „Bo to jest Holandia, a nie Polska!". Jak u Orwella – są równi i równiejsi. Musimy mieć też świadomość, że ustami Fransa Timmermansa przemawia polska lewica, ustami Guya Verhofstadta wypowiadają się Petru i Lubnauer, a politycy Europejskiej Partii Ludowej stali się rzecznikami PO. Gdy się z nimi wszystkimi porozmawia na boku, gdy są bez kartek, które im podano, to szybko się okazuje, iż w ogóle w tych polskich sprawach, którymi są ponoć tak przejęci, się nie orientują. Niewiele rozumieją, niewiele wiedzą.

Jak Polska powinna się zachowywać w tej sytuacji?

Kontratakować. Zdjąć rękawice.

Konkretnie?

Prawda i racja są po naszej stronie. Trzeba pokazywać jasno, dlaczego Polacy chcą zreformować wymiar sprawiedliwości. Mówić twardo o patologiach, wskazywać zjawiska, które na Zachodzie nie są akceptowalne, jak korupcja. Wskazywać na przypadki, gdzie naprawdę są podstawy do sankcji. Inna sprawa – kuriozalne zarzuty odnośnie do faszyzmu. Warto pokazać, że w polskim parlamencie nie ma żadnej skrajnie prawicowej partii. A są takie, i to mające powyżej 10 proc. poparcia, w ośmiu krajach Unii. Polska musi przejść do ofensywy! Skala dyfamacji i medialnej deformacji obrazu Polski jest taka, że można to uznać za informacyjną część wojny hybrydowej. Stawiam pytanie, czy w tym nie ma też śladów rosyjskich. Jeżeli w literaturze fachowej mówi się w sposób jednoznaczny o interwencji rosyjskiej w proces demokratyczny w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Czechach, we Francji i Włoszech, to skąd ta pewność, że nas zostawiono w spokoju? Jesteśmy tak blisko i wobec nas nie są aktywni? Jesteśmy wyspą?

W kraju tego nie widać.

Inaczej: nie widać źródeł, ale widać przecież konsekwencje. Ta deformacja skądś się przecież bierze. Kiedy zalew fałszywych informacji i nieprawdziwych opinii przychodzi ze strony Zachodu, to pamiętajmy, że ich prawdziwe źródła mogą być też na Wschodzie. Część mediów zachodnich jest wprost w rękach rosyjskich, inne podlegają wpływom, podobnie jak poszczególni autorzy. Czy potężne firmy lobbingowe pracujące dla rosyjskich interesów gospodarczych, gdzie realizuje się państwowe interesy Rosji, nie są aktywne również w tej sprawie? Tak czy inaczej efekt osiągany tą kampanią dyskredytacji jest dla Rosji wymarzony. Wzmacnianie naszej państwowości staje się przez to trudniejsze, musimy zużywać czas i wysiłek.

> Kiedy zalew fałszywych informacji przychodzi ze strony Zachodu, to pamiętajmy, że ich prawdziwe źródła mogą być też na Wschodzie

No dobrze, a jak już zdejmiemy te rękawice, to co konkretnie należy jeszcze robić?

Wykazać, którym krajom można postawić różne zarzuty, od przekroczenia prawa unijnego, po przekraczanie reguł deficytu, co jest de facto zubażaniem sąsiadów. Wskazanie obywatelom i innym państwom wyjątkowego, niesprawiedliwego traktowania Polski. Weźmy sprawę rajów podatkowych, gdzie można uciekać przed płaceniem podatków z miejsc, w których powinno się je płacić. Komisja przygotowała listę takich obszarów, ale z powodów politycznych nie umieściła na niej Malty, Luksemburga, Irlandii ani Holandii. Trzeba jednocześnie pokazać, że w tej sferze przykładnie spełniamy standardy europejskie.

Zawsze padnie kontrargument: tyle na was płacimy, siedźcie cicho.

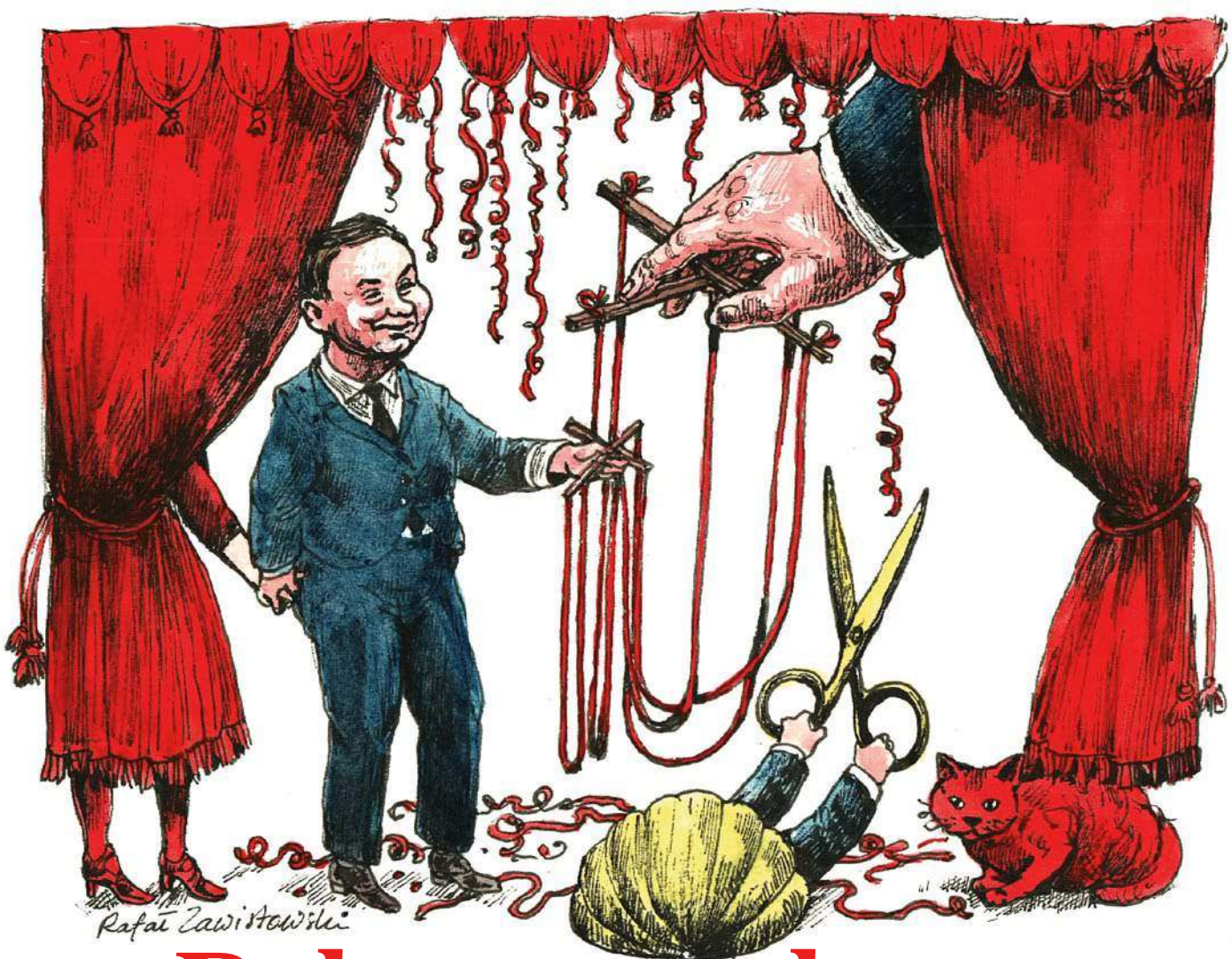
To argument bezpodstawny. Fundusze to zapłata za rynek, a nie dobroczynność. Dla Polski członkostwo w Unii było i jest korzystne, z bardzo wielu powodów. Ale już w momencie negocjacji rozszerzenia wspólnoty na Wschód były analizy, które się potwierdziły, wskazujące, iż Europa Zachodnia zyska – w sensie makroekonomicznym – bardziej. Jej gospodarka odniosła dzięki rozszerzeniu UE wielkie korzyści. W tle są bardzo duże interesy. Instytucje europejskie coraz częściej wchodzą niestety w rolę, niewłaściwą dla nich, obrońców wielkich korporacji państw zachodnich. Przecież biczowanie Węgier zaczęło się wtedy, kiedy Orbán śmiał rozłożyć koszty drastycznego, dramatycznego kryzysu wywołanego przez „kłamiących rano, wieczór, we dnie i w nocy" socjalistów, nie tylko na obywateli, lecz i na kapitał. I kapitał się zdenerwował, bo został opodatkowany. Wtedy ruszyła ta fala zaniepokojenia stanem demokracji na Węgrzech. Naprawdę tak nie może być.

Jak widać, może. Co się stanie, jeśli Unia się nie zmieni, jeśli ta śruba będzie dokręcana?

Nieładnie mówiąc – „powiszą na płocie, ręce omdleją i opadną". Prawda się przebije i wygra, pytanie tylko o czas i koszty. Zwróćcie panowie uwagę na coroczne specjalne wydanie magazynu „Politico", które to medium jest, delikatnie mówiąc, mało Polsce przychylne. Wśród 28 osób wyróżnionych jako znaczące i warte uwagi z całej Unii występuje też polski minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. Nie jako ten, który rzekomo gwałci demokrację, ale ten, który bezkompromisowo walczy z korupcją i przestępczością. Znamienne.

Współpraca:
Piotr Czartoryski-Sziller

eprasa.pl 150ab1bc81



Bal u prezydenta, czyli szopka noworoczna



KRZYSZTOF FEUSETTE

Impreza transmitowana na żywo przez podziemną telewizję komercyjną TV END, ukaraną łącznie karą półtora tryliona bitcoinów za nieprawdziwe prognozy pogody oraz całokształt. Kamera towarzyszy gościom w różnych zakątkach sali balowej. Na jej środku znajduje się biały stojak z czerwonym mikrofonem. Wśród gości – czołowe postacie polskiej polityki, ubrane elegancko, z jednym wyjątkiem

Andrzej Duda: Kochani! Bardzo się cieszę. Cieszę się, że się cieszę, i cieszę się, że bardzo. Cieszę, że jesteśmy tu wszyscy razem, że dotarł Ryszard Petru, przewodniczący... Przepraszam, wice... To znaczy nieformalny zastępca przewodniczącej Nowoczesnej Katarzyny albo Nauer... *(Krzysztof Szczerski nachyla się i szepcze mu coś do ucha)*. Aha, tu mi właśnie minister z Czerskiej podpowiada... *(Szczerski znowu coś szepcze)*. Oczywiście Szczerski, nie z Czerskiej, przepraszam, to ze wzruszenia, że tak się cieszę, chodziło mi o Katarzynę Lubnauer...

Jarosław Kaczyński *(nachyla się do ministra Błaszczaka):* No i z czego on się tak cieszy?

Mariusz Błaszczak: To jest taki język ciała, panie prezesie. Adrian... Pardon, Andrzej próbuje zjednoczyć opozycję.

Kaczyński: Jak to?

Błaszczak: Z resztą narodu.

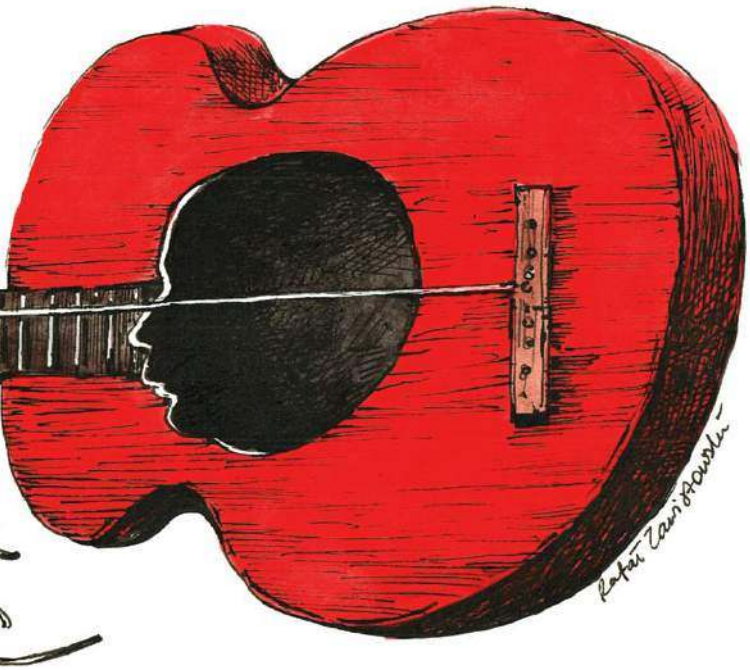
eprasa.pl 150ab1bc81



Kaczyński: A, to dobrze. Niech próbuje. *(Odwraca się do reszty delegacji PiS)* Wy nie wiecie, kiedy ja mam śpiewać?
Błaszczak: Za chwilę, jako pierwszy. A cóż pan prezes przygotował na dzisiaj?
Kaczyński: To, co zawsze. Klasyka, panie ministrze.
Ryszard Terlecki: Zdradzi pan prezes tytuł?
Kaczyński: Wystarczy już tych zdrad na prawicy. Żartowałem. Ale i tak nie powiem.
Duda: Raz jeszcze dziękuję wszystkim za przybycie. Nasz dzisiejszy bal odbywa się pod hasłem „Polityka jak muzyka", więc niech te dźwięki łagodzą obyczaje. *(Podchodzi bliżej mikrofonu i zaczyna śpiewać na melodię „Kolorowych jarmarków" z rep. Janusza Laskowskiego):*
Kiedy patrzę, hen, za siebie,
w tamte lata, co minęły,
kiedy myślę, co przegrałem,
ile diabli wzięli...
Jarosław Kaczyński zaczyna głośno kaszleć. Szczerski podbiega do prezydenta i ponownie coś szepcze.
Duda *(przerywa śpiew):* Aha, czyli dostaję sygnał, że to nie ja miałem śpiewać tę piosenkę. Pozwólcie zatem, że przejdę na prozę. Żeby nie było tylko tak miło, jak się cieszę, że jest, to muszę powiedzieć także, iż jest mi bardzo przykro. Bo ciągle nie ma zgody narodowej. A przecież zgoda buduje, jak mówił mój poprzednik, idąc środkiem drogi. Dziś także do niego wyciągam tą rękę... Przepraszam, nie tą, tylko tę *(zmienia lewą na prawą)* i proszę: zaśpiewajmy razem!
(na melodię znaną i lubianą):
Bo wszyscy Polacy to jedna rodzina,
Szydło czy Kukiz, Petru czy Schetyna...
(Brudziński z Terleckim podchodzą do Dudy. Terlecki bije mu brawo przed nosem, przeszkadzając w śpiewaniu, Brudziński przestawia mikrofon w stronę grupy przedstawicieli PiS i ustawia go przed prezesem partii).
Kaczyński: Dziękuję, panie prezydencie, za oddanie mi głosu. Poproszono mnie, żebym dla rozładowania atmosfery coś zaśpiewał. Długo się zastanawiałem, jaki to powinien być utwór, by jego przesłanie dotarło także do opozycji, którą, jak wiemy, mamy dość zdziecinniałą *(zaczyna śpiewać):*
Wlazł kotek na płotek i mruga,
ładna to piosenka, nie Duda.
Nie Duda, nie krótka, lecz w sam raz,
zawetuj, Andrzejku, jeszcze raz...
Goście z opozycji zaczynają buczeć. Na środek sali balowej wbiega na dwóch łapach szara, pluszowa mysz wielkości człowieka. Spod kostiumu dobiega głos Kamili Gasiuk-Pihowicz.
Wielka Mysz: Ja protestuję! To jest łamanie konstytucji! Jak pan Adrian chce sobie pośpiewać, to niech najpierw zmieni ustawę zasadniczą. Nigdzie, powtarzam, nigdzie nie jest napisane, że głowa państwa może ingerować w słowa piosenek...
Rzecznik Łapiński: Co się pani stało? Dlaczego pani tak wygląda?
Wielka Mysz: Ryszard mnie oszukał. Wysłał mi esemesa, że to jest bal przebierańców. Ale to niczego nie zmienia. Ja to mogę w każdej chwili ściągnąć, tylko że nie mam nic pod spodem...
Katarzyna Lubnauer: Daj spokój. Oni tylko na to czekają! Przepraszam, teraz miałam śpiewać ja, ale w obliczu kłopotów mojej formacji chciałabym otrzymać za to jakieś honorarium.
Ryszard Petru: Trzeba było słuchać Misia Rysia. Misio Rysio mówił, że wyschnie źródełko, jak Misia Rysia zabraknie.
Lubnauer: Wypraszam sobie. Teraz ja rządzę, a Misio Rysio niech się zdeklaruje. I albo niech bije brawo, albo, z przeproszeniem, won. *(Podchodzi do mikrofonu, śpiewa na melodię „Katarzyny" Jacka Kaczmarskiego):*
Kobietą jestem ponad miarę swoich
czasów,
nie bawią mnie umizgi bladych lowelasów,
ich miękkich palców dotyk budzi obrzydzenie,
już wolę łowić zające i jelenie.
Ze wstydu potem ten i ów
rzekł o mnie: – Niewyżyta baba!
I pod batogiem nago biegł
po kebab dla mnie do Araba!
Piotr Misiło *(z tylnego rzędu, na tę samą melodię):*
Stój, Katarzyno,
koronę Petru,
Schet, taki jak kret,
może ci z głowy zdjąć!

Nagłe poruszenie wśród zebranych wywołuje pojawienie się postaci w motocyklowej kurtce z włosami spiętymi w kucyk. W jednej ręce trzyma wielką świnkę skarbonkę, w drugiej telefon...
Żebrak z Ajfonem *(mamrocze na melodię z rep. Budki Suflera):*
Za ostatni grosz
kupię dziś chociaż cień
tamtych dni...
(potrząsa złowrogo świnką i wychodzi – oczywiście – na swoje)
Włodzimierz Czarzasty *(bije brawo i śpiewa na melodię „Prawy do lewego" z rep. Kayah):*
Lewy do lewego,
witaj kolego,
kto z nami nie startuje,
temu w oko pluję!
Lewy do lewego...
Robert Biedroń *(przerywa mu):* To są właśnie przyzwyczajenia starej lewicy, powiedziałbym nawet komuny, gdyby nie to, że sam kiedyś chciałem należeć do komuny hippisów hippisowskich inaczej, ale mi przeszło. Powtarzam, że nowoczesna lewica to są przede wszystkim związki nie zawodowe, lecz partnerskie. No, chyba że ktoś ma taki zawód, że partneruje zawodowo. Tak czy inaczej, pytanie zasadnicze brzmi...
(na melodię z rep. Danuty Rinn):
Gdzie ci mężczyźni, prawdziwi tacy,
orły, sokoły, herosy?!

eprasa.pl 150ab1bc81



Gdzie ci mężczyźni na miarę czasów,
gdzie te chłopy?!
Środkiem sali balowej podąża w szybkim tempie delegacja Polskiego Stronnictwa Ludowego w składzie Władysław Kosiniak-Kamysz i Marek Sawicki.
Kosiniak-Kamysz: Jesteśmy. Panie Robercie. My, chłopy, jesteśmy gotowi...
Biedroń: Heloł, nie tak szybko...
Kosiniak-Kamysz: ...oddać panu nasze głosy poparcia w zamian za pana rezygnację.
Biedroń: Z czego?
Kosiniak-Kamysz: No, jakby tu rzec, żeby nie urazić. My jesteśmy proste chłopy i dla nas chłop to jest chłop, a baba to nie będzie chłop, choćby miała wąsy i kiełbasę w nazwisku.
Biedroń: Konczita?
Sawicki: Skończymy, jak kur zapieje. Chłopy pana popro, ale tu się o rezygnację z orientacji nie w terenie rozchodzi, całkiem po prostu.
Biedroń: Ja miałbym się zaprzeć swojego Słupska?
Kosiniak-Kamysz: A skądże znowu. Nie w Słupsku problem spoczywa. Zresztą to są sprawy zbyt delikatne, żebyśmy je tutaj omawiali.
Paweł Kukiz: Tak, tak, poomawiajcie je sobie gdzie indziej, a nam nie zawracajcie d..., za przeproszeniem. Za przeproszeniem, że tak powiem, g... mnie obchodzi, za przeproszeniem, wasza randka w ciemno. Trzeba coś rozpieprzyć, żeby polepszyć. Tylko jednookręgowe mandaty wyborowe, to znaczy, jednowyborcze okręgi mandatowe, to znaczy, o, Hela... jednomandatowe okręgi wyborcze, uf, zagwarantowywują... No wiadomo, o co chodzi, bo my to ciągle powtarzamy.
Zza bocznych drzwi dobiegają coraz bardziej donośne głosy. Słychać kilka męskich i jeden à la Władysław Gomułka. Śpiewają na melodię „W Polskę idziemy" z rep. Wojciecha Młynarskiego:
...a potem znów się przystopuje i znów gaz.
I zagranica nas szanuje, lubią nas.
Uśmiecha się najmilej ten i ów,
tak rośnie, rośnie nasz przywilej świętych krów.
W Berlin idziemy, bracia rodacy,
w Berlin idziemy,
nim pierwsze euro zaszumi w głowie,
drugie przyjmiemy...
Ze śpiewem na ustach wchodzą dumnym krokiem Rafał Trzaskowski, Borys Budka, Andrzej Rzepliński, sędzia Waldemar Żurek.
Rzecznik Łapiński: Przepraszam, czy panowie mogliby się zachowywać troszkę ciszej. Panowie przyszli razem?
Rafał Trzaskowski: Tak. To znaczy...
Andrzej Rzepliński: To znaczy nie.
Sędzia Żurek: Absolutnie.
Borys Budka: Nie damy się zastraszyć. Mamy prawo spotykać się w obronie niezawisłości sędziów, ile chcemy! Wol-ne są-dy! Wol-ne są-dy!
Grzegorz Schetyna (stojący w pierwszym szeregu gości): Borysław, uspokój się. Dajmy szansę nowemu premierowi. Nie mam go, co prawda, w gabinecie cieni, ale przecież zna dwa języki.
Rzecznik Łapiński: Proszę o spokój. Głos zabierze pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf.
Małgorzata Gersdorf *(podchodzi z torebką do mikrofonu. Wyciąga z niej świeczkę, którą zapala. Odchrząkuje, wyciera pot z czoła, znowu odchrząkuje... Zaczyna śpiewać nieśmiało, na melodię „Skłamałam" z rep. Edyty Bartosiewicz):*
Skłamałam...
skłamałam...
Skłamałam ot tak, całkiem niewinnie.
Rzepliński namówił, bo wtedy był przy mnie...

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

56/1117/F

eprasa.pl 150ab1bc81

Hanna Gronkiewicz-Waltz *(szarpie włosy na głowie):* Przepraszam, ale ja tego nie mogę słuchać. Na mnie się psy wiesza w majestacie prawa, a pani się do kłamstwa przyznaje? Czy pani zwariowała? Dzisiaj podobno mamy się bawić, tańczyć, śpiewać... *(do rzecznika Łapińskiego)* Proszę o muzykę, wersja profesjonalna!!
(na melodię „Mój dom" z rep. grupy IRA)
Mój dom to te szare ulice.
Mój dom to kolejki po lokum.
Mój dom to są te kamienice.
Mój dom to miliony na boku.
(przerywa śpiew)
A mąż mi nic nie powiedział. Ani pół słowa, że jakaś kamienica, że spadek po wuju, że pięć milionów i że na konto, do którego tylko on ma hasło. To jak ja miałam zareagować na nieprawidłowości?
Zalewa się krokodylimi łzami, próbując czmychnąć bocznym wyjściem. Z szeregów Zjednoczonej Prawicy wychyla się Patryk Jaki, podbiega do mikrofonu, śpiewa na melodię „Anno" Stana Borysa.
Patryk Jaki:
Dokąd, Hanno? Wracaj Hanno!
Echo, Hanno, odpowiada mi.
Powiedz, Hanno, jak odnaleźć
akta wszystkich twoich spraw?
Do zastygłej w napięciu Gronkiewicz-Waltz podchodzi Schetyna.

REKLAMA

SPÓŁDZIELCZY INSTYTUT NAUKOWY zaprasza

pracowników naukowych oraz **studentów** wydziałów ekonomii, zarządzania, prawa, historii i in. do udziału w **XVIII edycji Konkursu na najlepszą pracę magisterską oraz rozprawę doktorską i habilitacyjną** dotyczącą **problematyki spółdzielczej**.
Termin zgłaszania prac upływa 30 listopada 2018 r.

Laureatami tegorocznej edycji zostali:
- dr Michał Jankowski (promotorzy: prof. A. Janc, dr K.Waliszewski, uczelnia: UE w Poznaniu) – nagroda 5 tys. zł,
- dr Martyna Jedlińska (promotor: prof. H. Cioch, uczelnia: UWM w Olsztynie) - nagroda 5 tys. zł;

wyróżnienia otrzymali:
- dr Małgorzata Matyja (promotor: prof. B. Olszewska, uczelnia: UE we Wrocławiu),
- mgr Joanna Rybska (promotor: dr K. Waliszewski, uczelnia: UE w Poznaniu).

Szczegółowe informacje:
www.sin.edu.pl (zakładka: Konkurs)

35/0217/F

Schetyna *(do niej na stronie, na tę samą melodię, co Jaki):*
Nie mów nic, proszę cię,
no bo co można rzec
w takiej chwili?
Nie mów nic, proszę cię,
nie mów: kiedyś wrócę tu.
Gronkiewicz-Waltz *(na melodię z rep. grupy Zakopower):*
Pójdę boso,
pójdę boso...
Wychodzi, trzaskając drzwiami. Konsternacja. Próbuje ją przerwać Rafał Trzaskowski, który wyrywa mikrofon ze stojaka, zaplątuje się w kablach, ale to nie zbija go z pantałyku.

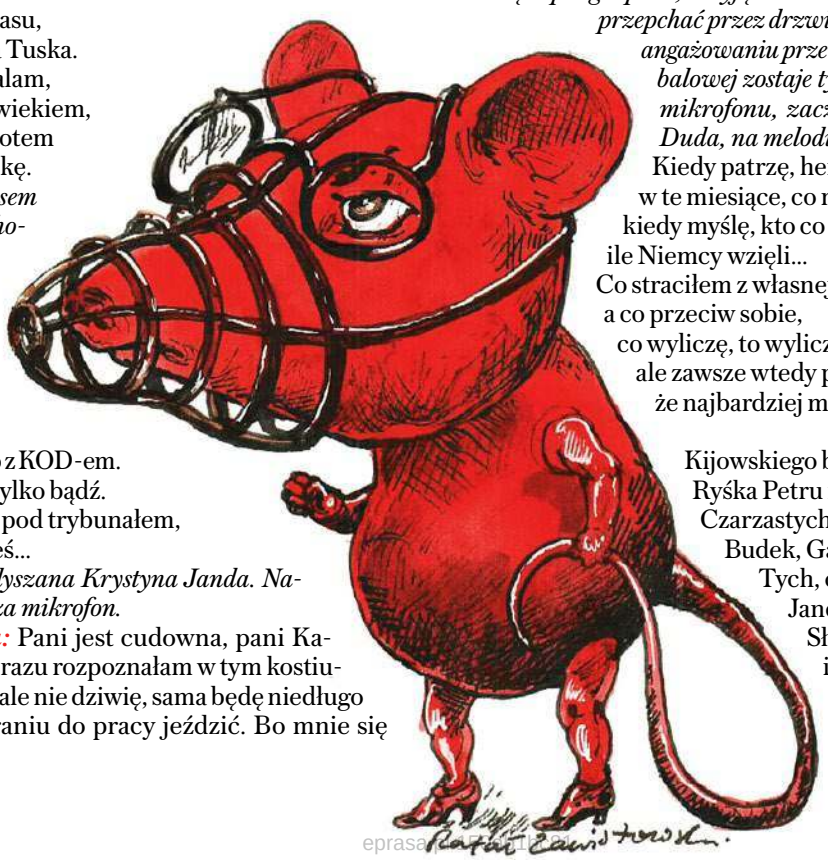
Trzaskowski *(na melodię „Niech żyje bal" Maryli Rodowicz):*
Niech żyje Waltz,
bo to miasto to Waltz jest nad walce.
Niech żyje Waltz,
zanim sąd wskaże nas brudnym palcem.
Kadencja trwa,
jeszcze tyle zostało kamienic,
które się da,
dzięki walcom w ruinę zamienić...
Do mikrofonu, ledwo powłócząc nogami, ponownie zbliża się ***Żebrak z Ajfonem****, wciąż pobrzękując skarbonką. Trzaskowski szybko wyjmuje portfel i wrzuca do niej coś niewielkiego.*
Trzaskowski *(na melodię „12 groszy" z rep. Kazika):*
20 groszy, tylko nie płacz, proszę.
20 groszy tutaj ci przynoszę.
Pierwszy grosz za te wybory, które wygram chyba w cuglach.
Drugi grosz, żeby mnie każdy w trzy sekundy mógł „wyguglać".
Reszta groszy jest na kredyt, trzeba oddać do pierwszego.
Procent niski, bo mam serce, gdybym mógł, tobym dał więcej.
Teraz filmik nakręcimy i w kampanii go puścimy,
pomoc to me drugie imię, głosuj na mnie, to nie zginiesz!
Kończy śpiewać, podchodzi z mikrofonem do Schetyny.
I co, dobre?
Schetyna: Ja tam się nie znam. Mnie się podobają melodie, które już kiedy słyszałem. O, na przykład...
(na melodię z rep. Ireny Santor):
Powrócisz tu, gdzie nadwiślański brzeg...
Powrócisz tu, gdzie nadwiślański brzeg...
(przerywa śpiew)
Dalej nie pamiętam.
Trzaskowski: To o Donaldzie?
Schetyna: Chyba Trumpie. Cisza! Nowocześni idą...
Ewa Kopacz: Grzesiu, wytrzyj się.
Schetyna: Sama się wytrzyj.
Kopacz: Masz pianę na ustach.
Schetyna: A ty co, może szminkę?
Trzaskowski: Nie kłóćmy się, błagam. Trzeba odebrać stolicę PiS-owi.
Schetyna: Przecież PiS nie rządzi w stolicy.
Trzaskowski: Ojej, tak się mówi.
Schetyna: To, co się mówi, to ty masz, Rafałku, akurat napisane. Prawda?
Trzaskowski: Oczywiście. Kraków to jest moje ukochane miasto, Kraków to także ludzie...

eprasa.pl 150ab1bc81

Schetyna: Warszawa.
Trzaskowski: Tak, oczywiście. Przepraszam. Więc Kraków to jest... Cholera, nie dam rady.
Wchodzą przedstawiciele Nowoczesnej. Paweł Rabiej biegnie od razu do Trzaskowskiego, chce mu się rzucić na szyję, ale Trzaskowski chowa się za Kopacz, która hamuje Rabieja spojrzeniem nr 8.
Paweł Rabiej *(wyrywa Schetynie mikrofon, śpiewa do Trzaskowskiego na melodię znaną i lubianą):*
Przez twe oczy zielone, zielone oszalałem,
gwiazdy chyba twym oczom oddały cały blask...
Schetyna: Dobra. To było fajne, ale teraz my *(zabiera Rabiejowi mikrofon, śpiewa do Petru na melodię „Kochać inaczej" z rep. DeMono):*
A kiedy przyjdzie na ciebie czas,
a przyjdzie czas na ciebie,
porwie cię wtedy wysoko tak,
do góry cię poniesie,
lecz nagle możesz zacząć spadać w dół,
a to już nie to samo...
Trzaskowski *(bije brawo, podbiega do Schetyny, klęka przed nim i śpiewa na melodię „Bo we mnie jest seks" z rep. Kaliny Jędrusik):*
Bo ze mną jest Schet, co pali i niszczy,
tysiące już serc wypalił do zgliszczy...
Korzystając z „odlotu" Trzaskowskiego, do Wielkiej Myszy podchodzi na palcach Borys Budka. Jest za niski, by sięgnąć do jej ucha, więc bierze krzesełko i na nim staje.
Budka *(śpiewa cichuteńko na melodię „A mnie jest szkoda lata" z rep. Jerzego Połomskiego):*
A ja się nie podpalam
jak jakaś budka ruska.
Ja czasu mam jak lasu,
ja wierzę w Donka Tuska.
Bo ja się nie podpalam,
takim jestem człowiekiem,
poczekam rok, a potem
poproszę cię... o tekę.
Wielka Mysz *(głosem Kamili Gasiuk-Pihowicz, na melodię „Samby przed rozstaniem" z rep. Hanny Banaszak):*
Nie, nie możesz
teraz odejść.
Popatrz, co się stało z KOD-em.
Zrobię wszystko, tylko bądź.
Bądź – proszę cię, pod trybunałem,
tak jak mi obiecałeś...
Do sali wbiega zadyszana Krystyna Janda. Natychmiast chwyta za mikrofon.
Krystyna Janda: Pani jest cudowna, pani Kamilko. Ja panią od razu rozpoznałam w tym kostiumie. Ja się pani wcale nie dziwię, sama będę niedługo musiała w przebraniu do pracy jeździć. Bo mnie się wszyscy pytają, czy ja zwariowałam. Jak śpiewałam, że wariatka tańczy, to jakoś nikt nie pytał. Jak mówiłam, że jestem na zakręcie, to jakoś nikt tam nie szukał. A teraz palcem na ulicy pokazują! A potem tym palcem... Nie, ja tego nie powiem.... Potem tym palcem... pukają się w czoła!
Lech Wałęsa *(wchodzi przed kamerę, zasłaniając aktorkę):* Nie chcem, ale muszem pani przerwać, gdyż ponieważ, szanowne państwo, no ludzie złoci, przecież ta pani grała w „Człowieku z Żelazowej Woly", potem w „Marmurowym", a teraz takie rzeczy? To mnie się aż chce zaśpiewać „Wałęsa, oddaj moje sto mielonych!". Bo nas wyjdzie na ulice dwa mielone comnajmniej.
Podchodzi do nich zdecydowanym krokiem minister Błaszczak.
Błaszczak: Chyba już wystarczy. Przetrzymujecie państwo mikrofon i zajmujecie się sami sobą. A Polska czeka. Proszę mi to oddać *(zabiera Wielkiej Myszy mikrofon i wraca do swoich, podaje mikrofon premierowi Mateuszowi Morawieckiemu).*
Morawiecki: Szanowni państwo, chciałem coś powiedzieć: ja nie umiem śpiewać. Ale pałac to bym zburzył choćby dzisiaj!
Rzecznik Łapiński: Chwileczkę, który konkretnie? Ten, w którym obecnie się znajdujemy?
Morawiecki: Kultury.
Rzecznik Łapiński: Przecież ja kulturalnie...
Morawiecki: A ja panu też kulturalnie. Chodzi o Pałac Kultury.
Jarosław Gowin: I nauki. Ale ja sobie nie życzę takich uwag przy głowie państwa. Pan prezydent mógł pomyśleć...
Kaczyński: Mógł, ale nie pomyślał. Do widzenia.
Gowin jest „za", ale się nie cieszy. Wychodzi najwolniej, jak potrafi, kłaniając się po drodze w pas prezydentowi. Jest to potraktowane jako sygnał końca spotkania, goście rozchodzą się w podgrupach, z wyjątkiem Wielkiej Myszy, którą udaje się przepchać przez drzwi dopiero dzięki osobistemu zaangażowaniu przewodniczącej Lubnauer. W sali balowej zostaje tylko prezes PiS. Podchodzi do mikrofonu, zaczyna, jak wcześniej Andrzej Duda, na melodię „Kolorowych jarmarków:
Kiedy patrzę, hen, za siebie,
w te miesiące, co minęły,
kiedy myślę, kto co przegrał,
ile Niemcy wzięli...
Co straciłem z własnej woli,
a co przeciw sobie,
co wyliczę, to wyliczę,
ale zawsze wtedy powiem,
że najbardziej mi żal:

Kijowskiego biedaka,
Ryśka Petru na czworakach,
Czarzastych, Sierakowskich,
Budek, Gasiuk, Lisów, Wrońskich...
Tych, co żarli pluskwy w Sowie,
Jandy z tym, co ma na głowie,
Słońca Peru, Ruskiej Budy
i... Andrzeja Dudy.

KURTYNA



eprasa



Fot. Shutterstock

Polityczny alfabet 2018 r.



JAN ROKITA

W 2018 r. w Polsce nadal będzie dominować PiS, które wygra jesienne wybory samorządowe. Premier Mateusz Morawiecki będzie musiał stoczyć prawdziwy bój o swój polityczny los i pozycję swojego gabinetu. Rozwinie się kryzys w relacjach Polski z Unią, więc poczucie zewnętrznego nacisku skonsoliduje dużą część społeczeństwa wokół obecnej władzy. Jarosław Kaczyński będzie musiał znaleźć sposób na przecięcie węzła gordyjskiego wokół katastrofy smoleńskiej. A PO skoncentruje się na ratowaniu swojej władzy w kilku wielkich miastach. O tym właśnie traktuje poniższy krótki i subiektywny polityczny alfabet roku 2018

CENTRUM ANALIZ STRATEGICZNYCH

Utworzenie CAS zostało zapowiedziane w exposé nowego premiera, a pośród niezliczonych ckliwych tyrad o kłopotach życiowych starców, bólach kobiet w ciąży i smutku dzieci w domach dziecka, jakie wypełniły tę mowę, jest to jeden z ledwie trzech nowych konkretów, które tam się znalazły (obok Centrum Badań nad Rakiem i uznania luksemburskiego wyroku ws. Puszczy Białowieskiej). W przypadku CAS gra będzie szła o najwyższą polityczną stawkę. Odkąd premier Marcinkiewicz bezmyślnie zlikwidował w 2006 r. Rządowe Centrum Studiów Strategicznych, polski rząd jest faktycznie pozbawiony profesjonalnego zaplecza ekspercko-

eprasa.pl 150ab1bc81

-analitycznego, co upodabnia go bardziej do władz z afrykańskiego buszu niż do rządów dużych krajów cywilizowanych. Ani Tusk, ani Szydło głębszej wiedzy o państwie do rządzenia nie potrzebowali, choć z całkiem odmiennych powodów. Tusk – bo interesowało go nie tyle państwo, ile manipulowanie ludźmi; Szydło zaś – bo wykonywała zawsze cudze plany i projekty, sama nie mając własnej państwowej polityki.

Tymczasem to, czy CAS faktycznie powstanie, a także czy nie będzie tylko pseudoekspercką atrapą, będzie w 2018 r. papierkiem lakmusowym jakości przywództwa Morawieckiego. Premier ma realną szansę, aby sprawić, że dzięki CAS ustawy nie będą uchwalane w ciągu kilku dni, ale zostaną poprzedzone przyzwoitymi ocenami skutków regulacji. A decyzje rządowe będą podejmowane z wiedzą i umiejętnością przewidywania skutków. Co więcej, dzięki CAS rząd PiS dostałby szansę na spójne budowanie długofalowych planów, choćby w polityce podatkowej, socjalnej czy oświatowej. A to poważny deficyt dzisiejszej władzy.

DEKONCENTRACJA MEDIÓW

To bodaj najbardziej ryzykowna operacja, jaką PiS chciałoby przeprowadzić w 2018 r. Pomysł na dekoncentrację mediów ma swoją bogatą i nie tak odległą historię, gdyż to właśnie próba wprowadzenia go w życie zmiotła z polskiej sceny politycznej potęgę, jaką niegdyś było SLD, i ówczesnego „kanclerza" (jak o nim mawiano) – Leszka Millera. Jak widać, potencjał destrukcyjny idei dekoncentracji jest olbrzymi, mimo że na pozór idzie o rzecz prostą i banalną.

Wiele cywilizowanych krajów ma takie szczegółowe przepisy w dziedzinie mediów po to, by zapobiegać niebezpiecznemu dla wolnego społeczeństwa monopolowi informacji, publicystyki czy rozrywki. Jednak afera Rywina, która wynikła właśnie z pomysłu na dekoncentrację, w Polsce utrwaliła pewien uraz na tym tle. Wytworzyła bowiem mocne przekonanie, że za takimi pomysłami stoi zawsze zmowa rządu z jednymi mediami, mająca na celu wykończenie innych. Tak ewidentnie było za czasów Millera. I poza grupą najtwardszych wyborców PiS nikt także dziś – ani w Polsce, ani za granicą – nie uwierzy w czyste intencje obecnej władzy. Zwłaszcza po tym, jak pisowska KRRiT nieudolnie popróbowała, czy nie dałoby się karami finansowymi jakoś uciszyć agresywnej antyrządowej propagandy lejącej się każdego dnia z programów TVN.

Jeśli więc Kaczyński i Morawiecki wykażą się polityczną roztropnością, to PiS zrezygnuje z pomysłów dekoncentracyjnych. Tym bardziej że pobieżna analiza własności na rynku mediów pokazuje, iż najprawdopodobniej dotknęłaby ona wyłącznie bawarską Verlagsgruppe Passau, do której należy 20 regionalnych gazet. Być może pośród niektórych partyjnych działaczy radości z dokuczenia Niemcom byłoby sporo, ale warto pamiętać, że – po pierwsze – żadna z owych 20 gazet nie uprawia bynajmniej znanej z „Gazety Wyborczej" czy „Newsweeka" wojującej antyrządowej propagandy. A po drugie – szkody, jakie wynikłyby z niemożliwego wówczas do zwalczenia przekonania całego świata, iż w Polsce właśnie zniesiono wolność mediów, nie są warte poniesienia dla owej małej i raczej niezbyt mądrej przyjemności niektórych pisowskich działaczy oraz wyborców.

FASZYZM

Kto wie, czy nie najciekawszym pytaniem politycznym 2018 r. jest to, czy i w jakim stopniu Kaczyńskiemu oraz Morawieckiemu uda się odkręcić narastającą w świecie opinię, że Polska jest tylko jeden krok od dyktatury, utraty swobód obywatelskich, a nawet faszyzmu. W politycznym dyskursie we współczesnej Europie słowa oderwały się od swoich dawnych znaczeń, co pozwala poważnym ludziom na serio twierdzić, iż mamy w Polsce „totalitaryzm" (profesorowie Staniszkis i Zoll), „cenzurę typu sowieckiego" (słynny komentator Fareed Zakaria) albo że manifestujemy na ulicach z żądaniem „ludobójstwa dla muzułmanów" („Washington Post"). Wszystkie te nonsensowne tezy powtarzane są na Zachodzie tysiące razy w różnych mediach i w zasadzie już dziś kształtują przeciętną opinię Włocha, Niemca czy Francuza na temat Polski. Kształtują także opinie zachodnich polityków, którzy nie zawracają sobie głowy studiowaniem nudnych szczegółów na temat naszego kraju, ale słuchają po prostu tego, co na temat „warszawskiego reżimu" mówią im antypisowscy polscy politycy i intelektualiści. Na Zachodzie uważa się, że oni przecież z natury rzeczy „wiedzą lepiej", bo „są na miejscu" i „rozumieją sytuację". I dlatego właśnie opozycja mająca względnie słaby oddźwięk w kraju oddziałuje na polską politykę poprzez zagranicę. Nie ma się co o to obrażać, takie są po prostu polityczne fakty.

Co PiS może zrobić w 2018 r., aby choć po części osłabić tę potężną falę propagandową, niszczącą wpływy Polski w świecie i paraliżującą polską politykę zagraniczną? Prawdę mówiąc – niezbyt wiele. Wszelkie polemiki i sprostowania, zwłaszcza jeśli towarzyszy im oburzenie z powodu „lawiny kłamstw" (jak mówił w Strasburgu europoseł Legutko), są bezskuteczne, bo utwierdzają przeciwników w ich racjach. Powiadają oni wtedy, że tak właśnie, z pryncypialnym oburzeniem, na słowa słusznej krytyki reagują wszelkie dyktatury.

Tylko trochę lepszym wyjściem byłoby przyjęcie przez PiS zasady, że potencjalnie najbardziej kontrowersyjne posunięcia polityczne próbuje się negocjować z partnerami zagranicznymi (zwłaszcza w UE) przed ostatecznymi decyzjami, ponad głowami polskiej opozycji. Tak właśnie zwykli postępować Węgrzy, ale (trzeba to przyznać) to i tak nie uchroniło Viktora Orbána przed reputacją półfaszysty. Na dodatek w dwóch kluczowych kwestiach – Trybunału Konstytucyjnego i reformy sądów – mleko już się rozlało, a negocjacje post factum byłyby ze strony PiS przyznaniem się do politycznej porażki. Celem wielkiej kampanii propagandowej przeciw Polsce jest przyspieszenie zmiany władzy w Warszawie. Wiele wskazuje na to, że ta kampania nie ustanie, dopóki nie osiągnie swojego celu.

GOWIN

Przygotowana przez wicepremiera Gowina reforma uniwersytetów mocno

eprasa.pl 150ab1bc81

zmieni oblicze polskich szkół wyższych, oczywiście pod warunkiem że przyoblecze się w ciało.

Ale niezależnie od tego, co się z nią stanie, jedno jest pewne – tak czy owak jej znaczenie dla polityki polskiej w roku 2018 będzie trudne do przecenienia. Gowin chce bowiem położyć podwaliny pod znacznie bardziej elitarny niż dotąd model wykształcenia wyższego, co (jak sądzę) jest całkowicie zgodne z osobistymi przekonaniami Kaczyńskiego, ale odbiega od populistycznych nastrojów pośród działaczy partyjnych i sporej części wyborców PiS. Dlatego liczni funkcjonariusze partyjni, w tym nieznosząca Gowina pisowska profesura, zrobi wszystko, aby taki plan utrupić.

Jeśli więc premier Morawiecki potrafi zyskać dla tej reformy publiczne wsparcie Kaczyńskiego i przepchnąć ją przez nieprzyjazny sejmowy klub PiS, bez wykastrowania kluczowego w niej elementu „elitaryzmu" najlepszych i najlepiej finansowanych szkół wyższych, będzie to wyrazisty znak, że myślenie państwowe wygrywa w PiS. A jeśli reforma uniwersytetów upadnie jeszcze na etapie rządowym czy w Sejmie lub też dla ratowania honoru Gowina zostanie przeprowadzona jedynie jakaś jej atrapa, będzie to nie tylko koniec politycznej kariery Jarosława Gowina (co wielu w PiS przyjmie z radością), lecz także wyraźny znak, że płonne były nadzieje, iż za Morawieckiego sprawy kluczowe dla długofalowej przyszłości Polski będą szły jakoś lepiej niźli za Szydło.

KIJÓW

W 2018 r. powinno nastąpić pewne polsko-ukraińskie uspokojenie, po burzliwym roku 2017, w którym wybuchł „kryzys pomnikowy". Uspokojeniu sprzyjać będzie także odejście z urzędu ministra Waszczykowskiego, który jako pierwszy szef polskiego MSZ posłużył się groźbą zablokowania przez Polskę wejścia Ukrainy do Unii i NATO. Nic dziwnego, że Waszczykowski jest na Ukrainie znienawidzony, a jego dymisja choć na chwilę osłabi w Kijowie rozdmuchane na nowo „polskie kompleksy". Do zażegnania „kryzysu pomnikowego" i wynikłej stąd blokady polskich ekshumacji na Kresach przyczynią się dwaj prezydenci – Duda i Poroszenko – którzy po obu stronach pozostają najmocniejszymi figurami zainteresowanymi osłabieniem poziomu napięcia.

Ale relacje polsko-ukraińskie nie wrócą już do „złotego okresu" z czasów pomarańczowej rewolucji oraz prezydentów Kaczyńskiego i Juszczenki. Rozbudzone zostały na nowo uśpiona przez lata wzajemna nieufność i negatywne stereotypy „banderowców" po jednej, a „polskich panów" po drugiej stronie. Dużo zła wyrządziły przekłamania historyczne słynnego filmu Smarzowskiego, pogróżki Waszczykowskiego, historyczne obsesje szefa kijowskiego IPN Wiatrowycza i zyskująca przez to wszystko wiatr w żagle aktywność nacjonalistów po obu stronach, polegająca najczęściej na prowokacyjnym niszczeniu grobów i pomników.

Dla politycznych interesów Ukrainy Polska ma bardzo nikłe znaczenie (wbrew temu, co myślą i mówią ministrowie z PiS), a w 2018 r. przyspieszony zostanie zły dla polskich interesów proces wiązania się Kijowa z Berlinem na wszystkich możliwych polach. Wkrótce Ukraina będzie stanowić polityczny wagonik (całkiem sporych rozmiarów) w berlińskim pociągu. A jedynym pozytywnym czynnikiem zbliżającym (przynajmniej na razie) nasze narody będzie liczna emigracja zarobkowa Ukraińców do Polski. Ale i ona, wcześniej czy później, napotka te same kłopoty, na jakie po latach życzliwości i pochwał napotkała w końcu polska emigracja zarobkowa na Wyspach Brytyjskich.

MORAWIECKI

Pierwsze miesiące 2018 r. rozstrzygną o politycznej przyszłości Mateusza Morawieckiego. Istnieją dwa scenariusze tej przyszłości i każdy z nich może się okazać prawdziwy. Wedle pierwszego Morawiecki stworzy własny model sprawowania urzędu premiera, którego cechą charakterystyczną będzie silne podporządkowanie sobie ministrów, połączone z dbałością o trwałość pełnego zaufania ze strony Jarosława Kaczyńskiego. Byłoby to więc osiągnięcie, które dotąd nie udało się żadnemu z dwóch dotychczasowych premierów mianowanych przez prezesa PiS: ani Marcinkiewiczowi, ani Szydło. Pierwszy został usunięty za brak dobrej współpracy z Kaczyńskim, druga – za dopuszczenie do faktycznego rozpadu rządu na udzielne księstewka i niezdolność do prowadzenia całej tej gromadki w jedną stronę. Jeśli Morawiecki okaże się od nich bardziej politycznie utalentowany, to nie tylko obroni najważniejsze reformy PiS przed najazdem ze strony opozycji i zagranicy, lecz także w razie potrzeby obroni państwo przed PiS, czego z różnym skutkiem próbował już jako wicepremier, kiedy np. starał się chronić przed dewastacją finanse państwa, samorząd terytorialny, kapitałowy system emerytalny albo niskie podatki. Jeśli potrafi być skuteczny na obu tych polach, a przy tym nie utracić zaufania i wsparcia Kaczyńskiego, to nie tylko wygra następne wybory, lecz również zyska wielką społeczną popularność i zostanie niekwestionowanym partyjnym delfinem.

Ale jest też drugi scenariusz dla Morawieckiego. Taki mianowicie, że pozwoli się ubezwłasnowolnić, otoczyć nieprzyjaznymi sobie ludźmi, będzie wykonywać cudze decyzje i obsługiwać koteryjne interesy w ramach PiS. A wszystko ze strachu, że pewnego dnia niespodziewanie może podzielić los Marcinkiewicza i Szydło. To będzie oznaczać, że chaos wewnątrz rządu będzie się pogłębiać, a ministrowie (chcąc nie chcąc) będą zmuszeni biegać na Nowogrodzką, by prosić o zgodę na takie czy inne przedsięwzięcie. Gdyby tak się stało, to rządy PiS będą coraz bardziej niespójne, co przy bezwzględnej opozycji i potężnej presji z zagranicy może pogrążać państwo w coraz wyraźniejszym dryfie. Wtedy zużyty Morawiecki odejdzie najpóźniej w 2019 r. i zostanie po nim raczej kiepska zbiorowa pamięć.

PLATFORMA OBYWATELSKA

W ciągu roku 2018 PO nie odbuduje swojego potencjału w takim stopniu, aby móc nawiązać realną rywalizację z PiS. A obóz Kaczyńskiego wygra zapewne wyraźnie listopadowe wybory samorządowe, przejmując władzę w wielu regionach (np. w Małopolsce). Dla szefa partii Grzegorza Schetyny trzy cele będą mieć

eprasa.pl 150ab1bc81

w tym roku bezwzględny priorytet. Po pierwsze – obrona prezydentury w Warszawie, Poznaniu i Gdańsku, co dziś wydaje się niemal nie do zrealizowania, ale nie jest też absolutnie wykluczone. Po drugie – wypracowanie jakiejś formy koalicji z Nowoczesną, tak by w tych kluczowych dla interesów PO punktach na mapie wyborczej nie stracić żadnych antypisowskich głosów. Lubnauer będzie się długo boczyć i droczyć, panicznie bojąc się roli przystawki Schetyny, ale w końcu raczej nie będzie mieć innego wyjścia, jak poddać się na możliwie najlepszych warunkach. Inaczej ryzykowałaby klęskę wyborczą partii i swoją porażkę.

Wreszcie po trzecie – Schetyna będzie pilnować, aby znienacka nie pojawił mu się na tyłach jakiś neo-KOD, montowany przez „Wyborczą" wespół z feministkami, który zagroziłby PO na nowo fantomem „zjednoczonej opozycji". Na razie zagrożenie tego rodzaju nie wydaje się wielkie, po spektakularnej klęsce pierwszego KOD. Schetyna będzie także w ciągu tego roku lansować prezydencką kandydaturę Tuska, tym samym wskazując mu właściwe miejsce w polskiej polityce i utrudniając ewentualne plany zaangażowania w politykę partyjną, jeszcze przed wyborami parlamentarnymi 2019 r., co byłoby groźne zarówno dla Schetyny, jak i (paradoksalnie) dla przebudowanej przez niego dzisiejszej Platformy.

SMOLEŃSK

Mocno niejasny, a zarazem bardzo istotny dla polskiej polityki będzie los sprawy katastrofy smoleńskiej. Z jednej strony wokół tej drażliwej kwestii narosło tyle politycznych sprzeczności, że tworzą one dziś niemal węzeł gordyjski. A z drugiej – jest całkiem jasne, że Kaczyński chce w jakiś sposób skończyć cały problem w ciągu 2018 r., intuicyjnie czując, że może on być dla PiS na przyszłość bardziej ciężarem niźli pomocą. Deklaracje szefa partii podczas jesiennych miesięcznic 2017 r. nie pozostawiają tu żadnych wątpliwości. To, co najprostsze w „kończeniu problemu", to wzniesienie w Warszawie pomników, które co prawda wywołają zapewne kolejne awantury uliczne i procesy sądowe, jednak PiS nie będzie się zbytnio tym przejmowało.

Węzeł, który Kaczyński powinien przeciąć, polega na dwóch innych dylematach. Po pierwsze, jaką konkluzją mają się skończyć miesięcznice, skoro na pierwszy rzut oka widać, że nowe śledztwo smoleńskie ugrzęzło w pochopnych hipotezach i mało wiarogodnych zachowaniach niektórych śledczych. I po drugie, co zrobić w związku z tym z Macierewiczem, który co prawda okazał maksimum gorliwości i lojalności wobec Kaczyńskiego, ale wyjaśnianie sprawy i postęp dochodzenia sprowadził na widoczne manowce. Na dodatek stał się po drodze czołowym wrogiem głowy państwa.

> Obóz Kaczyńskiego wygra wyraźnie listopadowe wybory samorządowe, przejmując władzę w wielu regionach, np. w Małopolsce

Kaczyński ma w gruncie rzeczy do wyboru dwa warianty postępowania. Może usunąć z MON Macierewicza i wraz z nowym ministrem wiosną zamknąć „kwestię smoleńską" konkluzją o niejasności sprawy i braku lub zniszczeniu dowodów, wyostrzając zarazem osobistą (być może karną?) odpowiedzialność Tuska za zaniechania, jakich władze dopuściły się po 10 kwietnia 2010 r. To dałoby choć część satysfakcji wyborcom PiS i pozwoliło uroczyście celebrować odsłonięcie pomników. Ale Kaczyński ma też wariant drugi. Zostawić do kwietnia Macierewicza i kazać mu publicznie prezentować jego konkluzje, pełne sprzeczności i naciąganych faktów. To byłoby oczywiście twardsze rozwiązanie, tyle tylko, że mogłoby narazić PiS na utratę powagi, a upamiętnienia na atmosferę skandalu. Można założyć, że w tym wariancie i tak znikoma już dziś liczba Polaków wierzących w wybuch zmniejszyłaby się jeszcze bardziej. A same obchody kwietniowe mogłyby się stać wizerunkową i sondażową porażką całego obozu rządowego. Tak czy owak, „kwestia smoleńska" będzie znów jedną z kluczowych w polskiej polityce 2018 r.

UNIA EUROPEJSKA

Pierwsze miesiące 2018 r. nieuchronnie upłyną pod znakiem zaostrzonej konfrontacji między Warszawą a Brukselą, w wyniku postawienia Polski w stan oskarżenia przez Komisję Europejską pod wodzą Junckera i Timmermansa. Oskarżenie to stało się możliwe po tym, jak KE uzyskała wsparcie dla swoich planów nie tylko ze strony Paryża (co wiadomo było od dawna), lecz także Berlina (co jest pewną niespodzianką).

Samo oskarżenie ma w zasadzie wyłącznie wymiar propagandowo-polityczny upokorzenia Polski, która jako pierwszy kraj Unii ma stanąć przed Radą w roli oskarżonej o gwałcenie wolności i praw. Wiadomo, że ów „proces karny" nie doprowadzi do nałożenia formalnych sankcji, a z kolei restrykcje nieformalne przeciw Polsce możliwe są także bez owego procesu. Zatem realne skutki walki KE z Polską będą dwojakie. Po pierwsze, wymuszą silniejszą niż dotąd konsolidację większości społeczeństwa polskiego wokół rządu w obliczu psychologicznego poczucia zewnętrznego zagrożenia. A po drugie, wywołają spadek euroentuzjazmu Polaków, którzy byli do tej pory (jak pokazują badania) jednym z najbardziej prounijnych narodów Europy. PiS w kraju będzie zatem mocniejsze, UE słabsza, a polska polityka zagraniczna w impasie.

Jeśli po wniosku KE dojdzie w 2018 r. do formalnego głosowania przeciw Polsce w unijnej Radzie ds. Ogólnych, to (rzecz jasna) wszyscy będziemy ze szczególną uwagą patrzeć na zachowanie rządu w Berlinie. Hipotetyczne głosowanie Niemiec za wyrokiem przeciw Polsce może się okazać jednym z największych błędów niemieckiej polityki od czasu zjednoczenia tego kraju. A psychologiczne tego konsekwencje w Polsce mogą być trudne do przecenienia.

eprasa.pl 150ab1bc81



Czeka nas bój z Unią

Jaki będzie rok 2018 w polskiej polityce? Na to pytanie w rozmowie z Konradem Kołodziejskim odpowiada politolog prof. *Norbert Maliszewski*

Komisja Europejska właśnie wszczyna procedurę uruchomienia artykułu 7 traktatu UE, który przewiduje nałożenie sankcji na kraj łamiący unijne zasady. Jak to się dla Polski skończy?

Norbert Maliszewski: Artykuł 7 zakłada kilka etapów. Pierwszy w kolejności to stwierdzenie poważnego zagrożenia dla unijnych wartości, łamania zasad praworządności. Zapewne zostanie przegłosowany przez Radę, gdyż wystarczy większość czterech piątych. Jednak kolejne punkty – te, które dotyczą wprowadzenia sankcji – wymagają już jednomyślności w głosowaniu. A tej wśród krajów Unii nie będzie.

Będzie sprzeciw Węgier?

Tak. I ten sprzeciw nie będzie wynikał z jakiejś wspólnoty wartości między Polską a Węgrami, lecz z czystego pragmatyzmu Viktora Orbána. On zagłosuje przeciwko sankcjom, bo dobrze wie, że następne w kolejności byłyby Węgry. I choć Fidesz – partia Orbána – należy do Europejskiej Partii Ludowej i Orbán potrafi zawierać kompromisy, to tutaj węgierski premier opowie się po stronie Polski. Nie powtórzy się więc sytuacja z wyborem Donalda Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej, kiedy Orbán zagłosował za jego kandydaturą.

Skoro nie uda się nałożyć na Polskę sankcji, to w jaki sposób Unia będzie wywierać presję?

Unia będzie chciała uderzyć w Polskę finansowo, poprzez przyjęcie niekorzystnej dla nas struktury w przyszłym unijnym budżecie. Zostanie wykorzystany argument, że skoro nie kierujemy się solidarnością w kwestii imigrantów, to Unia musi zmniejszyć pieniądze dla Polski i przeznaczyć je na inne cele, np. na walkę z kryzysem migracyjnym. Będziemy więc nadal w napiętych stosunkach z UE, zwłaszcza że niektóre kraje unijne chętnie obsadzają nas w roli chłopca do bicia. Praworządność i kwestia kryzysu migracyjnego służą im do tego, aby grać o własne wymierne interesy. Premiera Morawieckiego czekają więc trudne negocjacje.

Poradzi sobie?

Jeśli chodzi o procedurę przywracania praworządności, to premier niewiele może zdziałać. Jego zadaniem będzie więc twarde negocjowanie w sprawach budżetowych, aby Polska jak najmniej straciła. Można się też spodziewać, że po wysuniętej przez Francję kwestii pracowników delegowanych pojawią się kolejne dyrektywy, np. prezydent Macron zacznie się domagać wyrównywania kosztów pracy w krajach Unii, co poważnie zagrozi polskiemu rynkowi. Morawiecki będzie musiał się z tym zmierzyć.

Negocjacje wymagają czasem zawierania kompromisów. Czy premier Morawiecki otrzyma od swojego zaplecza politycznego wystarczającą przestrzeń do działania?

Tę przestrzeń musi sobie wywalczyć. Znajdzie się bowiem między jastrzębiami i gołębiami, a – jeśli chodzi o wyborców – między twardym elektoratem PiS a tym bardziej centro-

eprasa.pl 150ab1bc81



Fot. Shutterstock (×5), Szymon Mucha/Shutterstock.com, Andrzej Wiktor

wym. Jego zadaniem będzie więc przekonywanie obu grup do swoich projektów. To musi być zrozumiane przez aparat partyjny PiS, a nie będzie to łatwe. Premier ma jednak kluczowy atut, którym jest wsparcie ze strony Jarosława Kaczyńskiego. Dlatego sądzę, że ostatecznie Morawiecki uzyska dużą swobodę działania.

Wsparcie ze strony Jarosława Kaczyńskiego będzie bezwarunkowe?

Nie o to chodzi. Scenariusz Morawieckiego jest również scenariuszem Jarosława Kaczyńskiego. Niepowodzenie premiera obciążałoby więc samego Kaczyńskiego. Poza tym prezes PiS wciąż jest bardzo silnym politykiem, czego dowodem jest przeforsowanie kandydatury Morawieckiego na szefa rządu wbrew różnym interesom wewnątrzpartyjnym. Jeśli więc Jarosław Kaczyński ma strategię, aby postawić na Morawieckiego, to ona jest po prostu realizowana i dlatego Morawiecki otrzyma od prezesa sporą przestrzeń do działania.

W polityce wewnętrznej też?

Tu nie ma dużych sprzeczności. Mateusz Morawiecki jest i pozostanie konserwatystą. Będzie też realizował programy społeczne PiS, których jest orędownikiem. Należy się spodziewać, że okaże się bardziej pragmatyczny w polityce unijnej, bo tego wymagają dziś okoliczności.

A jeśli napotka na silny opór opozycji?

Nie sądzę, żeby ten opór był tak silny, aby wymagał od premiera jakichś nadzwyczajnych posunięć. Pole dla ruchów ulicznych typu KOD czy Obywatele RP będzie się bowiem zmniejszać. Z dwóch powodów. Po pierwsze, opozycja parlamentarna zrozumie, że radykalne ruchy nie są akceptowalne dla centrowego wyborcy, i zacznie się od nich dystansować. Po drugie, zmiana premiera jest sygnałem, że PiS zamyka etap wprowadzania fundamentalnych reform. To ostudzi społeczne emocje, choć polaryzacja nadal będzie się utrzymywać na wysokim poziomie.

Zatem zamiast Majdanu zimna wojna?

Majdan nie wchodzi w rachubę. Ale z pewnością umocni się podział społeczeństwa na dwie grupy, które posługują się innym językiem i inaczej definiują sytuację w Polsce. Nadal będziemy mieli więc do czynienia z równoległym funkcjonowaniem dwóch światów społecznych.

I żadnych ulicznych awantur, protestów?

Niezupełnie. Sądzę, że w trakcie unijnych debat nad stanem praworządności w Polsce antyrządowe ruchy protestu zorganizują różne akcje, ale – w sytuacji, gdy będzie się ważyła kwestia sankcji uderzających w polskie społeczeń-



Z głębokim żalem
pożegnaliśmy wybitnego prawnika

PROFESORA HENRYKA CIOCHA

Sędziego Trybunału Konstytucyjnego,
Senatora Rzeczypospolitej Polskiej,
wielkiego patriotę

Składamy wyrazy serdecznego współczucia
Rodzinie i Bliskim zmarłego

Zarządy i pracownicy spółek Apella i Fratria

47/1217/F

eprasa.pl 150ab1bc81

stwo – te działania zostaną bardzo źle przyjęte przez przeciętnego wyborcę. I to może się okazać kolejną pułapką dla opozycji parlamentarnej, która pozwoliła na to, aby kojarzono ją z radykalnymi ruchami ulicznymi. Skutkiem takiej polityki są dziś rekordowo niskie notowania partii opozycyjnych. Jeszcze nigdy nie było bowiem tak słabego łącznego poparcia dla PO i Nowoczesnej, jakie obie partie otrzymały w grudniu.

Grzegorz Schetyna nie zawalczy o centrowego wyborcę?

Na razie musi walczyć głównie o to, aby PO była liderem opozycji. Dlatego będzie unikał wyrazistego pozycjonowania, aby nie wyrósł mu po którejś ze stron jakiś konkurent.

I dobrze na tym wyjdzie?

Nie sądzę. Wyborca centrowy nie jest skazany na jedną partię i niekoniecznie pójdzie za Platformą.

To za kim pójdzie?

Niektórzy mogą pójść za PiS, bo Mateusz Morawiecki nie ma – w odróżnieniu od Jarosława Kaczyńskiego – silnego negatywnego elektoratu i może przyciągnąć część wyborców umiarkowanych, zwłaszcza że podczas najbliższych wyborów sytuacja gospodarcza będzie raczej dobra.

Czy w takiej sytuacji Schetynie nie zagrozi jakiś partyjny przewrót pałacowy?

On nie ma silnej konkurencji w partii, a sam władzy nie odda. Jedynie bardzo zły wynik wyborczy mógłby go zmusić do rezygnacji z przywództwa.

> Opozycja zorganizuje kolejne akcje, ale – w sytuacji, gdy będzie się ważyła kwestia sankcji uderzających w polskie społeczeństwo – te działania zostaną bardzo źle przyjęte przez wyborcę

A jeśli PO źle wypadnie w wyborach samorządowych?

Wyniki wyborów samorządowych nie są jednoznaczne, bo nawet jeśli PO wyraźnie straci w sejmikach, to zapewne zwycięży w dużych miastach. Grzegorz Schetyna będzie mógł przekuć to w – przynajmniej połowiczny – sukces. Myślę, że dopiero przegrane wybory parlamentarne mogłyby spowodować zmianę na stanowisku przewodniczącego PO.

A Donald Tusk? Czy w przyszłym roku będzie go więcej w polskiej polityce?

Sądzę, że tak. Donald Tusk myśli już o starcie w wyborach prezydenckich i będzie coraz aktywniej komentował polską scenę polityczną. PO jest skazana na jego kandydaturę, i to niezależnie od wyniku wyborów parlamentarnych w 2019 r. Jeśli Platforma otrzyma zły wynik, to Tusk wystąpi w roli lidera odbudowującego partię, a jeśli wynik będzie dobry, to i tak Grzegorz Schetyna nie znajdzie lepszego kandydata, nawet jeśli obaj panowie nie pałają do siebie miłością.

Ale wcześniej – już w 2018 r. – czeka Tuska udział w debacie na temat wprowadzenia sankcji unijnych przeciw Polsce. Jak się wtedy zachowa?

No cóż, Tusk jako przewodniczący Rady Europejskiej będzie musiał prowadzić głosowanie nad artykułem 7 i na pewno zostanie obwiniony o to, że nie dba o polskie interesy. W odpowiedzi podejmie próby wykazania, że groźba sankcji jest rezultatem błędów PiS. Oczywiście doprowadzi to do dalszej polaryzacji debaty w Polsce.

Przejdźmy do Nowoczesnej. Czy Katarzyna Lubnauer zdoła wyprowadzić partię z kryzysu?

Katarzyna Lubnauer została przewodniczącą, aby podczas rozmów politycznych z PO wynegocjowała znacznie więcej, niż zdołał osiągnąć Ryszard Petru. Ale jej bardziej asertywna postawa może wywołać konflikty w łonie opozycji i z tego powodu wynik wyborczy Nowoczesnej niekoniecznie musi być dobry. W rezultacie po wyborach samorządowych może się okazać, że kandydatom Nowoczesnej nie opłaca się startować pod własnym szyldem, lecz pod szyldem jakiejś zjednoczonej opozycji lub wręcz z listy PO.

Nowoczesna nie będzie szukać własnej niszy?

Z pewnością Katarzyna Lubnauer będzie próbowała odróżnić swoją partię od PO, odwołując się do bardziej lewicowego wyborcy. Nowoczesna pójdzie więc w liberalną stronę zarówno w kwestiach światopoglądowych, jak i w gospodarczych, podczas gdy PO nadal będzie się starała łapać wiele srok za ogon.

A co z Ryszardem Petru?

Ryszard Petru będzie się starał kwestionować przywództwo Katarzyny Lubnauer. To może spowodować rozłam wewnątrz partii i przejście części osób do PO. Sądzę, że wokół jego osoby wybuchnie w 2018 r. wiele konfliktów.

Czy PiS utrzyma tak dużą przewagę nad opozycją?

Przewaga PiS opiera się na atrakcyjności programu społecznego, niezłych wskaźnikach gospodarczych oraz słabości opozycji. I tu się raczej w 2018 r. nic nie zmieni na gorsze. Nie przewiduję jednak znaczącego pogłębienia tej przewagi, choć niewykluczone, że Mateusz Morawiecki przeciągnie na stronę PiS jeszcze kilka punktów procentowych centrowego elektoratu.

Jaka przyszłość czeka Beatę Szydło?

Ma ciągle do odegrania ważną rolę w rządzie. Beata Szydło jest zapowiedzią kontynuacji programów społecznych i twarzą skierowaną w stronę wyborców socjalnych. PiS osiągnął już sufit poparcia wśród osób mniej zamożnych

eprasa.pl 150ab1bc81

oraz w małych miejscowościach i nie ma dziś lepszego polityka od Beaty Szydło, który pomógłby utrzymać to poparcie.

Przewiduje pan konflikty na linii Morawiecki–Szydło?
Każde z nich stara się walczyć o wpływy, ale konfliktów na poziomie personalnym sobie nie wyobrażam. To nie są tego typu politycy. Zresztą ani Beata Szydło, ani Mateusz Morawiecki nie wywalczyli stanowiska premiera, będąc przywódcami partii, lecz otrzymali je ze wskazania Jarosława Kaczyńskiego. Ta okoliczność zapewne temperuje ewentualne emocje.

Antoni Macierewicz? Pozostanie w rządzie?
Raczej tak, bo wśród elektoratu PiS cieszy się dużym poparciem. Antoni Macierewicz jest politykiem związanym ze środowiskiem Radia Maryja i premier Morawiecki mając do wyboru dymisję Macierewicza lub Jana Szyszki, zdecyduje się raczej na odwołanie tego drugiego.

A jak będą się układać relacje PiS z prezydentem Dudą?
Oczekiwałbym poprawy tych relacji, bo PiS przeprowadziło najważniejsze reformy, więc głębszych pęknięć nie powinno już być. Możliwa jest jednak walka o wpływy w państwie. Prezydent Duda przekroczył polityczny Rubikon i nadal będzie próbował odgrywać rolę niezależnego arbitra.

Czy dojdzie do referendum konstytucyjnego? Prezydent chciał w nim zapytać obywateli o to, ile władzy powinna mieć głowa państwa.
Myślę, że prezydent będzie dążył do przeprowadzenia referendum. Będzie ono miało charakter konsultacyjny i może być początkiem budowy prezydenckiego projektu na kolejną kadencję, czemu sprzyja rocznica stulecia niepodległości Polski.

PiS nie przeciwstawi się umocnieniu pozycji prezydenta?
Jarosław Kaczyński wielokrotnie krytykował konstytucję i może być otwarty na argument, że zmiana konstytucji mogłaby być jednym z elementów kolejnej kampanii wyborczej.

Nowe ruchy polityczne na prawicy?
Przy obecnej popularności PiS nie ma szans na pojawienie się jakichkolwiek poważnych ruchów po tej stronie.

A wokół Polski? Czy Angela Merkel utrzyma władzę?
Niewykluczone, ale jeśli zdoła przetrwać obecny kryzys polityczny, to wyjdzie z niego bardzo osłabiona. Z naszej perspektywy oznacza to mniejsze zainteresowanie Niemiec sytuacją w Polsce, co może być korzystne w kontekście debaty na temat praworządności oraz kryzysu imigracyjnego. Jednak osłabienie Merkel to także odwilż w stosunkach Niemiec z Rosją oraz zwiększenie popularności takich partii jak AfD, która wcześniej czy później stanie się ugrupowaniem głoszącym hasła antypolskie.

Rosja przełamie opór Zachodu?
Na poziomie formalnym raczej tak nie będzie, ale na poziomie realnej polityki jak najbardziej. Sprzyjać temu będzie mundial 2018 w Rosji, który Władimir Putin z pewnością wykorzysta, aby poprawić wizerunek Rosji. Niewykluczone, że osiągnie swój cel, doprowadzając do tego, że część sankcji zostanie zniesiona. Unia skieruje swoją uwagę na Brexit i głębszą integrację.

Początek Unii dwóch prędkości?
Może nie tyle dwóch, ile wielu prędkości. Będzie to realizowane zadaniowo poprzez budowanie wspólnych projektów w strefie euro.

A co z imigrantami?
Przywódcy unijni nadal będą się wycofywać ze strategii otwartych drzwi, a zatem nie grozi nam powtórka z kryzysu migracyjnego na dużą skalę. Oczywiście pod warunkiem że nie dojdzie do kolejnej fali niepokojów na Bliskim Wschodzie czy w Afryce.

Czy Bruksela odpuści Polsce i innym krajom Grupy Wyszehradzkiej kwestię relokacji?
Ależ skąd. Wykorzysta nasz sprzeciw do tego, aby pozbawić nas części środków finansowych.

A zatem czeka nas w nowym roku bój z Unią?
Tak. Na pewno będzie się tu bardzo wiele działo.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

PROFESORA HENRYKA CIOCHA

Wybitnego prawnika,
eksperta w zakresie prawa spółdzielczego,
Senatora Rzeczypospolitej Polskiej,
sędziego Trybunału Konstytucyjnego

Rodzinie i bliskim wyrazy współczucia składają

Rada Nadzorcza, Zarząd i Pracownicy Kasy Stefczyka

24/1117/F

eprasa.pl 150ab1bc81

La Plata wpada do Tybru



Episkopat Polski staje u progu roku 2018 przed dylematem, przed jakim nigdy nie stali jeszcze biskupi w naszym kraju



GRZEGORZ GÓRNY

W Polsce ukazała się właśnie książka znanego włoskiego watykanisty Gianfranco Svidercoschiego pod znamiennym tytułem „Papież, który zapalił świat". Rok 2018 minie w Kościele pod znakiem dalszego pożaru roznieconego przez głównego lokatora Domu św. Marty.

Od niemal czterech lat, czyli od pamiętnego wystąpienia kard. Waltera Kaspera na konsystorzu w Rzymie w lutym 2014 r., głównym punktem zapalnym pozostaje kwestia przystępowania do komunii osób rozwiedzionych i pozostających w ponownych związkach. Kościół zawsze dopuszczał taką możliwość, jednak pod warunkiem że mężczyzna i kobieta żyją z sobą w czystości, jak „brat z siostrą", czyli powstrzymują się od współżycia. Dobitnie podkreślił to Jan Paweł II w swej adhortacji apostolskiej „Familiaris consortio" z 1981 r. W ostatnich latach nauczanie to było jednak coraz mocniej kontestowane, nawet przez niektórych hierarchów katolickich.

To właśnie ten problem zdominował obrady rzymskiego synodu biskupów w 2014 i 2015 r., zogniskował spór wokół ogłoszonej w 2016 r. adhortacji Franciszka „Amoris laetitia" oraz rozpalił gorącą i trwającą do dziś dyskusję wśród katolików na całym świecie. Doszło nawet na tym tle do faktycznego pęknięcia w łonie Kościoła, gdyż jedna część biskupów, księży i teologów opowiada się za utrzymaniem dotychczasowej dyscypliny sakramentów, a druga – za jej zmianą. Obie strony powoływały się przy tym na wspomniany już dokument papieski „Amoris laetitia", wyciągając z niego jednak całkowicie odmienne wnioski.

Wśród zwykłych wiernych wywoływało to zamęt i dezorientację, potęgowane przez milczenie Franciszka, który mimo licznych próśb i nalegań nie zabierał oficjalnie głosu.

Wszystko wskazuje na to, że najbliższe miesiące przyniosą dalsze zaognienie sytuacji, a także konieczność dokonywania zdecydowanych wyborów, również w Polsce. Bieg zdarzeń przyspieszył bowiem za sprawą pewnego faktu, który przeszedł u nas niemal niezauważony przez opinię publiczną. Chodzi o ujawniony kilka tygodni

eprasa.pl 150ab1bc81


Fot. Shutterstock

temu akt papieski z 5 czerwca 2017 r. Zacznijmy jednak po kolei.

CASUS DOKTRYNY Z ARGENTYNY

Jak wspomniałem, kluczowe znaczenie dla obu stron sporu ma stanowisko papiestwa. Jak mówi bowiem stara łacińska sentencja: „Roma locuta, causa finita". Franciszek, choć w oficjalnych wystąpieniach unikał jednoznacznych deklaracji, w prywatnej korespondencji dawał jasno do zrozumienia, jakie są jego poglądy w tej kwestii. Szczególnie charakterystyczny był jego list do biskupa Sergia Alfreda Fenoya z Argentyny, stanowiący odpowiedź na jego wcześniejsze pismo. Biskupi z metropolii Buenos Aires wydali bowiem wytyczne, jak wprowadzać papieską adhortację w życie w swych diecezjach. Doszli do wniosku, że w przypadku osób rozwiedzionych i pozostających w ponownych związkach „Amoris laetitia" otwiera „w niektórych przypadkach" drogę do sakramentów pojednania i Eucharystii bez stawianego wcześniej warunku zachowania wstrzemięźliwości seksualnej. Żeby się upewnić, czy ich wykładnia jest prawidłowa, bp Fenoy wysłał w ich imieniu list z zapytaniem do Franciszka, czy dobrze interpretują jego zalecenia. Odpowiedź rodaka z Watykanu była jednoznaczna: „Tekst jest bardzo dobry i dokładnie przekazuje rozdział VIII »Amoris laetitia«. Nie ma innych interpretacji". Co ciekawe, oba pisma noszą datę 5 września 2016 r., a więc Franciszek odpowiedział jeszcze tego samego dnia. Stanowi to jawny kontrast z głośnymi „dubiami" czterech kardynałów, na które nie doczekali się oni odpowiedzi z Watykanu od kilkunastu miesięcy.

Korespondencja między Rzymem a Buenos Aires nie miała jednak charakteru oficjalnego nauczania Kościoła. Nieomylność papieża przysługuje mu bowiem tylko wtedy, gdy wypowiada się w sprawach wiary, obyczajów i kierowania Kościołem ex cathedra, czyli w sposób jednoznaczny i uroczysty, wyraźnie podkreślając, że nauka przez niego zdefiniowana powinna obowiązywać wszystkich katolików. W tym sensie przymiotu nieomylności nie posiadają akty zwyczajnego nauczania papieży, takie jak listy czy kazania.

Kilka tygodni temu media ujawniły jednak treść notatki sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej kard. Piera Parolina z 5 czerwca 2017 r., który ogłosił, że na podstawie decyzji papieskiej wspomniany list bp. Fenoya oraz dana mu odpowiedź Franciszka zostają umieszczone w „Acta Apostolicae Sedis", czyli w oficjalnym wykazie dokumentów Stolicy Apostolskiej (coś w rodzaju odpowiednika polskiego „Dziennika Ustaw"). Od tego momentu, jak ogłosił kard. Parolin, treść zawarta w powyższej korespondencji staje się częścią „autentycznego nauczania" Kościoła. Oznacza to, że każdy katolik ma obowiązek przyjąć je w swoim sumieniu.

Sposób upublicznienia tej informacji wywołał wśród kanonistów wiele wątpliwości i pytań, czy postępowanie Franciszka spełnia rzeczywiste wymogi wypowiedzi ex cathedra. Nie mieliśmy bowiem do czynienia z oficjalną deklaracją papieża, ale nadaniem większego znaczenia jego opiniom wyrażonym w prywatnym liście. Na dodatek nastąpiło to bez żadnego rozgłosu i w takiej dyskrecji, że sprawa wyszła publicznie na jaw dopiero pół roku później.

ADHORTACJA TYSIĄCLECIA

Pozostawmy na boku kwestie proceduralne, które są oczywiście bardzo ważne i mogą być rozstrzygające. Skupmy się jednak na woli Franciszka, ponieważ w tym przypadku jest ona całkowicie jasna. Potwierdza to zresztą wydany w październiku 2016 r. 17-stronicowy przewodnik, jak wprowadzać w życie zalecenia „Amoris laetitia" w archidiecezji rzymskiej, podległej bezpośrednio papieżowi. Otóż jest tam wyraźnie napisane, że w niektórych przypadkach pary pozostające w związkach niesakramentalnych i utrzymujące stosunki seksualne mogą przystępować do komunii.

Sprawa dotyczy jednak nie tylko dyscypliny sakramentów, lecz ma znacznie poważniejsze konsekwencje doktrynalne. Podniesienie wymiany listów pomiędzy bp. Fenoyem a papieżem do rangi Magisterium sprawia bowiem, że nauczanie Kościoła staje się wewnętrznie sprzeczne. Treść przywoływanej korespondencji zaprzecza bowiem całemu dotychczasowemu nauczaniu Kościoła w poruszanych kwestiach.

Nieprzypadkowo kard. Walter Kasper nazwał „Amoris laetitia" najważniejszym dokumentem w historii Kościoła w ostatnim tysiącleciu. Jeśli przyjmiemy bowiem dominującą dziś interpretację tej adhortacji, to będziemy musieli całkowicie przedefiniować katolickie rozumienie moralności, sumienia, prawa naturalnego, sakramentów, a przede wszystkim natury samego Kościoła i nieomylności Magisterium. Doktryna katolicka jest bowiem spójną i logiczną budowlą, a wyjęcie z niej jednego klocka może spowodować zawalenie całości.

W swej głośnej pracy „Iota unum" szwajcarsko-włoski teolog Romano Amerio dowiódł, że od początku istnienia Kościół w sprawach moralności i wiary nie zmienił swego oficjalnego nauczania ani o jotę. Uznanie liberalnej

eprasa.pl 150ab1bc81

interpretacji „Amoris laetitia" byłoby pierwszym takim przypadkiem w historii, stawiającym nieomylność Magisterium pod znakiem zapytania. Prowadziłoby bowiem do logicznej konsekwencji, że w którymś momencie Kościół musiał się mylić: albo kiedyś, albo dziś. Jeśliby tak było, to kto da gwarancję, że w innych sprawach papieże również nie błądzili i w przyszłości ich następcy będą zmuszeni zmienić nauczanie poprzedników?

Kluczowe dla zrozumienia Franciszka wydaje się jego listopadowe wystąpienie przed Papieską Radą ds. Nowej Ewangelizacji, gdy stwierdził on, że kara śmierci jest „jako taka sprzeczna z Ewangelią". Obwinił przy tym Kościół, że przez dwa tysiące lat dopuszczał legalność takiej kary. Jego zdaniem papieże, którzy w przeszłości bronili owego stanowiska, lekceważyli „prymat miłosierdzia nad sprawiedliwością", kierowali się „mentalnością bardziej legalistyczną niż chrześcijańską", martwili się „zachowaniem władzy i materialnego bogactwa" oraz „przeceniali wartość prawa", a to wszystko „uniemożliwiało głębsze zrozumienie Ewangelii". Przemówienie stanowiło zerwanie z całym dotychczasowym nauczaniem Magisterium na temat kary śmierci, którą dopuszcza zresztą obowiązujący obecnie Katechizm Kościoła Katolickiego. Warto przypomnieć, że Jan Paweł II nie zniósł tego prawa, choć uznał, że może ono nie być dzisiaj stosowane. Swoje stanowisko Franciszek uzasadnił – co wydaje się najistotniejsze – dynamicznym rozumieniem depozytu wiary w Kościele katolickim.

Owo „dynamiczne rozumienie depozytu wiary" kierowało nim także, gdy powoływał do życia wiele watykańskich komisji zajmujących się obecnie m.in. diakonatem kobiet, interkomunią z protestantami czy odczytaniem na nowo encykliki Pawła VI „Humanae vitae". Watykaniści nie wykluczają, że również w tych kwestiach możemy się spodziewać wkrótce nowego otwarcia.

OCZY ZWRÓCONE NA POLSKĘ

Obecnie najbardziej naglący pozostaje jednak problem ustosunkowania się wobec „Amoris laetitia". Do tej pory wszystkie episkopaty na świecie, które wydały w tej sprawie swoje wytyczne (np. Niemcy, Belgia czy Malta), poparły dopuszczenie do komunii osób rozwiedzionych i pozostających w ponownych związkach. Za wiernością odwiecznemu nauczaniu Kościoła opowiedzieli się publicznie tylko ordynariusze niektórych diecezji, np. arcybiskupi Filadelfii czy Florencji, natomiast nie uczynił tego jeszcze żaden episkopat na świecie. Co zrobią w tej sytuacji nasi hierarchowie?

> Na głos polskiego Episkopatu z niecierpliwością czeka dziś wiele środowisk katolickich na całym świecie, które pozostają wierne tradycyjnemu nauczaniu Kościoła

Jeden z najbardziej znanych włoskich watykanistów Mario Tosatti napisał w październiku, że dokument Episkopatu Polski jest już gotowy i potwierdza w całości tradycyjne nauczanie Magisterium na temat małżeństwa i Eucharystii. Wkrótce potem jednak rzecznik episkopatu ks. Paweł Rytel-Andrianik poinformował, że prace nad dokumentem jeszcze trwają.

Nieprecyzyjność sformułowań w „Amoris laetitia" sprawia, że zapisy w adhortacji można interpretować dwojako. Biskupi mają więc alternatywę: albo opowiedzą się za tradycyjną nauką Kościoła, wyrażoną m.in. w „Familiaris consortio" Jana Pawła II, albo za interpretacją zawartą w korespondencji między bp. Fenoyem a Franciszkiem. Mogą też oczywiście nie wydawać żadnego dokumentu lub napisać go tak ogólnie, by nic konkretnego z niego nie wynikało.

W wywiadzie dla portalu PCh24.pl Paweł Lisicki powiedział, że polscy hierarchowie znajdują się w trudnej sytuacji rozdarcia między posłuszeństwem a prawdą: „Gdyby faktycznie nazwali publicznie błędy i słabości papieskiego dokumentu, mogliby wywołać zgorszenie zwykłych wiernych. Czy biskup może publicznie piętnować błędy Ojca Świętego? I jak wpłynie to na jego własny autorytet wśród wiernych? Nie sądzę, żeby to była właściwa postawa. Drugie wyjście to zachowywanie się, jakby nic się nie stało, i interpretowanie nauk »Amoris laetitia« w zgodzie z Tradycją. Zaletą takiego stanowiska jest unikanie skandalu, wadą – słabość logiczna. Biskupi muszą udawać, że nie zauważają, iż ich interpretacja jest sprzeczna z tą, jaką dali ich bracia w biskupstwie w Niemczech, Belgii czy Argentynie. Znaczyłoby to, że godzą się z tym, iż nauka moralna jest zależna od geografii, i sami poniekąd przyznają Polsce status pewnego konserwatywnego rezerwatu. Wolno im niczego nie zmieniać, co się tyczy moralności, bo mieszkają w tradycyjnym społeczeństwie. W sensie logicznym jednak to postawa nie do utrzymania: to, co prawdziwe w Polsce, nie może być nieprawdziwe w Niemczech".

Jak zauważył brytyjski watykanista Edward Pentin, na głos polskiego episkopatu z niecierpliwością czeka dziś wiele środowisk katolickich na całym świecie, które pozostają wierne tradycyjnemu nauczaniu Kościoła, a czują się osamotnione i pozostawione przez swoich hierarchów. Ich oczekiwania oparte są na tym, że podczas ostatniego synodu w Rzymie to właśnie biskupi z Polski najdzielniej bronili katolickiej ortodoksji.

Jaka może być jednak odpowiedź, skoro – według watykańskiego sekretarza stanu kard. Parolina – dopuszczenie do komunii osób rozwiedzionych i pozostających w ponownych związkach bez warunku wstrzemięźliwości płciowej stało się częścią „autentycznego nauczania" Kościoła i katolicy w swym sumieniu są zobowiązani mu się podporządkować? Oto dylemat, przed jakim stoją biskupi polscy u progu 2018 r. Jedno jest pewne: potrzebują w tym momencie szczególnie gorącej modlitwy wiernych.

eprasa.pl 150ab1bc81

Jak zmieni się klimat Polski

Czy śnieżne zimy niedługo będą już tylko wspomnieniem? Czy Polskę będą nawiedzać tropikalne huragany, nisko położone tereny zaleje morze zasilane topniejącymi lodowcami, a zamiast świerków i jodeł będą rosnąć palmy? A może czeka nas nowa epoka lodowcowa? Czy klimat naszego kraju zmieni się diametralnie?





PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zmiany klimatyczne, w tym wyraźne, długookresowe zmiany temperatur, są zjawiskiem stale towarzyszącym historii życia na Ziemi. Zmiany takie, wywierające znaczny wpływ na rozwój cywilizacyjny i gospodarczy, a także na codzienne życie ludzi, były obserwowane nawet w tak stosunkowo krótkim czasie, jaki obejmuje nasza era.

Po okresie tzw. średniowiecznego optimum klimatycznego, którego wyraźnym dowodem są np. warstwy pyłku ciepłolubnych, wiatropylnych roślin zakonserwowane w pokładach torfowisk sprzed setek lat, kiedy klimat naszego rejonu globu był na tyle ciepły, że wikingowie kolonizowali zieloną wówczas Grenlandię, nadeszła „mała epoka lodowcowa".

Trwający aż do początków XX w. okres oziębienia ukształtował tkwiący w naszej świadomości obraz cyklicznie wyróżniających się pór roku, rozdzielanych spoczynkiem przyrody podczas zimy śnieżnej i mroźnej, kiedy „lasy gięły się i łamały pod obfitą okiścią, śnieg olśniewał oczy w dzień przy słońcu, a nocą przy księżycu migotały jakoby iskry niknące po stężałej od mrozu powierzchni; zwierz zbliżał się do mieszkań ludzkich, a ubogie szare ptastwo stukało dziobem do szyb, szedzią i śnieżnymi kwiatami okrytych".

W całkiem niedawnych czasach, które mogli pamiętać nasi dziadkowie i pradziadkowie, w polskich górach występowały całoroczne lodowce, i to nie tylko w Tatrach (w których do dziś zachował się minilodowiec – Lodowczyk Mięguszowiecki), lecz nawet na północnych stokach masywu Babiej Góry.

Kopny śnieg, temperatury spadające w najzimniejszych rejonach Polski poniżej -30 °C, a nawet opowieści o spadających ptakach porażonych tchnieniem mrozu, do niedawna nikogo więc nie dziwiły. W zimie musi być zimno. Taki jest naturalny porządek rzeczy. Ostatnie dekady przyniosły jednak sygnał, że może się to zmienić.

COŚ SIĘ ZMIENIA

Jak stwierdza dr Mirosława Malinowska z Katedry Meteorologii i Klimatologii Wydziału Oceanografii i Geografii Uniwersytetu Gdańskiego, klimat Polski zmienia się, a jednym z przejawów tej zmiany jest wzrost temperatury powietrza. Według dr Malinowskiej najbardziej istotne zmiany, jakie czekają nas w perspektywie XXI w., to:

- wzrost średnich rocznych temperatur powietrza, wzrost temperatur zimy, wiosny i lata,
- skracanie się długości trwania chłodnych pór roku i wzrost długości trwania ciepłych,
- wzrost długości okresu wegetacyjnego, spadek długości zalegania pokrywy śnieżnej,
- wzrost częstości występowania fal ciepła oraz tzw. nocy upalnych, uniemożliwiających regenerację organizmu,
- wzrost częstości występowania ekstremalnych zjawisk pogodowych, takich jak trąby powietrzne, intensywne opady, sztormy.

CO DALEJ?

Jakie będą konsekwencje zmian klimatycznych w dalszej przyszłości? Nie potrafimy jeszcze ułożyć scenariusza długoterminowego, obejmującego kolejne stulecia. Naukowcy

Fot. Z archiwum autora

eprasa.pl 150ab1bc81

uważają, że w nadchodzących dziesięcioleciach klimat będzie się ocieplał. Przyczynę zmian upatruje się w zwiększającej się emisji gazów cieplarnianych do atmosfery, zamieniających naszą planetę w szklarnię, ale nie tylko w tym. Problemem jest również zaburzenie naturalnych mechanizmów pochłaniania tych gazów. Wielkim zagrożeniem o potencjalnie katastrofalnych skutkach dla cywilizacji ludzkiej są postępujące wylesienia, podczas których przestają istnieć olbrzymie przestrzenie dotychczas porośnięte lasami. Procesy te nie zachodzą w Polsce ani w Europie, konsekwentnie zwiększających lesistość (trend ten bezwzględnie musi być utrzymany), ale wycinka lasów tropikalnych niesie za sobą konsekwencje globalne.

Co dalej? Dr Malinowska zaznacza, że są pewne analizy wskazujące, że obserwowane obecnie globalne ocieplenie – w dłuższej perspektywie czasowej – może paradoksalnie skutkować spadkiem temperatur w Europie, wynikającym z zaniku prądów morskich, w tym Prądu Północnoatlantyckiego. Prąd ten na razie sprawia, że średnie temperatury powietrza w Europie (abstrahując od ocieplenia) są wyższe, niż wynikałoby to z szerokości geograficznych, na których nasz kontynent jest położony. Jeżeli na skutek zmian klimatu Prąd Północnoatlantycki zaniknie, tym samym zaniknie jeden z czynników odpowiedzialnych za podnoszenie temperatury na naszym kontynencie.

Na tej m.in. podstawie, będącej skutkiem początkowego ocieplenia, powstają teorie o czekającej nas w konsekwencji kolejnej „epoce lodowcowej".

Równie dobrze jednak sama akumulacja ciepła w atmosferze, wywołana wzrostem ilości gazów cieplarnianych, może spowodować, że klimat Europy wcale się nie ochłodzi, niezależnie od działalności prądów morskich.

Dla każdego argumentu można bowiem w tej kwestii znaleźć kontrargument. Wzrost stężenia cieplarnianego dwutlenku węgla w atmosferze może spowodować bujniejszą wegetację roślin zużywających CO_2 w procesie fotosyntezy. Bujniejsza wegetacja pochłonie nadmiar CO_2, zamykając go w tkankach roślinnych. Do podobnego zjawiska mogło już dojść miliony lat temu, kiedy atmosfera ziemska zawierała więcej tego gazu niż obecnie, a czynnikiem, który zmniejszył jego udział w atmosferze, było prawdopodobnie właśnie działanie roślin.

CZEKA NAS KATASTROFA?

Zanim się przekonamy, co wydarzy się w przyszłości, wiele wskazuje na to, że przyjdzie nam się zmierzyć ze zmianami klimatu, w tym z przewidywanym wzrostem temperatur, już niedługo. A w zasadzie ocieplenie klimatu już jest faktem. Coraz rzadziej mamy do czynienia z przejściowymi porami roku, zimy są mniej śnieżne, wiosny od razu upalne, huragany częstsze. Jak informuje amerykańska agencja NASA, lodowce wokół biegunów topnieją nie tylko od wierzchołków, na skutek wyższych temperatur powietrza i mniejszych opadów śniegu (to zresztą mechanizm samonapędzający się – mniej świeżego śniegu to więcej ciemnych, pyłowych zanieczyszczeń na powierzchni lodu, która akumuluje energię słońca, zamiast ją odbijać). Jednocześnie jednak zaobserwowano, że lodowce rozpuszczają się także od dołu, rozmrażane coraz cieplejszymi wodami oceanów.

Nie można lekceważyć prognozowanych zmian, bo z uciążliwości mogą się przerodzić w katastrofę. Jeżeli doszłoby do podniesienia się przeciętnej temperatury na świecie o zaledwie 1°C, chociaż brzmi to niegroźnie, w przypadku najbardziej wrażliwych obszarów może to sprawić, iż zamienią się one w pustynię, zwłaszcza że wzrost temperatury pociąga za sobą zmianę wielu innych elementów klimatu.

Czy Polska także jest zagrożona? Warto zauważyć, że już obecnie część terytorium naszego kraju jest tak słabo zaopatrzona w wodę m.in. ze względu na malejące opady śniegu, którego topnienie nie zasila wystarczająco gleby w okresie wczesnowiosennym. Tereny te znajdują się więc na skraju stepowienia. Można spróbować wyobrazić sobie scenariusz, w którym część naszego nizinnego kraju zostaje zalana przez podnoszący się poziom oceanu, a reszta staje się pustynią... Tak więc nawet pozornie nieznaczne zmiany klimatu, w tym jego ocieplenie, mogą mieć doniosłe i niestety – jak się przewiduje – negatywne skutki dla gospodarki, przyrody i każdego z nas.

Skutki te mogą mieć lżejszy kaliber: górale będą musieli przestać inwestować w wyciągi narciarskie i nastawić się na inny rodzaj turystyki, zakłady wulkanizacyjne, żyjące w cyklu od pory zamiany opon letnich do pory zmiany opon zimowych, wyszukać sobie nowe zajęcie, produkcja butów zimowych przestanie być opłacalna. Niekiedy znaleźć można konsekwencje pozytywne, przynajmniej dla Polski, jak obserwowane już przesuwanie się centrum uprawy winorośli i produkcji win białych z tradycyjnych rejonów Niemiec do naszego kraju. Zamiast butów na srogą zimę można zacząć sprzedawać ich atrapy, bardzo popularne zresztą w Hiszpanii, snobującej się na kraj północny, w którym ze śniegiem nie ma żartów: w okresie Bożego Narodzenia nierzadkie są sceny, kiedy przed centrami handlowymi pada śnieg (sztuczny), a mimo kilkunastu stopni powyżej zera większość ludzi ubrana jest w puchowe kurtki i „zimowe" buty, które przemokłyby po kilku minutach na prawdziwym śniegu. Czy niedługo i my zatęsknimy za prawdziwą zimą?

Zmiany klimatu to przede wszystkim jednak konsekwencje znacznie poważniejsze. To katastrofalne zjawiska pogodowe i pustynnienie ziemi żywiącej dotychczas ludzi. Niewielki wzrost temperatury może sprawić, że do Polski zawita malaria, zabijająca rocznie miliony ludzi w cieplejszych rejonach świata. Komary roznoszące malarię występują w Polsce, na razie jednak jest za zimno, aby pasożytniczy pierwotniak zarodziec malarii mógł się rozwijać. Śnieg i mróz na razie stanowią skuteczną obronę przed malarią, podobnie jak zapobiegają rozwojowi epidemii grypy, która może się okazać nie mniej zabójcza od malarii.

ZRÓWNOWAŻONE GOSPODAROWANIE

Torpedowanie wiadomościami o postępującym efekcie cieplarnianym i zmianach klimatycznych spowodowanych działalnością ludzką, a w szczególności zużyciem paliw kopalnych, spotyka się często z niedowierzaniem, a nawet

eprasa.pl 150ab1bc81



Fot. Shutterstock

podejrzeniem o ukryte za ekologiczną fasadą grube interesy, zwłaszcza jeżeli głos przestrogi dochodzi z kolejnej konferencji na Bali, na którą uczestnicy dotarli samolotami odrzutowymi, spędzając następnie czas na bankietach w klimatyzowanych salach.

Naukowcy twierdzą jednak, że zmiany to nie tylko anomalie pogodowe, lecz rzeczywiście zachodzące, istotne zmiany klimatu.

Można się zastanawiać, w jakim kierunku postępować będą zmiany i na ile spowodowane są przez człowieka, a w jakim stopniu stanowią naturalny cykl klimatu Ziemi i czy wybuchy superwulkanów nie mają zdecydowanie większego wpływu na klimat niż cała ludzkość razem wzięta.

Niezależnie jednak od wiary w prawdziwość poszczególnych stwierdzeń i słuszność rozmaitych teorii bez wątpienia potrzebujemy zrównoważonego gospodarowania – w skali świata, Polski i w zakresie dotyczącym każdego z nas, aby zachować trwałość i dotychczasową postać naszej cywilizacji. Aby przeżyć.

CZY MOŻEMY COŚ ZROBIĆ?

Działania w skali globalnej powinny obejmować redukcję emisji gazów cieplarnianych, powstrzymanie wylesień i jednoczesne zalesienia, zahamowanie degradacji mórz i oceanów, w których olbrzymie masy glonów odgrywają kolosalną rolę w regulacji klimatu.

Niezwykle ważne jest poszukiwanie alternatywnych źródeł energii – kiedyś będziemy się śmiać z gospodarki opartej na spalaniu węgla i ropy, w swojej istocie niewiele różniącej się od czasów „pary i żelaza", a nawet od czasów jeszcze dawniejszych. Czy rozwiązania nie mamy w zasięgu ręki? Zaledwie 2 proc. energii słonecznej docierającej do powierzchni Ziemi wystarcza, aby utrzymać całą planetę z olbrzymią różnorodnością życia. 98 proc. energii odbija się i znika w przestrzeni kosmicznej...

Jak mówi dr Mirosława Malinowska, konieczne są rekultywacja zniszczonych i zakładanie nowych terenów zieleni, renaturyzacja i zachowanie naturalnego charakteru cieków oraz zbiorników wodnych, które nie tylko łagodzą skrajności klimatu, lecz również są jednocześnie elementem ochrony przeciwpowodziowej i ograniczają skutki susz. W skali lokalnej działania mające na celu ochronę klimatu to stosowanie dachów pokrytych zielenią, jasne lub pokryte pnączami elewacje budynków, ogrody nawadniane gromadzoną podczas opadów deszczówką, rezygnacja z betonowania i kostkowania przestrzeni wokół siebie, korzystanie z transportu publicznego i rowerów, a nawet tak pozornie odległe od kwestii klimatu zagadnienie jak segregacja śmieci, ograniczająca zużycie surowców i redukująca wielkość wysypisk będących źródłem „cieplarnianego" metanu.

Walka o śnieżne i mroźne zimy, dążenie do zahamowania zmian klimatycznych to w rzeczywistości walka o świat, jaki znamy, w jakim nauczyliśmy się żyć i jakiego potrzebujemy.

eprasa.pl 150ab1bc81

Inaczej być nie mogło



Instytucje Unii są nieporównywalne z tymi, które mamy w państwach narodowych. Tam nie ma żadnego systemu kontroli. W naszych krajach jest podział władz, tam nie ma. Na przykład Komisja Europejska jest zarówno organem tworzącym unijne prawo, organem wykonawczym, jak i wreszcie ciałem quasi-sądowniczym

Jacek Karnowski rozmawia z prof. Ryszardem Legutką, europarlamentarzystą, filozofem, byłym ministrem edukacji narodowej

www.ecrgroup.eu

Panie profesorze, Komisja Europejska jednak uruchomiła art. 7 traktatu o Unii przeciwko Polsce. Sprawy zaszły bardzo daleko. Czy to był scenariusz nieuchronny, czy też były możliwości uniknięcia tego zderzenia?

Ryszard Legutko: Myślę, że nie było. Trzeba sobie zdawać sprawę, że Unia jest organizmem tak specyficznym, iż nie toleruje obcych ciał, zwłaszcza jeśli te obce ciała reprezentują Europę Wschodnią. To nie jest tak, że UE składa się ze „100 kwiatów", które kwitną dookoła, każdy inaczej, że to jakieś „zjednoczenie w różnorodności". To struktura monoideologiczna, która nie toleruje żadnych odstępstw, szczególnie z naszego regionu, traktowanego przez starą Unię jako coś gorszego. Mamy być posłusznym czeladnikiem i mamy się pilnować, by w głowach nam się nie poprzewracało.

Czyli znajdujemy się na celowniku nie ze względu na działania, które podejmuje rząd. To raczej konflikt o podłożu „genetycznym".

Już samo to, że w Polsce doszła do władzy partia spoza głównego nurtu, wyraźnie konserwatywna, zmierzająca do zmiany establishmentu, było odbierane jako akt wrogi wobec Unii. Ataki na przyszły rząd Prawa i Sprawiedliwości rozpoczęły się jeszcze przed wyborami, gdy nie było wiadomo, jak nowa władza będzie wyglądała. Nasiliły się, kiedy się okazało, że nie jest to rząd „na niby", który ograniczy się do drobnych retuszy. Biorąc te czynniki pod uwagę, inaczej być nie mogło. Elita unijna to nie jest towarzystwo skłonne do kompromisów, do tolerowania zróżnicowania. Nic z tych rzeczy.

W kontekście polskiego sporu z UE często przywołuje się przykład Węgier. Czy nasza ekipa rządząca nie powinna działać nieco sprytniej, tak jak to robi Orbán? A więc wyszukiwać ludzi, którzy są mniej agresywni, trochę pozorować ustępstwa, wygrywać czas, rozmywać, czasem cofnąć się w mniej ważnej sprawie?

Polityka jest taką sztuką, którą zawsze można uprawiać lepiej, choć zawsze można też gorzej. Nie uważam, by sytuacja Węgier była znacząco lepsza niż Polski. W przypadku Budapesztu trwa to wszystko dłużej, ale zmierza w tym samym kierunku. Zawsze się mówiło, że członkostwo Fideszu w Europejskiej Partii Ludowej (EPP) daje Węgrom specjalną ochronę, ale czy tak jest naprawdę, to już dyskusyjne. Połowa EPP głosowała w maju za rezolucją Parlamentu Europejskiego wzywającą do uruchomienia przeciwko Węgrom art. 7. Byłem świadkiem kilku debat w sprawie Węgier i panuje tam takie samo szaleństwo jak w czasie debat o Polsce. To towarzystwo, które żadnych jeńców nie bierze.

> W UE są wszystkie wady, z którymi państwa walczyły od stuleci, ale nie ma już tych rozwiązań, które państwa wypracowały w odpowiedzi na zagrożenia

Zwłaszcza wówczas gdy walczy z krajami relatywnie słabszymi.

Nie należy mieć żadnych złudzeń, że to salon dżentelmenów, z którym można się ułożyć. Rządzą twardogłowi. Stojąca w obliczu dążeń odśrodkowych Unia może wobec Polski i Węgier nie tylko zaryczeć, lecz i pokazać, że stać ją na działania stanowcze. Nie ma więc specjalnych szans na uniknięcie konfrontacji, przynajmniej w sprawach zasadniczych. Komisja Europejska właściwie nie odnosiła się do tych wyjaśnień, które dostawała, nie odpowiadała na nasze argumenty, nie próbowała doprowadzić do cząstkowych uzgodnień. Podobnie jak Komisja Wenecka. To bardzo typowe zachowanie. Idą swoim torem niczym konie wpatrzone w cel.

Co charakterystyczne, centrum unijne wręcz ostentacyjnie przyspieszyło swoje działania tuż po powołaniu nowego polskiego premiera, który przecież reprezentuje nieco inny świat niż jego poprzedniczka, i który przynajmniej powinien zostać wysłuchany. Zawsze zmiana prezesa Rady Ministrów to jakiś rodzaj nowego otwarcia.

Dziwiłem się tym głosom, które zakładały, że przy premierze Mateuszu Morawieckim nasze stosunki z Unią od razu będą inne, lepsze. Bo jednak premier Beata Szydło była politykiem lokalnym, krajowym, a Morawiecki to człowiek światowy, obyty na salonach, znany w środowisku elity gospodarczej Europy i Ameryki... To było myślenie naiwne. Tak jak gdyby w Unii zakładano, że to tylko kwestia personalna. Ta ostentacja wynika z chęci zademonstrowania siły. To powiedzenie: wy myślicie, że wystawicie kogoś nowego, kogoś z salonu, i to zadziała? To my wam pokażemy. „Point de rêveries, messieurs", a więc: „żadnych marzeń, panowie" – można powiedzieć, cytując cara Aleksandra II.

W skrócie: żadne zwody, żadne gesty nie zrobią na nas wrażenia.

Tak. To jest albo-albo. Albo bezwzględna kapitulacja, albo dalsze grillowanie Polski, nawet gdyby to nie miało się skończyć sankcjami. Zapewne się nie skończy, choć całkowitej pewności nie mam. Zawsze możliwe są różne zagrania pozaprawne, pozatraktatowe. Unia w tym się specjalizuje. Jedyne, co mogłoby zmienić ogólną sytuację, to dojście do wniosku przez decydentów, że to działania przeciwskuteczne w sensie politycznym. Ale i to wątpliwe, bo w przypadku Węgier brnęli dalej, nawet mając pełną świadomość, że to wzmacnia rząd Orbána.

Dlaczego?

Gdyby w Brukseli panowała klasyczna racjonalność, to w obliczu braku skuteczności Unia by się cofnęła. Ale UE nie jest gotowa na jakiekolwiek realne zróżnicowanie. Bo przecież ani rząd w Budapeszcie, ani rząd w Warszawie nie chcą wyjścia ze wspólnoty.

To nawet nie są rządy, które chcą cofnąć integrację; one chcą uspokojenia, spowolnienia dalszego marszu. Ale nawet to jest nie do przyjęcia.

A jak można ocenić wkład polskiej opozycji w działania Unii przeciwko rządowi w Warszawie? Czy był on istotny?

Tak, to miało znaczenie. Platforma jest partią silnie wspieraną przez główny nurt europejski, ale tylko w działaniach negatywnych. Tak było jeszcze w czasach, gdy PO w Polsce rządziła. Jeśli trzeba było dać nauczkę Prawu i Sprawiedliwości, to owszem, Unia słuchała Platformy. Ale gdy politycy PO chcieli z rzadka coś dobrego zrobić dla Polski – czy to w sferze energetyki, klimatu, czy coś innego – wówczas już tego wsparcia nie było. Dziś to jeszcze bardziej widoczne. Nasza opozycja podsuwa pomysły, pomaga pisać rezolucje, na czym internauci złapali Rafała Trzaskowskiego. W zamian może zabrać głos, dostaje brawa. Ale to instrumentalne wykorzystywanie PO. Bo decyzje w sprawie Polski nie są decyzjami tej partii mimo jej nieustannego i obmierzłego lizusostwa.

Platforma zatem jest w stanie wzmocnić nagonkę na Polskę, ale nic więcej?

Wyobraźmy sobie, że Janusz Lewandowski z Różą Thun i Julią Piterą idą do Manfreda Webera i proszą go, by jednak nieco odpuścić Polsce, bo eskalowanie sprawy w Europie im szkodzi, i że to jednak trzeba załatwiać wszystko w kraju. Proszą, żeby pomagać im najwyżej po cichu. To nie miałoby żadnego skutku, bo decyzje o twardej walce z polskim rządem zapadają dużo wyżej. Co nie zmienia mojej oceny zachowań opozycji, bo to zachowania wyjątkowo obrzydliwe.

W dokumencie „Deklaracja Paryska. Europa, w jaką wierzymy", podpisanym m.in. przez pana profesora, a także przez dziewięciu innych wybitnych intelektualistów, znalazło się m.in. takie stwierdzenie: „Uniwersalistyczne i uniwersalizujące roszczenia fałszywej Europy pokazują, że stanowi ona namiastkę przedsięwzięcia religijnego, łącznie z silnymi quasi-religijnymi obowiązkami i anatemami". W takim świecie rzeczywiście nie ma miejsca dla żadnej odmienności.

Na pewno jednocząca się Europa nie była taka u swoich początków. Kiedy to się zaczęło? Gdy powstała Unia, czyli od traktatu z Maastricht. Europejska wspólnota gospodarcza stała się unią polityczną, czyli ciałem rządzącym się zasadami polityki i stawiającym polityczne cele. Ja tej UE długo nie rozumiałem, nie mogłem tego intelektualnie uchwycić. Jak to jest, że widać tyle sprzeczności? Z jednej strony hipermoralistyka, wielkie słowa, a z drugiej – niezwykła brutalność polityczna. Z jednej strony deklaracje szacunku dla różnorodności, a z drugiej – okropny uniformizm, nietolerowanie jakiejkolwiek opozycji. Brakowało mi jasnej diagnozy. Dopiero po jakimś czasie zacząłem widzieć różne mechanizmy i płaszczyzny tej Unii. A przede wszystkim instytucje.

Instytucje bardzo szczególne.

To instytucje nieporównywalne z tymi, które mamy w państwach narodowych. Tam nie ma żadnego systemu kontroli. W naszych krajach jest podział władz, tam tego nie ma. Na przykład Komisja Europejska jest zarówno organem realnie tworzącym unijne prawo, organem wykonawczym, jak i wreszcie ciałem quasi-sądowniczym. O tym ostatnim świadczą działania przeciw Polsce, oceniające stan prawodawstwa w naszym kraju.

To konstrukcja instytucjonalna wręcz niebywała, Parlament Europejski jest dziwnym parlamentem, bez inicjatywy ustawodawczej i bez opozycji. To coś jak Sejm w PRL. Celem PE jest służyć dalszej integracji, a kto w nim jest i tego nie wspiera, ten jest obcym ciałem. To także parlament, w którym władza się nie zmienia od dziesięcioleci. Nawet gdyby to byli aniołowie, to po tak długim czasie w końcu by się zdegenerowali. Gdyby, nie daj Boże, udało się zrealizować to, o czym marzą Martin Schulz czy Guy Verhofstadt, czyli gdyby doszło do powstania państwa europejskiego, to powstałoby zupełnie inne państwo. Coś, czego nie znamy, system jeszcze niezbadany, bardzo niebezpieczny.

Co ciekawe, ani instytucje, ani ideologia nie przeszkadzają silnym graczom dbać o swoje interesy.

Poza tym, co opisane w traktatach, jest też nieformalny system władzy, o którym w dokumentach się nie wspomina. Są silniejsi, są słabsi, są podziały, w tym na Europę Zachodnią i Wschodnią. Ta druga ma wyraźnie pozycję słabszą. To niepisana zasada, że mamy być posłuszni i że nie dostajemy ważnych stanowisk. A jeśli dostajemy, to na takich warunkach, że gdybyśmy nawet chcieli, to niewiele możemy zrobić.

Można ogólnie powiedzieć, że w Unii jako instytucji są wszystkie wady, z którymi państwa narodowe walczyły od stuleci, ale nie ma już tych rozwiązań, które państwa wypracowały w odpowiedzi na zagrożenia.

Jest za to silny aspekt wiary, że UE zmierza prostą drogą do zbawienia.

Nazywam to aspektem teleologicznym. To wiara, że wszystko zmierza do wspaniałego celu, którym jest zjednoczona Europa, tak jak wszystko w socjalizmie zmierzało do wspaniałego finału. Kto nie składa aktów wiary, ten jest już podejrzany. Te rytualne przemowy, wygłaszane przez premierów czy prezydentów, to swego rodzaju akty strzeliste. To deklaracje: tak, ja też przynależę do tej wspólnoty, też wyznaję to samo bóstwo. To ma również bardzo konkretną konsekwencję w postaci naginania prawa, jeśli służy przybliżeniu się do uświęconego celu. Tak jak naginano prawo w komunizmie, uzasadniając to przyszłym szczęściem.

Prawo ma wspomagać cel, a nie tworzyć równe dla wszystkich warunki działania.

Zachodni intelektualiści opisywali procesy komunistyczne jako coś, co obiektywnie służy osiągnięciu świetlanych celów, nawet jeśli skazani nie byli winni w świetle prawa. Przy

www.ecrgroup.eu

zachowaniu wszystkich proporcji, w Unii są ślady podobnego nastawienia. Zrobiono kpinę z referendum w Irlandii, zrobiono kpinę z ratyfikacji traktatu lizbońskiego, blokując referenda. Tak jest też w przypadku procedury przeciwko Polsce, w oczywisty sposób nietraktatowej. To powinno ją dyskwalifikować, ale przecież Komisja działa z punktu widzenia celu, który powinien być osiągnięty w przyszłości. A skoro cel jest słuszny, to dobrzy Europejczycy to popierają, nie będą wchodzili w szczegóły prawne.

W deklaracji paryskiej stwierdzają państwo, że „jest alternatywa". Postulują państwo, by zacząć od „ponownej sekularyzacji europejskiego życia publicznego". Czyli trzeba zacząć od przywrócenia normalnej debaty, bez unijnych „aktów strzelistych" i „wyznań wiary".

Dobrze, że przywołał pan słowo „debata". Dziś w Unii debata polega na tym, by stale mówić to samo: albo wołając o „więcej Europy", albo dając odpór wrogom. Zrobię pewną dygresję: gdy ostatnio opuściliśmy jedną z dyskusji, nawet nasi sojusznicy zarzucali nam, że nie chcemy brać udziału w debacie. Odpowiedziałem, że wykorzystałem swoje sześć i pół minuty, dalej nie miałbym prawa zabrać głosu, i musiałbym siedzieć dwie godziny, wysłuchując tych samych inwektyw wypowiadanych przez różnych ludzi. A później ogłoszono by, że oto odbyła się debata o Polsce.

Nie widać żadnej nadziei?

Widać, że coś się dzieje. To, że UE tak bardzo się sroży w stosunku do Polski i Węgier, wynika z tego, że czują się mniej pewnie. Nawet w Europie Zachodniej coś zaczyna się dziać. Ale to chyba nie jest jeszcze ruch o dużej sile. Ważne jest jednak, że istnieje. Instytucje unijne są bardzo wygodne dla dużych państw, takich jak Niemcy, Francja, nawet Hiszpania i Włochy, które próbują je przechwycić i realizować własne cele. To wciąż duża pokusa, by z tych instytucji korzystać, a więc by Unię w obecnym kształcie zachować. Musiałoby też dojść do jakiejś zmiany ideowej w Europie, a tego nie widać. Prawica przegrała na wszystkich polach światopoglądowych, lewicowe ustawodawstwo moralne – czy raczej niemoralne – idzie szeroką falą, staje się coraz bardziej drobiazgowe. To sprawy, które mocno żyją w świadomości społeczeństw zachodnich i mocno łączą się z UE. Próba wpuszczenia tam świeżego powietrza będzie musiała się również łączyć ze zmianą ideologiczną, a to wywołałoby furię na skalę masową.

> Ustrój bez pamięci – to ważna cecha demokracji liberalnej. Teoria liberalizmu jest teorią ludzi bez pamięci. Unia to zinstrumentalizowała i zideologizowała

Czyli do XX Zjazdu KPZR jeszcze daleko.

W dającej się przewidzieć perspektywie wyraźne zmiany nie nastąpią, natomiast widać postępującą erozję. Dziś Unia funkcjonuje dzięki inercji, rozpędowi, przyzwyczajeniu, lękowi przed zmianą, nie ma już natomiast tej siły emocjonalnej. Akty wiary są składane, ale stały się rutyną. Trochę jak w latach 80. komuniści wciąż deklarowali, że „socjalizm ma wspaniałą przyszłość". Doszła także decyzja o wpuszczeniu imigrantów do Europy w takiej liczbie – wygenerowało to sporo złej krwi w różnych społeczeństwach, i to też jest kojarzone z UE.

Jeszcze raz przywołam deklarację paryską. Podkreślają państwo w niej, że jedną z przyczyn choroby jest odrzucenie pamięci. Podkreślają, że Europa nie zaczęła się od oświecenia. Walka przeciw fałszywej Europie toczy się wszędzie i każdy z nas ma rolę do odegrania, choćby chroniąc łączność z przeszłością, z minionymi pokoleniami.

To ważna cecha demokracji liberalnej: ustrój bez pamięci. Teoria liberalizmu jest teorią ludzi bez pamięci. Unia to zinstrumentalizowała i zideologizowała. Gdy za komuny mówiliśmy, że chcemy do Europy, to mieliśmy na myśli ten wielki byt historyczno-duchowy, który trwa od stuleci. Dziś bycie Europejczykiem ma oznaczać bycie entuzjastą UE i zwykle łączy się z odwróceniem się od dziedzictwa europejskiego, zastąpieniem go pokraczną karykaturą. W tym sensie Unia jest antyeuropejska, ponieważ odwraca się od tego, co jest naszym dziedzictwem, które stworzyliśmy, doskonaląc naszą cywilizację.

Jak pan oceni reakcje na ogłoszenie deklaracji paryskiej? Czy też została zignorowana, co jest standardową reakcją głównego nurtu na wydarzenia uznane za groźne?

Reakcji było sporo, także w ważnych mediach, ale nie wywołało to poważnej dyskusji. Dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung" stwierdził w sposób typowy, że autorzy „jednak przesadzają". To, co robimy, to praca organiczna. Proszę zwrócić uwagę: deklaracja praska podpisana niedawno przez niemal 200 intelektualistów głównego nurtu, w tym takich ludzi jak Balcerowicz, Applebaum, Shlomo Avineri, Mario Vargas Llosa, zestawia Filipiny, Turcję, Wenezuelę – a więc kraje, w których są masowe aresztowania, szwadrony śmierci – z Węgrami. To pokazuje, co ci autorzy mają w głowach. Ktoś, kto reprezentuje taki poziom ideologicznego pokręcenia, że Fidesz i PiS kojarzy się z krwawą tyranią, nie może być zdolny do rozmowy z naszą stroną. Sławne nazwiska, ale intelektualna degradacja połączona z ideologicznym furiactwem. Trzeba to widzieć jasno i nie ulegać naiwności.

Dlatego przemoc wobec krytyków będzie narastała.

Tak, będą postępowali bardzo bezwzględnie i brutalnie.



Przyszłość Morawieckiego

Fot. M. Czutko

Najbliższe miesiące nowego premiera, przynajmniej w Polsce, zapowiadają się znacznie spokojniej, niż mogło się wydawać



STANISŁAW JANECKI

Choć Mateusz Morawiecki przez dwa lata był wicepremierem, nie uprawiał klasycznej polityki. Zaczął się nią zajmować, a właściwie polityka zajęła się nim, gdy zastąpił Beatę Szydło na stanowisku szefa rządu. I od razu bardzo mocnym akcentem, czyli posiedzeniem Rady Europejskiej oraz pierwszymi decyzjami kadrowymi. I posiedzenie Rady pokazało, że premier Morawiecki klasycznej polityki wcześniej nie uprawiał. Wyjechał z Brukseli przed końcem szczytu, gdy sprawy techniczne zostały już rozstrzygnięte, a pozostało tylko złożenie podpisów pod dokumentami, prowadzenie towarzyskich rozmów z przywódcami innych państw, pozowanie do wspólnego zdjęcia oraz kokietowanie dziennikarzy. Premier Morawiecki zachował się jak klasyczny prezes korporacji, który po ustaleniach technicznych uważa problem za rozwiązany. I od tego momentu zaczyna myśleć o kolejnym zadaniu, znowu przede wszystkim w technicznych kategoriach. Tymczasem w polityce, szczególnie tej europejskiej, większość czasu jest zużywana na to, co w korporacji jest stratą tego czasu, a czego efektów nigdy bezpośrednio nie widać albo bardzo rzadko. Co oznacza, że już podczas pierwszej wizyty w Brukseli Mateusz Morawiecki odczuł, iż kierowanie rządem i występowanie w roli premiera jest jednak czymś specyficznym. Wejście Morawieckiego w wielką politykę było więc zderzeniem z nią.

Zderzeniem z polityką, tym razem na krajowym gruncie, było też powołanie najbliższych współpracowników: szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów (Michał Dworczyk), szefa gabinetu politycznego (Marek Suski) oraz rzecznika rządu (Joanna Kopcińska). Dlatego te trzy stanowiska objęły osoby bardzo mocno kojarzone z Prawem i Sprawiedliwością, a nie z samym premierem, że Morawiecki nie miał wokół siebie klasycznych polityków. Z perspektywy PiS i prezesa Jarosława Kaczyńskiego, ale też samego premiera, te nominacje były więc pomocą w politycznym urządzeniu zaplecza szefa rządu, skoro on sam polityków w swojej rezerwie kadrowej nie posiadał. To znaczy na kilku mógłby na pewno liczyć, np. na wiceministra cyfryzacji i wiceprezesa Porozumienia Marka Zagórskiego czy ministra rolnictwa w rządzie Jerzego Buzka i byłego prezesa Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego Artura Balazsa, ale nie uzyskał na to zgody ścisłego kierownictwa PiS.

To pokazuje, na czym nowy premier stoi na starcie. Nie ma własnych kadr politycznych, gdyż dotychczas potrzebne my były tylko zespoły (i ich liderzy) do realizacji kolejnych, konkretnych zadań. Tak właśnie działa się w korporacji. Na poziomie premiera, w przeciwieństwie nawet do ważnego stanowiska ministra rozwoju i finansów, zadania są ważne, ale pierwszoplanowa jest czysta polityka. Moi rozmówcy, zarówno z PiS, jak i z otoczenia Mateusza Morawieckiego, nie mają wątpliwości, że nowy premier dość szybko sobie polityczne zaplecze zbuduje. Ale szacują, że potrwa to około pół roku. Dlatego nominacje dla Dworczyka, Suskiego i Kopcińskiej nie są dla nich żadnym zaskoczeniem, lecz potrzebą chwili.

LEKCJE MORAWIECKIEGO

Pierwsza lekcja Mateusza Morawieckiego wyniesiona z polityki na poziomie premiera jest taka, że w instytucjach Unii Europejskiej trzeba po prostu wysiedzieć czy wystać swoje, żeby sprostać oczekiwaniom innych przywódców i zadośćuczynić panującej etykiecie. Wyjazdu Morawieckiego przed końcem szczytu nie odczytano w Brukseli jako demonstracji nowego polskiego premiera czy lekceważenia z jego strony, lecz jako niestandardowe posunięcie debiutanta. Nie ma jednak co liczyć na to, że eurokraci dostosują się do zadaniowego stylu Morawieckiego, gdyż oni tego stylu w większości nie znają i nie rozumieją. Celebracja to jest to, co w Brukseli i Strasburgu dominuje. Ale pierwszy szczyt Rady Europejskiej pokazał innym przywódcom oraz szefom unijnych instytucji, że nowy polski premier jest człowiekiem konkretnym, który może celebrację rozumieć i zaakceptować,



Z głębokim żalem żegnamy

PROF. HENRYKA CIOCHA

przewodniczącego Rady Naukowej
Spółdzielczego Instytutu Naukowego,
Senatora VIII kadencji
i Sędziego Trybunału Konstytucyjnego.

Profesor był wybitnym prawnikiem,
adwokatem, był też wielkim człowiekiem
i serdecznym przyjacielem.
Będzie nam Go bardzo brakowało.

Rodzinie i Najbliższym
wyrazy szczerego współczucia składają

Rada Nadzorcza, Zarząd i pracownicy
Krajowej Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo-Kredytowej
oraz Zarząd i Pracownicy
Spółdzielczego Instytutu Naukowego w Sopocie

46/1217/F

eprasa.pl 150ab1bc81

ale nie uważa jej za podstawową zasadę działania. Ci ludzie dowiedzieli się więc, że „wciskanie kitu" nie będzie z polskim szefem rządu łatwe. Oczywiście będą próbowali Morawieckiego „europeizować" na własną modłę, a on zapewne też wykona jakiś gest, ale jego odrębność będzie widoczna. I może być korzystna zarówno dla Polski, jak i dla samego premiera, głównie z powodu jego sprawności negocjacyjnej oraz stosowania języka konkretów.

Pozycja Morawieckiego będzie jednak zależała przede wszystkim od nasilenia wojny z Polską na poziomie unijnych instytucji. Jeśli ta wojna nie byłaby zbyt gorąca, znaczenie polskiego premiera by rosło. Zresztą jego nominacja miała być sposobem na ochłodzenie tej wojny, choć najnowsze decyzje Komisji Europejskiej o wszczęciu wobec Polski procedury związanej z artykułem 7. traktatu europejskiego akurat temperaturę konfliktu podnoszą. Jednak przynajmniej do lutego 2018 r. będzie to zimna wojna, dająca premierowi czas na zakulisowe zabiegi.

Na poziomie krajowym pierwsze wnioski z urzędowania Morawieckiego jako premiera są takie, że chce on i musi współpracować z PiS, skoro nie ma własnego politycznego zaplecza. Nawet najbliżsi współpracownicy Morawieckiego jako wicepremiera nie znają się na klasycznej polityce i raczej nie zamierzają w nią wchodzić. A ktoś politykę musi dla premiera i z nim robić. Oznacza to współpracę i konsultowanie zmian w rządzie, nawet gdyby styczniowa rekonstrukcja była głęboka. Dla wspólnego dobra. Oczywiście zarówno politycy PiS, jak i współpracownicy Morawieckiego są przekonani, że w ciągu około pół roku zbuduje on jakiś własny zespół polityczny, ale inaczej postrzegają jego funkcjonowanie. Ci z „zakonu" PiS jako tworzenie czegoś równoległego do obecnych kadr partyjnych, co w przyszłości może doprowadzić do jakiejś formy konfrontacji. Ci z otoczenia premiera jako sposób na wzmocnienie pozycji Morawieckiego w partii.

Obecne słabe zakotwiczenie premiera w PiS jest problemem, co było bardzo widoczne podczas posiedzenia klubu parlamentarnego po decyzji komitetu politycznego o zamianie Szydło na Morawieckiego. Najkrócej – entuzjazmu z powodu decyzji komitetu politycznego nie było. Sam Jarosław Kaczyński zdaje się nie widzieć problemu w słabym umocowaniu premiera w partii, podobnie jak w tym, że z czasem jego wpływy znacząco urosną. Część polityków PiS obawia się jednak przejęcia partii przez Morawieckiego i jego ludzi, i mają z tym problem. Osoby z otoczenia premiera są z kolei przekonane, że jeśli Morawiecki ma jakiś cel strategiczny, to prędzej niż później go osiąga. I to mimo że nie ma politycznego doświadczenia. Ale ma duże doświadczenie w sprawnym zarządzaniu i kooptowaniu ludzi do konkretnych zadań.

PREMIER NA KOLEJNĄ KADENCJĘ?

Dla obozu dobrej zmiany objęcie funkcji premiera przez Morawieckiego oznacza także poszerzanie poparcia w centrum, a nawet po stronie liberalnej. Nie na zasadzie przekonania się tych ludzi do PiS, lecz swego rodzaju kontraktu z samym Morawieckim (niepisanego kontraktu). Części twardego elektoratu PiS nie musi się to podobać i zapewne nie będzie, lecz nie oznacza to ryzyka odwrócenia się od partii Kaczyńskiego. Dla wyborców dotychczas odległych od PiS, ale także dla licznych przedsiębiorców, liczyć się będą siła przyciągania i możliwości obozu władzy kierowanego przez „technokratę", a nie ideologia. I choć ma to wymiar koniunkturalny czy oportunistyczny, może zapewnić dobrej zmianie bardzo korzystny wynik wyborczy. Nie będzie to klasyczna partia władzy, ale obóz władzy o dużym potencjale przyciągania i kooptowania. Jeśli ten pomysł przyniósłby efekty już podczas wyborów samorządowych jesienią 2018 r., wzmacniałoby to samego Morawieckiego i stwarzało perspektywy dla niego jako premiera także po wygranych wyborach parlamentarnych w 2019 r.

Wszystko wskazuje na to, że pierwsze półrocze rządu Mateusza Morawieckiego przebiegnie pod znakiem w miarę harmonijnej współpracy PiS z nowym premierem, także uwzględniając głęboką rekonstrukcję jego gabinetu, gdyż nie dokona się ona na zasadzie zaskakiwania kogokolwiek czy forsowania ludzi nie do przełknięcia dla kierownictwa partii rządzącej. Co będzie po stworzeniu przez premiera własnego, ścisłego zaplecza politycznego, to już inna sprawa, ale i wtedy nie musi dochodzić do konfliktów.

Tym bardziej jeśli rząd zacznie konsumować kolejne sukcesy, np. wynikające z radykalnej poprawy działania programu Mieszkanie+. Z moich informacji wynika, że program ten będzie szybko istotnie zmodyfikowany, gdyż sam Morawiecki w obecnym jego kształcie widzi ograniczenia, uniemożliwiające odniesienie spektakularnego sukcesu. Szybko nie będzie widać efektów w ochronie zdrowia, ale i tam szef rządu chce przyspieszenia, a przede wszystkim znaczącego zwiększenia finansowania – o prawie 550 dodatkowych miliardów złotych w perspektywie 10 lat. Jeśli powiązać to z zastosowaniem w ochronie zdrowia metod przetestowanych podczas uszczelniania systemu podatkowego, oznacza to efektywne wykorzystanie kolejnych dziesiątków miliardów złotych.

A sukces w ochronie zdrowia i mieszkalnictwie ogromnie wzmocniłby premiera nie tylko w relacjach z PiS, lecz też w elektoracie partii oraz w społeczeństwie. Pierwsze półrocze rządów Morawieckiego będzie też przebiegać pod znakiem dobrej współpracy premiera z prezydentem, co również wzmocni nowego premiera i uspokoi nastroje w elektoracie PiS, wzburzone po wetach głowy państwa w lipcu 2017 r.

Oczywiście istnieją zagrożenia dla spokojnych rządów Morawieckiego. Przede wszystkim te płynące z unijnych instytucji, gdzie jego filozofia władzy nie musi być zaakceptowana, a on sam może być traktowany tylko jako „delegat" Kaczyńskiego, o co przecież dbają donosiciele z Polski. Problemem dla Morawieckiego może też być ocena budowanego przez niego zaplecza politycznego, przez część PiS już teraz uznawanego za zagrożenie, za narzędzie przejmowania kontroli nad partią. Nawet tworzenie zaplecza eksperckiego premiera może być uznane za takie zagrożenie, szczególnie gdyby na czele zespołu doradców stanął prezes PKO BP Zbigniew Jagiełło, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Morawieckiego. To jednak perspektywa dłuższa niż najbliższe miesiące, a te, przynajmniej w Polsce, zapowiadają się znacznie bardziej spokojne i harmonijne, niż mogło się wydawać jeszcze kilka tygodni temu.

eprasa.pl 150ab1bc81

Rekonstrukcja po polsku

Odmawiając udziału w zmienianych przez PiS instytucjach, opozycja radykalizuje partię rządzącą



PIOTR SKWIECIŃSKI

Ostatnio często, gdy myślę o polskiej polityce, przychodzi mi do głowy termin „Rekonstrukcja". Ale nie idzie mi o odbywającą się spazmatycznie rekonstrukcję obecnego rządu, tylko o zupełnie inną Rekonstrukcję. Tę pisaną wielką literą. Rekonstrukcją nazywano pewien okres historii amerykańskiego Południa – lata bezpośrednio po klęsce Konfederacji.

Pewne aspekty tego czasu przypominają mi to, co obecnie dzieje się w naszym kraju. W czasie Rekonstrukcji bowiem władza zwycięskiej Północy nad Południem polegała – czynię tu oczywiście monstrualne skróty – na, ostrzejszym lub łagodniejszym, zwalczaniu południowych elit. W oparciu przede wszystkim o warstwę do tej pory eksploatowaną przez te elity, a na skutek przegranego przez nie konfliktu wyzwoloną przez zwycięską Unię, czyli czarnych niewolników.

Napisałem „zwalczaniu", ale były tu momenty różne, w tym takie, gdy w Waszyngtonie brali górę umiarkowani. Nawet wtedy jednak południowe elity trwały w swym oporze i odmowie uznania nowej rzeczywistości, choćby w złagodzonej postaci. Elity te uważały się bowiem za naturalnych panów stanów, które niedawno próbowały dokonać secesji, a za jedyny stan naturalny – swoją w nich nieskrępowaną dominację.

Brzmi znajomo. Ale dalej zaczynają się różnice. Bo południowe elity w swoim bezkompromisowym oporze opierały się na czymś więcej niż tylko głębokim przekonaniu o własnej wyższości. Wiedziały też, że przecież kiedyś wszystkim białym południowcom zostanie przywrócone prawo głosowania i bycia wybieranym (zwycięzcy w różnym zakresie ograniczali lub wręcz odbierali pokonanym te prawa), a wtedy już będzie prosto zrobić tak, „żeby było jak kiedyś". I w naturalny sposób zostanie przywrócony naturalny stan, czyli ich panowanie. Elitom III RP zaś czynnych i biernych praw wyborczych nikt nie przywróci, bo nikt ich im nie odebrał. Przekonanie, że jak po zimie przychodzi wiosna, tak po pisowskiej nocy musi przyjść szybki przełom, nie jest więc w ich wypadku oparte na niczym racjonalnym.

A jednak w to wierzą. I z tej wiary wyprowadzają swoją politykę.

NIEZMIENNE LARUM

Polskiej liberalnej opozycji nie sposób zarzucić jednego – niekonsekwencji. Bez cienia ryzyka można przewidzieć jej reakcje na kolejne posunięcia władzy. Zawsze będzie to odmowa uznania, że jakakolwiek proponowana przez rządzących zmiana jest konieczna, a konkretny przedstawiany przez nich projekt ma jakiekolwiek zalety. Co więcej – w optyce opozycji ma on zawsze same wady. Z najważniejszą na czele – zawsze jest elementem spisku przeciw demokracji, zawsze zmierza do jej likwidacji i zawsze zawiera diaboliczne zapisy, do tej likwidacji skrycie prowadzące.

I w części przypadków nawet można się zgodzić, że kontestowane przez opozycję zapisy projektów różnych ustaw bywają nie tyle demoniczne, ile mogą wzbudzać wątpliwości. Bo w jakiejś perspektywie czasowej, przy założeniu realizacji pewnego wariantu rozwoju sytuacji, mogłyby zagrozić zwichnięciem politycznej równowagi, aż do wyposażenia rządu w ryzykowną przewagę nad innymi podmiotami życia publicznego. Tylko że, kiedy rządzący (a zdarza im się to dość często) wycofują się z tych elementów swoich propozycji, które dotąd według opozycji stanowiły główne zło i zagrożenie dla wolności, opozycja odnotowuje to jedynie en passant. I nie tylko formalnie nie zmienia stosunku do pozbawionych już tego, co do wczoraj uznawane było za ich podstawowe antydemokratyczne ostrze, ustaw. To można by jeszcze zrozumieć, opozycja jest opozycją, trudno wymagać, żeby głosowała za przedłożeniami rządowymi.

Trudniej zaakceptować coś innego: oto natychmiast okazuje się, że usunięcie przez sam PiS zapisów, dotąd w narracji opozycji upostaciowujących nadciągającą dyktaturę, nie zmieniło w ogóle nic w stopniu emocjonalności tejże narracji. Okazuje się nagle, że równie zatruta, równie zgubna jest treść zapisów innych, dotąd uznawanych za mało ważne. I jak grano larum dla demokracji, tak gra się je dalej. Z takim samym zapałem.

eprasa.pl 150ab1bc81

A kiedy któremuś z liderów opozycji zdarzy się z jakichś powodów wysłać sygnał mogący wskazywać, że widzi przestrzeń dla jakiegoś dogadania się z władzą, bodaj w jakimś konkretnym, ograniczonym zakresie, jest natychmiast przywoływany do porządku. Przez własną partię. Przez partię konkurencyjną. I przez intelektualno-medialne zaplecze opozycji.

To wszystko można by uznać za, po prostu, mało poważny sztafaż. Za zwykły element politycznego cyrku. Niestety konsekwencja opozycji sięga też spraw naprawdę systemowych.

REAKCJA NA BEZSILNOŚĆ

Co objawia się przyjęciem decyzji, że opozycja, nawet jeśli ma stworzone takie możliwości, ma konsekwentnie odmawiać wejścia w skład rozmaitych instytucji, które PiS zmienia – zdaniem opozycji – łamiąc konstytucję. Już wiadomo, że liberałowie nie skorzystają z możliwości wskazania części kandydatów do KRS. A mówi się też o zbojkotowaniu przyszłej Państwowej Komisji Wyborczej (to, że zmianom dotyczącym KRS można przynajmniej zarzucić niezgodność z prawem, natomiast zmianom w PKW – nie, to dla bojkotujących furda, to nieistotny szczegół, jak mawiał jeden z przyjaciół Nikodema Dyzmy).

Rozumiem psychologiczne powody takich decyzji; to jest w części reakcja na bezsilność. W wypadku jednych chodzi bardziej o bezsilność wobec samego faktu, że oto „przyrodzeni panowie III RP" zostali, wbrew samej Naturze, która jasno przecież ustanowiła ich wyższość wobec całej niezaliczającej się do elit hołoty, odsunięci od władzy. W wypadku innych idzie bardziej o bezsilność wobec łamania konstytucji, bo opozycjoniści szczerze uważają (w niektórych przypadkach nie bez podstaw), że została ona złamana. Często mamy do czynienia z mieszaniną obu tych motywacji. Jednak niezależnie od wszystkich przyczyn zdecydowania się na tę linię działania – uważam ją za szkodliwą. I dla Polski, i – w dłuższej perspektywie – samej opozycji.

Dla opozycji dlatego, że – inaczej niż w wypadku elit amerykańskiego Południa, o których przypadku pisałem wyżej – nie ma ona realnych podstaw do uznawania, że to, czego doświadczyła, jest spowodowanym przez jakiś czynnik zewnętrzny epizodem, który da się szybko i łatwo zakończyć, by po prostu restytuować istniejący przed przełomem dobry (zdaniem tych, którzy na tym przełomie stracili) ład. W Polsce jest inaczej. I nawet jeśliby teoretycznie uznać, że to naprawdę po prostu źli ludzie podburzyli sfrustrowanych nieudaczników (a tak zwycięstwo PiS wciąż postrzega zastanawiająco duża część beneficjentów III RP), to na czym opierać przeświadczenie, iż ten zły czar niedługo pryśnie?

Jeśli więc opozycja wierzy w taki obraz rzeczywistości, to sama się zakłamuje. A to zawsze zasadniczo utrudnia wyjście z niekorzystnej dla samooszukującego się sytuacji.

Jest jednak też punkt drugi. Bojkotując zreformowane według projektów PiS instytucje (tu warto przypomnieć, że w czasie obu kadencji PO Prawo i Sprawiedliwość, choć stosowało radykalną retorykę, takich bojkotów nie przeprowadzało, kierując się zdroworozsądkową zasadą, że nawet jeśli nie da się przejść przez drzwi, to dobrze chociaż włożyć


Fot. Andrzej Wiktor

w nie nogę), opozycja sama pozbawia się wpływu na ich prace i rezultaty tych prac.

Ten argument spotyka się zwykle z ripostą, że to będzie bez znaczenia, bo przecież i tak ludzie w ten czy inny sposób bliscy partii rządzącej będą stanowili w tych ciałach większość, więc ewentualny udział w nich osób o innej wrażliwości i innych politycznych sympatiach byłby co najwyżej kwiatkiem do kożucha. To argument z kilku powodów nietrafny.

SAMOSPRAWDZAJĄCA SIĘ PROGNOZA

Po pierwsze, w tego rodzaju ciałach nie zawsze i nie wszystko opiera się na przegłosowywaniu drugiej strony. Im dłużej różni ludzie koegzystują – i wspólnie pracują, a to zawsze zbliża – w ramach takich instytucji, tym częściej, również ze względów czysto psychologicznych, miewają tendencję do zgody. Do nieantagonizowania się wzajemnie bez koniecznej potrzeby. Efektem jest narastająca skłonność do ucierania stanowisk. Tym bardziej że często członkowie takich ciał są po powołaniu nieodwoływalni. Ta ostatnia okoliczność sama w sobie nie jest gwarancją ich niezależności od podmiotów, które ich powołały, ale do pewnego stopnia uprawdopodabnia, że mogą z biegiem czasu nabierać skłonności do tej niezależności.

Po drugie, i może jeszcze ważniejsze, ludzie PiS oraz zbliżeni do tej partii są różni. I można znaleźć wśród nich w naturalny sposób skłonnych do radykalizmu oraz do zajmowania wobec przeciwników postawy ostro konfrontacyjnej, jak i takich, których wrażliwość i poglądy skłaniają do zajmowania postawy bardziej umiarkowanej. Bardziej negocjacyjnej.

Otóż politycy opozycji (i utwierdzający ich drogą histerycznych kampanii w takim postępowaniu intelektualiści z jej za-

eprasa.pl 150ab1bc81



plecza), odmawiając udziału w zreformowanych instytucjach, nieświadomie przyczyniają się do utrwalania postaw drugiego rodzaju, a przygasania tych pierwszych. I to jest naturalne.

Bo jeśli reakcja na jakiekolwiek działania rządzącego obozu jest zawsze taka sama, jeśli zawsze, cokolwiek zrobimy i jakkolwiek daleko byśmy się posunęli, zostaniemy porównani do Stalina i obryzgani nienawiścią, to pojawia się naturalna skłonność do reakcji pt. „skoro to i tak za te same pieniądze... skoro i tak w ten sposób nic się nie uzyskuje... to po co się narażać jeszcze wewnątrz własnego obozu, postulując rozwiązania kompromisowe? Przecież nawet gdyby udało się nam je przeforsować, to efekt w sensie przyjęcia zmiany przez drugą stronę będzie ten sam – totalne odrzucenie i wrogość, wszyscy u nas będą wtedy pytać, po co w takim razie były te ustępstwa, zresztą może rzeczywiście po co one w tej sytuacji, więc niby dlaczego mamy się narażać na opinię konformistycznych aspirantów do elit III RP i pogarszać własną sytuację w ramach własnej formacji...?".

A nosicieli postaw radykalnych taka polityka opozycji i takie jej reakcje utwierdzają oczywiście w przekonaniu o własnej słuszności.

I w efekcie powstaje samosprawdzająca się prognoza.

BOJKOT TO ESKALACJA

A taka perspektywa niepokoi. I jeśli chodzi o KRS, i – może jeszcze bardziej – PKW.

Bo ewentualne zbojkotowanie ciała stojącego na straży procesu wyborczego może być interpretowane jako przygotowanie się na ewentualność, kiedy z przyczyn wyłącznie politycznych, bez przekonujących argumentów, opozycja będzie chciała zakwestionować prawomocność tego procesu. Aż do cynicznego ogłoszenia przeprowadzonych uczciwie wyborów jako sfałszowanych włącznie.

Trudno wyobrazić sobie scenariusz gorszy dla Polski. I trudno wyobrazić sobie następstwa takiego kroku.

Również dlatego, że do PiS przecież nie należą same anioły. Politycy tej partii nie są przecież z definicji impregnowani na złe skłonności, a również tych, którzy takowych nie miewają, może porwać logika totalnej konfrontacji.

Ależ i tak o wszystkim zdecyduje Kaczyński, więc te wszystkie wywody są bez znaczenia – odpowiedzą mi w tym momencie zarówno ci, którzy wierzą w świętość prezesa PiS oraz każdorazową optymalność jego decyzji, jak i ci, którzy go diabolizują. Ani jedni, ani drudzy nie mają racji. Bo niezależnie od tego, czy Naczelnik jest szatanem, czy archaniołem, postawy zajmowane przez otoczenie mają jednak wpływ na jego decyzje.

Ale przede wszystkim dlatego, że mówimy tu o rzeczywistości nie obecnej, tylko tej z 2019 r. (skład i sposób wyłaniania PKW mają wprawdzie być zmienione dopiero po wyborach parlamentarnych, ale nie jest nieprawdopodobna wcześniejsza rezygnacja jej członków na tle oceny tych zmian w kodeksie wyborczym, które mają się stać efektywne już obecnie). A jaką rolę będzie wtedy odgrywał Kaczyński, tego w świetle ostatnich wydarzeń (nominacja Morawieckiego i niemilknące interpretacje, w myśl których miała ona również kontekst przymiarek do następstwa) nikt nie jest w stanie powiedzieć na poważnie. Podobnie jak nikt nie jest w stanie powiedzieć, kto wtedy w obozie rządzącym będzie grał pierwsze skrzypce. Spadkobiercy zaś Piłsudskiego, przypomnijmy, nie mieli jego autorytetu i próbowali nadrabiać to ostrością.

To nie najmniej ważna spośród wielu przyczyn, dla których warto się powstrzymywać przed totalną eskalacją.

eprasa.pl 150ab1bc81



Fot. Mat. prasowe

Morawiecki pokazał inną, społeczną twarz bankowości

Na pewno ważne jest, żeby przyszli ministrowie finansów i rozwoju dobrze z sobą współpracowali. Nową jakością było to, że Mateusz Morawiecki był najmniej technokratyczny ze wszystkich ministrów finansów od 27 lat. Nie patrzył tylko przez pryzmat finansów, lecz z perspektywy rozwojowej – mówi ***Paweł Borys***, prezes Polskiego Funduszu Rozwoju, w rozmowie z Edytą Hołdyńską

Zastąpi pan w styczniu Mateusza Morawieckiego na stanowisku ministra finansów?

Paweł Borys: Nie ma takiego tematu. Nie byłoby zresztą łatwo zastąpić pana premiera Mateusza Morawieckiego, który łączył de facto dwie funkcje w kierownictwie Ministerstwa Rozwoju i Ministerstwa Finansów oraz koordynował prace Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów. Jeżeli

eprasa.pl 150ab1bc81

chodzi o moją rolę, to ja się koncentruję na Polskim Funduszu Rozwoju.

A były rozmowy na temat Ministerstwa Rozwoju?

Nie. Konsekwentnie wspieram plan Morawieckiego jako prezes PFR i bardzo chętnie będę dalej to robił, ponieważ uważam, że to ważny projekt. Grupa PFR zapewnia obecnie polskim przedsiębiorcom podobne instrumenty finansowe i doradcze, z jakich od lat korzystają ich zachodni konkurenci ze strony instytucji rozwoju w Niemczech, we Francji czy we Włoszech.

A spodziewa się pan, że takie rozmowy odbędą się w najbliższym czasie? W Sejmie aż huczy od spekulacji.

To miłe, że pojawiło się sporo komentarzy doceniających moją pracę. Traktuję to jako motywację do wspierania bardzo dobrej wizji modernizacji i rozwoju Polski, którą przedstawił premier w swoim exposé. Przyznam, że dla mnie to duży zaszczyt pracować w ostatnich dwóch latach z Mateuszem Morawieckim. Uważam, że w tym czasie udało się wdrożyć wiele rzeczy ważnych dla rozwoju sektora przedsiębiorstw w Polsce, w obszarze mieszkalnictwa, innowacyjności czy inwestycji infrastrukturalnych. Jeżeli chodzi natomiast o funkcje, to one zależą od decyzji premiera.

A gdyby padła konkretna propozycja ze strony premiera Morawieckiego, czy zgodziłby się pan objąć stanowisko ministra finansów albo ministra rozwoju?

Naprawdę nie chciałbym spekulować. To są decyzje prezesa Rady Ministrów. Uważam, że ma bardzo dobry plan. Ja koncentruję się na mojej funkcji w PFR.

A jeśli nie pan, to kto powinien zostać ministrem finansów, ministrem rozwoju?

Zarówno w jednym, jak i w drugim resorcie jest mocny zespół. O personaliach swojego następcy premier Mateusz Morawiecki zadecyduje sam. W PFR zależy mi na sprawnej współpracy z tymi ministerstwami, ale też z Ministerstwem Energii czy Infrastruktury, dla których Grupa PFR oferuje również instrumenty finansowe. Na pewno jest ważne, żeby przyszli ministrowie finansów i rozwoju dobrze z sobą współpracowali. Nową jakością było to, że Mateusz Morawiecki był najmniej technokratyczny ze wszystkich ministrów finansów od 27 lat. Patrzył nie tylko przez pryzmat finansów, lecz także z perspektywy rozwojowej.

Pomysłem Mateusza Morawieckiego poza Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju jest Konstytucja dla biznesu przedstawiona niedawno w Rzeszowie na Kongresie 590, choć pomysł powstał już rok temu. Propozycji na poprawę funkcjonowania polskiej gospodarki jest wiele. Ile z nich udało się faktycznie zrealizować?

Wydaje mi się, że jak na dwa lata udało się zrealizować całkiem sporo. Nie jest tak, że pewne rzeczy nie mogły pójść szybciej, na co też wicepremier Morawiecki zwracał już uwagę. Od pomysłu stworzenia Konstytucji dla biznesu do opracowania zmian przez Ministerstwo Rozwoju minęło rzeczywiście sporo czasu, ale jest to pakiet pięciu ważnych ustaw. Wcześniej udało się wdrożyć tzw. pakiet 100 zmian dla firm. To ułatwienia w obowiązkach administracyjnych przedsiębiorców. Udało się przyjąć ustawę o innowacyjności. Duży sukces to oczywiście wyniki budżetu państwa, biorąc pod uwagę, że ponad 40 mld zł przeznaczonych zostało na różnego typu programy społeczne. Prawdopodobnie w tym roku dochody z VAT wzrosną o ok. 30 mld zł. To jest ponad 20 proc. przy wzroście gospodarczym w granicach 6 proc. Pokazuje to jasno, że dobre wyniki budżetowe wynikają z dobrych efektów uszczelnienia systemu podatkowego.

> Jeśli gospodarka działa dobrze, jeśli uda się utrzymać rosnące tempo wzrostu gospodarczego, osiągać dobre wyniki budżetu, to znajdą się środki na reformę ochrony zdrowia, poprawę edukacji i programy społeczne

To nie tylko dobra koniunktura ogólnoświatowa?

Te dane jasno pokazują, że nie. To efekt skutecznej walki z patologiami w sferze wyłudzeń podatków. Trzeba także pamiętać, że dużo projektów jest na etapie procedowania. Na pewno z perspektywy SOR jako premier Mateusz Morawiecki może w tej chwili tylko przyspieszyć realizację swojego planu. To bardzo ważne, aby w najbliższych latach utrzymać wzrost gospodarczy w okolicach 4 proc.

Czy Mateusz Morawiecki w roli premiera realnie pomoże gospodarce? Dotąd i tak miał bardzo istotny na nią wpływ jako wicepremier i szef dwóch resortów.

Oczywiście, bo teraz jest prezesem Rady Ministrów. Ta rola nie sprowadza się jednak tylko do gospodarki. W swoim exposé premier mocno podkreślał znaczenie programów poprawiających jakość życia Polaków, a dotyczących ochrony zdrowia, edukacji, mieszkalnictwa, zdrowego środowiska, przyjaznego zagospodarowania przestrzennego czy lepszej jakości infrastruktury drogowej i kolejowej. To są obszary, w których mamy cały czas relatywnie niskie parametry wskaźników zrównoważonego rozwoju. Są to projekty ważne nie tylko dla obecnego pokolenia, lecz również przyszłego, co jako ojciec trójki dzieci uważam za bardzo ważne. Solidarność międzypokoleniowa jest tak samo ważna jak spójność społeczna w ramach jednego pokolenia.

eprasa.pl 150ab1bc81

Jakim współpracownikiem jest Mateusz Morawiecki?

Bardzo wymagającym. To osoba, która bardzo intensywnie pracuje. Ma jasno określone cele i oczekuje rezultatów. Jasno też stawia zadania, co dla mnie osobiście jest bardzo ważne. Umówiliśmy się na reformę polskich instytucji rozwojowych, które delikatnie mówiąc, nie najlepiej się miały do tej pory. Nie zapewniały takiego wsparcia, jakie mają przedsiębiorcy w innych krajach. Wydaje mi się, że jeśli chodzi o PFR, udało się większość tych elementów, na które się umawialiśmy, wdrożyć. Przedsiębiorcy w tej chwili widzą, że w aspekcie finansowania eksportu, finansowania małych i średnich przedsiębiorstw czy finansowania innowacji działania są realizowane. I zapewniają lepszą podstawę do ekspansji międzynarodowej czy podnoszenia konkurencyjności polskich firm.

Poznali się panowie jeszcze za czasów pracy w bankowości?

Przy okazji potencjalnego przejęcia BZ WBK przez PKO BP. Ja pracowałem w PKO BP, Mateusz Morawiecki w BZ WBK. Nie znaliśmy się blisko. Swego czasu Mateusz Morawiecki ujął mnie tym, że na jednym z paneli dyskusyjnych o roli bankowości w gospodarce, na pytanie, ile banki powinny zarabiać, odpowiedział, że tyle, ile jest akceptowalne społecznie. Pokazał inną, społeczną twarz bankowości. Warto też przypomnieć, że jako prezes BZ WBK obniżył sobie wynagrodzenie podczas kryzysu w 2009 r. Kiedy objął funkcję ministra rozwoju, rozmawialiśmy o bolączkach polskiej gospodarki i potrzebie reformy instytucji rozwojowych. I zaprosił mnie do współpracy.

Zatem ucieszył się pan ze zmiany na stanowisku premiera?

Jestem wdzięczny pani premier Beacie Szydło, że wspierała budowę Grupy PFR w ostatnich dwóch latach. Oczywiście trzymam obecnie mocno kciuki za premiera Mateusza Morawieckiego, przed którym stoi bardzo wiele wyzwań w polityce międzynarodowej i w wymiarze wewnętrznym.

Musi pan walczyć z łatą nierozumiejącego ludzkich problemów bankstera, którą przecież u sporej części elektoratu PiS może mieć zarówno pan, jak i premier?

Jestem przeciwny takiemu stygmatyzowaniu ludzi. Ważniejsze jest to, jakimi wartościami kierujemy się w życiu. Mateusz Morawiecki od dzieciństwa angażował się społecznie na rzecz Polski. Był aktywnym działaczem Solidarności Walczącej. Z domu wyniósł postawę propaństwową. W pewnym momencie trafił do bankowości. Te kilkadziesiąt tysięcy pracowników polskiej bankowości to nie są obywatele jakiejś drugiej kategorii, którzy nie mogą następnie pełnić ważnych funkcji publicznych. Oni wykonują codziennie bardzo odpowiedzialną pracę, a bezpieczny i sprawny system finansowy to krwiobieg gospodarki. I jeżeli są do tego dobrze przygotowani, uczciwi i mają szerokie spojrzenie, mogą się dobrze przysłużyć Polsce. Ja sam przyszedłem do PFR z poczuciem misji.

> Najlepszym programem dla Polaków za granicą jest silna gospodarka i wzrost płac. Niskie płace to był główny czynnik zachęcający ludzi do wyjazdów

Premier Morawiecki sprawdzi się w roli szefa wszystkich resortów?

Wydaje mi się, że ma ku temu wszelkie predyspozycje. Jeśli gospodarka działa dobrze, jeśli uda się utrzymać rosnące tempo wzrostu gospodarczego, osiągać dobre wyniki budżetu, to znajdą się środki na reformę ochrony zdrowia, poprawę edukacji i programy społeczne, które już obecnie kosztują ok. 40 mld zł rocznie. Gdyby nie dobre wyniki gospodarcze, to te programy trudno byłoby sfinansować. Dobrze utrzymana gospodarka daje możliwości działania w innych obszarach.

Również na arenie międzynarodowej?

Na pewno. Premier dużo mówi o tym, że będzie aktywny, jeśli chodzi o działalność na forum międzynarodowym, w tym zwłaszcza w relacjach z Unią Europejską i ze Stanami Zjednoczonymi. Sporym wyzwaniem są przez cały czas negocjacje w sprawie Brexitu. I premier Morawiecki – o ile mi wiadomo, z prezesem Jarosławem Kaczyńskim – już wcześniej był zaangażowany w negocjacje z Wielką Brytanią, dzięki czemu udaje się uzyskiwać dobre warunki, jeśli chodzi o status Polaków na Wyspach. Jako minister finansów był zapraszany na spotkania G20. Jest więc tutaj bardzo dobrze przygotowany.

Czy negocjacje w sprawie Brexitu rzeczywiście są naszymi negocjacjami? Czy powinniśmy jako Polska zabierać głos, czy negocjować jednym głosem z Unią Europejską?

Występujemy jako Unia, ale wypracowując stanowisko Unii, musimy walczyć o rzeczy dla nas istotne. To na pewno status Polaków w Wielkiej Brytanii, ale też kwestie związane z wolnym rynkiem. Przypomnijmy, że Wielka Brytania jest jednym z naszych kluczowych kierunków eksportowych. I ten eksport w ostatnich latach bardzo sprawnie się rozwija. Niedobrze by było, gdyby podczas tych negocjacji pojawiły się jakieś bariery handlowe.

Czy to jest wszystko, co można zrobić dla Polaków? Czy rząd nie mógłby wdrożyć ulg podatkowych lub ułatwień dla tych, którzy wracają, tak jak zrobiła to Irlandia?

Najlepszym programem dla Polaków za granicą jest silna gospodarka i wzrost płac. Niskie płace to był główny czynnik zachęcający ludzi do wyjazdów. Ale niejedyny, bo to była też edukacja. Trzy tygodnie temu miałem w Londynie spotkanie z polskimi studentami uczącymi się w Wielkiej Brytanii, na którym zachęcałem ich do

eprasa.pl 150ab1bc81

powrotu do Polski. Połowa zadeklarowała, że zostaje za granicą. Dobrze by było, żeby wracali wszyscy. Potrzebna jest więc reforma szkolnictwa wyższego. Potrzebne są też ułatwienia przy zakładaniu własnej działalności gospodarczej. To jednak jest już element Konstytucji dla biznesu czy pakietu 100 zmian dla firm.

Poważne wyzwanie, które postawił przed sobą Mateusz Morawiecki w exposé, to także odbudowa polskiego kapitału. Pan realizował je już wcześniej w Polskim Funduszu Rozwoju. Na jakim etapie są te działania?

Mówimy o programie odbudowy kapitału i pracowniczych planach kapitałowych. Program dedykowany jest do ponad 11 mln Polaków. Chodzi o to, by pracodawcy w miejscach pracy zakładali plany pracownicze, w ramach których każdy pracownik mógłby gromadzić kapitał długoterminowo w sposób tani, wygodny i efektywny. Korzystając z zachęt fiskalnych i dopłat ze strony pracodawców. Te projekty ustaw trafiły już na ścieżkę legislacyjną. Miejmy nadzieję, że w pierwszej połowie przyszłego roku uda się te ustawy przyjąć.

Rzeczywiście mamy z tym w Polsce problem. Nasze aktywa są jednymi z najniższych w Unii Europejskiej. W pierwszym kwartale tego roku tzw. stopa oszczędności gospodarstw domowych w Polsce wyniosła... zero. To nie są dobre tendencje. I samą edukacją, i namawianiem do oszczędzania tego nie zmienimy. Musimy wprowadzić takie zmiany systemowe, by Polacy zaczęli gromadzić swój kapitał. Poza tym, że odbudujemy w ten sposób nasze bezpieczeństwo finansowe długoterminowo, ma to wymiar gospodarczy. Te pieniądze wpływają do gospodarki i wzmacniają bazę finansowania przedsiębiorstw. Uniezależniają nas w większym stopniu od kapitału z zagranicy.

Spore kontrowersje budzi już pomysł zniesienia 30-krotności składek ZUS. Powinien być wdrożony?

Kontrowersje są, ale z drugiej strony mamy bardzo regresywny system. Osoby zarabiające powyżej 30-krotności przestają płacić jakiekolwiek składki na ZUS. Dla tych osób jest to negatywne, bo ich emerytury w przyszłości będą niższe. Oznacza to też niższe wpływy do ZUS. Wywołuje to dużą dyskusję. Padła zapowiedź, że projekt będzie odłożony o rok. Zakładam, że będzie czas, żeby się teraz temu ponownie przyjrzeć.

A rzecznik przedsiębiorców? Powołanie takiej funkcji zostało zapowiedziane w Rzeszowie. Kiedy się doczekamy takiej osoby?

To element Konstytucji dla biznesu, którą zajmuje się obecnie Sejm. To dobrze, bo skoro jest rzecznik ubezpieczonych czy praw dziecka, to rzecznik przedsiębiorców też powinien być. Jest równie ważny.

> Polski Fundusz Rozwoju zapewnia polskim przedsiębiorcom podobne instrumenty finansowe i doradcze, z jakich od lat korzystają ich zachodni konkurenci

A kto powinien nim zostać? Przedsiębiorca? Polityk?

Ten, kto dobrze porusza się w problemach pracodawców. Ja wierzę w równowagę pomiędzy stroną pracowników, którą reprezentują związki zawodowe, a przedsiębiorcami, którzy też mają swoich przedstawicieli. Potrzebne są dialog i regulacje, które dobrze służą obu stronom. Rynek pracy będzie jednym z priorytetów polityki gospodarczej w następnych latach. Z jednej strony mamy pozytywne tendencje, szybki wzrost płac i historycznie niskie bezrobocie, ale z drugiej dane Głównego Urzędu Statystycznego mówiące o bardzo wysokiej liczbie wakatów. Kilkudziesięcioprocentowy wzrost nieobsadzonych miejsc pracy. Z perspektywy pracowników to dobrze, ale z perspektywy gospodarki ten problem trzeba szybko rozwiązać.

Wyniki gospodarcze teraz nam sprzyjają, ale czy jesteśmy gotowi na czas, kiedy nadejdzie kryzys? Kiedy dobra koniunktura ogólnoświatowa się skończy i trzeba będzie zacisnąć pasa?

To bardzo ważna kwestia. Silną stroną SOR było to, że wdrożono wiele inicjatyw sprzyjających dobrej koniunkturze w krótkim okresie, ale jest tam też wiele elementów, które budują siłę gospodarki w długim terminie.

Premier Mateusz Morawiecki zaznacza, że jest szansa, iż w tym roku nie wzrośnie dług publiczny. Pewnego rodzaju dyscyplina jest potrzebna. Mamy dobrą koniunkturę, w przyszłym roku też pewnie będziemy ją mieć, ale to się kiedyś skończy. Trzeba o tym pamiętać.

Jak pobudzić inwestycje w kraju? To jeden z tych wskaźników, który wciąż martwi analityków. To również ogromne zadanie, przed którym stanie przyszły minister, ale też pan jako szef PFR. 3,3-procentowy wzrost inwestycji, który odnotowaliśmy w III kwartale tego roku, to nadal nie jest dobry wynik.

To zagadnienie, nad którym zastanawiam się każdego dnia. I nie jest tak źle. Rzeczywiście mieliśmy spadek inwestycji po zakończeniu poprzedniego rozdania środków unijnych. I odpowiadały za to głównie samorządy. W tym roku już widzimy odbicie. Narodowy Bank Polski przedstawił analizę, z której wynika, że jeżeli wyłączymy niższe wydatki w energetyce, to inwestycje w sektorze przedsiębiorstw są już nawet na poziomie ponad 5 proc. Dobrze by było, żeby wzrosły do 10 proc. Jest na to szansa w przyszłym roku. Sprzyjają temu i koniunktura, i dobre nastroje przedsiębiorców.

eprasa.pl 150ab1bc81



Fot. AP Photo/Pavel Golovkin

Szantaż sowieckiego pułkownika

Putin to kłamca, despota Rosji mający na rękach krew obywateli, opozycjonistów, dziennikarzy, byłych kolegów z KGB, ale też cywilów, choćby w Czeczenii. Nie dziwmy się więc temu, co mówi o dochodzeniu ws. katastrofy smoleńskiej. Ma tu sporo do ukrycia. Na wszystko pozwolił mu nasz rząd. Moskwa nie odda szczątków tupolewa – to jasne. Ale kiedyś Putin może się zdziwić, jak dokładnie da się zrekonstruować wrak, nie mając do niego dostępu



MAREK PYZA

Na wszelkie ruchy i wypowiedzi Putina trzeba patrzeć przez pryzmat wszystkich ciemnych kart w jego biografii i aktualnej działalności na Kremlu. Nie wolno zapominać, kim jest, skąd się wywodzi, jak sprawuje władzę, co ma na sumieniu. Ani o tym, że neoimperialna Moskwa nie pogodzi się z utratą Polski ze swojej strefy wpływów. Jak pokazały nasze publikacje sprzed kilku miesięcy (o negocjacjach gazowych i elektroenergetycznych), ten wpływ był mocno obecny jeszcze kilka lat temu, gdy Rosja przy pomocy przychylnych jej wysokich rangą urzędników w Warszawie realizowała kluczowe dla siebie projekty energetyczno-polityczne.

Nie przestała ingerować w sprawy Polski i złowrogo patrzeć w naszym kierunku. Widać to na wielu płaszczyznach. Nie bez przyczyny coroczne raporty Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i analizy ekspertów wskazują na wysoką aktywność rosyjskich służb nad Wisłą. Armia rosyjskich trolli internetowych nie omija naszego państwa. W czasie największych rosyjskich manewrów wojskowych ćwiczone jest konwencjonalne uderzenie na Polskę, a nawet atak jądrowy na Warszawę. Czy w obliczu tych faktów może dziwić rozgrywanie przez Putina polskiej sceny politycznej? Ono jest i będzie obecne tak długo, jak będzie skuteczne. A niestety jest.

KONSEKWENCJE RESETU

Elementem tej geopolitycznej rozgrywki był Smoleńsk. Najpierw poprzez dążenie do rozdzielenia uroczystości rocznicowych w Katyniu i zmarginalizowania znienawidzonego na Kremlu Lecha Kaczyńskiego, a wręcz upokorzenia go. Putin nie był w stanie wybaczyć naszemu prezydentowi: jego suwerennej polityki i budowania bezpieczeństwa Polski na bazie bezpieczeństwa regionu oraz zapewnienia niezależności od Rosji państwom postradzieckim; nie mógł wybaczyć zatrzymania rosyjskich czołgów poprzez wyprawę do Tbilisi w 2008 r. wspólnie z przywódcami innych państw Europy Środkowo-Wschodniej; nie mógł wybaczyć próby niedopuszczenia do niekorzystnego dla Polski przedłużenia kon-

eprasa.pl 150ab1bc81

traktów gazowych; i wreszcie słów wypowiedzianych przez Kaczyńskiego na Westerplatte 1 września 2009 r. – o mordzie katyńskim jako zemście za pokonanie bolszewików w 1920 r. i o odradzaniu się imperializmów. Z dzisiejszej perspektywy doskonale widzimy, jak boleśnie trafne okazały się diagnozy prezydenta z 2008 i 2009 r.

Abstrahując od udziału rosyjskiego czynnika w doprowadzeniu do katastrofy smoleńskiej, trzeba uczciwie powiedzieć, że Putinowi śmierć polskiej elity była bardzo na rękę. Nie tylko dlatego, że zginęli najwyżsi rangą urzędnicy państwowi, sceptyczni – mówiąc delikatnie – wobec udającej demokratyzację Rosji. Dla części tych, którzy ich zastąpili, oraz przedstawicieli ówczesnego rządu w Warszawie ta tragedia stała się podstawą do kłamliwej narracji o resecie i rzekomym pojednaniu z Rosją. W czasie gdy trzeba było bić na alarm, wysoko licytować w rozmowach z Federacją Rosyjską sposób prowadzenia śledztwa i szukać szerokiego wsparcia międzynarodowego, polski rząd zachował się zupełnie odwrotnie.

Donald Tusk w jednej chwili wymazał z pamięci KGB, Bujnaksk–Moskwę–Wołgodońsk, Czeczenię, „Kursk", Gruzję, Litwinienkę, Politkowską i wielu, wielu innych. W obliczu tragicznej śmierci polskiego prezydenta i towarzyszącej mu delegacji Putin jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stał się wrażliwym, godnym zaufania, uczciwym demokratą.

Oddanie badania katastrofy stronie rosyjskiej, milczące odrzucenie wsparcia z Unii Europejskiej i NATO oraz pozostawienie kluczowych dowodów w rękach potencjalnego sprawcy tylko rozochociło Moskwę. Z tygodnia na tydzień ograniczała ona polskie prawa przy badaniu katastrofy, a dyplomacja, premier i prezydent w Warszawie zarówno oficjalnie, jak i w gabinetowych rozmowach wciąż dążyli do utopijnego zbliżenia z Kremlem (doskonale widać to w rządowych dokumentach, które opisaliśmy w 2016 i 2017 r. w artykułach „Na smyczy Putina" i „Kłamca smoleński"). Skutki tego widać do dziś.

AROGANCJA PUTINA

Władimir Putin w czasie swojego dorocznego spektaklu prasowego powiedział polskiemu dziennikarzowi: „Jesteśmy zmęczeni tymi blefami. Mamy po prostu dość tych bzdur. Nie było tam żadnych wybuchów. Udowodnili to eksperci zarówno z polskiej strony, jak i rosyjskiej. Wszystko zostało precyzyjnie zbadane. Do kokpitu wszedł pewien człowiek. Pilot mu powiedział, że lądować się nie da. A ten powiedział, że nie będzie o tym nawet raportował. O kogo chodzi? Pewnie o prezydenta. Powiedział do pilota: »Lądуj«. Więc lądowali". Właściwie każdy element tej wypowiedzi to kłamstwo. Eksperci polscy i rosyjscy bowiem nie ustalili, że nie było wybuchów, bo nawet nie podjęli badań w tym kierunku. Nikt w kokpicie nie mówił o nieraportowaniu informacji od pilotów prezydentowi. I nikt też nie kazał pilotom lądować. Ale kto by się przejmował faktami? Nie o nie tu chodzi.

Putin ciągnął: „Wydaje mi się, że stosunki rosyjsko-polskie są ważniejsze niż po prostu bieżąca wewnętrzna walka polityczna w Polsce pomiędzy różnymi siłami, które wykorzystują jakiś front antyrosyjski [...]. Przewróćcie w końcu tę kartę, dorośnijcie w końcu, osiągnijcie dojrzałość odpowiadającą wymogom dnia dzisiejszego i interesom narodu polskiego".

Gdyby reporter „Faktów" rzeczywiście chciał przycisnąć Putina ws. wraku, zapytałby np., dlaczego rosyjska prokuratura pozoruje śledztwo i nic w nim nie robi, ale jednocześnie jego trwaniem uzasadnia przetrzymywanie szczątków samolotu. Jak to możliwe, że przywódca państwa rosyjskiego z jednej strony pytania o śledztwo zbywa odesłaniem do niezależnej rzekomo prokuratury, z drugiej – składa deklaracje, że dowód w tej sprawie zostanie przekazany Polsce, jeśli ta zakończy swoje postępowanie (Putin i podlegli mu urzędnicy mówili o tym wielokrotnie)? Dlaczego szantażuje w ten sposób Polskę? Czy ma świadomość, że przetrzymywanie cudzej własności powszechnie nazywa się kradzieżą? Co chce ukryć – winę Rosjan? Tak jak niewinni mają pozostać kontrolerzy z Siewiernego – jest oczywiste, że złamali oni procedury 10 kwietnia, ale Rosja nie zezwala na postawienie im zarzutów przez polską prokuraturę.

Dlaczego wrak był najpierw niszczony na miejscu katastrofy, pozwolono przypadkowym osobom rozkraść jego elementy, a później został bezładnie rzucony na płytę lotniska i miesiącami trzymany pod gołym niebem, a wreszcie schowany przed polskimi ekspertami (Prokuratura Krajowa nie może się doprosić o odpowiedź na wniosek o zwrot szczątków maszyny lub dostęp do nich)? O to wszystko mógł zagadnąć dziennikarz TVN. Zamiast tego wybrał miękkie pytanie o wrak i – pozwalając ukierunkować odpowiedź Putina w stronę „teorii spiskowych" – dorzucił kwestię wysuwanych



Z głębokim żalem żegnamy

PROFESORA HENRYKA CIOCHA

Senatora Rzeczypospolitej Polskiej,
sędziego Trybunału Konstytucyjnego,
wybitnego prawnika,
wykładowcę akademickiego,
wielkiego patriotę.

Pogrążonej w żałobie Rodzinie i Najbliższym
składamy wyrazy najgłębszego współczucia

Zarząd i pracownicy SALTUS Ubezpieczenia

25/1117/F

eprasa.pl 150ab1bc81



Wrak Tu-154M wciąż leży na płycie smoleńskiego lotniska. Strona polska nie ma do niego dostępu od 2013 r. Zdj. wykonane przez reporterów „Sieci" z dachu pobliskiego bloku mieszkalnego w marcu 2016 r.

Fot. M. Czutko

przez polskiego ministra obrony oskarżeń wobec Rosji o spowodowanie zamachu. Putin miał więc okazję, by po swojemu zagrzmieć i raz jeszcze objawić impertynencję sowieckiego pułkownika, jaki w nim siedzi od lat.

Rację miał senator John McCain, wspominając o trzech literach – KGB – które zobaczył w oczach Putina. To oczywistość. Była nią też siedem lat temu. Problem w tym, że wtedy na takie oczywistości zamknął oczy polski premier, a za jego rozkazem również polskie służby.

W lutym 2016 r. w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną" Tomasz Arabski stwierdził, że Polska zabiegała o wrak, „do pewnego momentu dość skutecznie". Cóż to znaczy? Że był już ładowany na ciężarówki? To nieporozumienie. W tej samej rozmowie były szef KPRM przyznał, że rząd przestał się interesować sprowadzeniem szczątków samolotu, „kiedy kwestia wraku stała się dominująca w dzielącej Polskę polityce wewnętrznej". I tu Arabski jest bliżej prawdy. Bo tę kwestię rząd Tuska rzeczywiście odpuścił, po raz kolejny ulegając Putinowi.

Czy pozostałości Tu-154M można było odzyskać? W kwietniu 2010 r. – tak. Im było później, stawało się to coraz trudniejsze. Zwłaszcza po lipcu 2013 r., gdy pobrano próbki z foteli tupolewa, które w późniejszych badaniach w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym Policji najprawdopodobniej wskazały obecność materiałów wybuchowych.

RÓBMY SWOJE

Słowa Putina o wykorzystywaniu 10 kwietnia w „bieżącej wewnętrznej walce politycznej w Polsce", o konieczności „dorośnięcia" są jakby żywcem wyjęte z ust przedstawicieli totalnej opozycji. Partyjny kolega Grzegorza Dolniaka, Krystyny Bochenek, Arkadiusza Rybickiego i Sebastiana Karpiniuka – Radosław Sikorski wielokrotnie powtarzał tego typu rzeczy. Podobnie dzisiejsi parlamentarzyści PO. Ich recepta jest prosta: zgodzić się z rosyjską wersją o winie pilotów i zapomnieć o sprawie.

Na szczęście innego zdania są obecne polskie władze, dla których wyjaśnienie okoliczności katastrofy to kwestia honoru i powinności państwa polskiego. Dlatego Prokuratura Krajowa we współpracy z najlepszymi ośrodkami kryminalistycznymi w Europie prowadzi badania laboratoryjne próbek pobranych w Smoleńsku i z ciał ofiar. Dlatego do prac przy badaniach poekshumacyjnych zaproszono wybitnych medyków sądowych z zagranicznych uczelni. Dlatego powstaje zespół międzynarodowych ekspertów, którzy sporządzą interdyscyplinarną opinię o przyczynach tragedii.

Polscy śledczy pracują w ciszy i bez pośpiechu. Po pomoc sięgają, gdzie tylko się da. To zupełnie odmienny standard od prezentowanego przez wojskową prokuraturę i urzędników Donalda Tuska. Pracuje też podkomisja przy MON. Jeszcze ciszej.

Ale pewnego dnia o tych pracach zrobi się głośno. A Władimir Putin może być bardzo zaskoczony tym, jak dokładnie da się zrekonstruować wrak, nie mając do niego dostępu.

Do tego czasu jeszcze wielokrotnie spróbuje upokorzyć Polskę. Rozparty na krześle będzie przypominać swoje ultimatum: oddamy wam wrak i czarne skrzynki, jeśli zakończycie swoje śledztwo. I coraz bardziej aktualna będzie riposta polskiego ministra spraw zagranicznych Witolda Waszczykowskiego, który przed świętami powiedział w telewizyjnej Jedynce: „Odpowiadamy Rosji uczciwie: im dłużej przetrzymujecie wrak, im dłużej nie chcecie podjąć współpracy w śledztwie, aby wyjaśnić przyczyny katastrofy, tym bardziej dajecie powody, aby podejrzewać, że macie coś na sumieniu, że ta katastrofa wyglądała daleko, daleko inaczej, niż to pokazano w raporcie MAK, i ukrywacie realne, rzeczywiste powody tej katastrofy".

eprasa.pl 150ab1bc81



Wyzwania i obowiązki

Z Waldemarem Dąbrowskim, dyrektorem Teatru Wielkiego-Opery Narodowej, o upodobaniach muzycznych rodaków, szansach naszych artystów na świecie i uczczeniu 100-lecia odzyskania niepodległości rozmawia Adam Ciesielski

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 150ab1bc81



„Jezioro łabędzie" – Polski Balet Narodowy

Fot. Ewa Krasucka/Teatr Wielki – Opera Narodowa

Czy Polacy lubią operę? Już za czasów Władysława IV w Warszawie działał stały zespół operowy, pierwszy na europejskich dworach królewskich w Europie. Obok Włochów byli w nim polscy muzycy. Opera kwitła w czasach saskich i stanisławowskich, wybitnych twórców i wykonawców mieliśmy w XIX i XX w. A jak jest dziś, w dobie dominacji kultury masowej, przy lawinowych zmianach cywilizacyjnych?

Waldemar Dąbrowski: Miłośników opery jest coraz więcej. Trzeba jednak pamiętać, że w hierarchii potrzeb kulturalnych teatr operowy nie jest u nas uplasowany tak wysoko jak np. we Włoszech, w Austrii, we Francji czy w Niemczech. Daje to wyobrażenie o wyzwaniu, jakie stoi przed zespołem Teatru Wielkiego-Opery Narodowej. Frekwencja łączna w audytorium Moniuszki (1,8 tys. miejsc) i w Sali Młynarskiego (248) wynosi 94 proc. Mamy więc powód do dumy.

Cieszy zwłaszcza wyjątkowo liczna obecność młodych widzów. To wynik konsekwentnie realizowanych działań promocyjnych i edukacyjnych, ale przede wszystkim propozycji artystycznej, która jest atrakcyjna dla różnych kręgów odbiorców. Oczywiście nie bez znaczenia są także kwestie finansowe. Wizyta w operze jest kosztowna – w każdym kraju. My staramy się kształtować ceny tak, by wydatek ten mógł się zmieścić również w mniej zasobnych budżetach domowych.

Zupełnie nowe możliwości dla pozyskania widzów otwierają nowe technologie – w naszym przypadku przede wszystkim możliwość streamingu on-line. Od ponad dwóch lat pokazujemy spektakle na własnej platformie Vod.teatrwielki.pl oraz na współtworzonej ze stowarzyszeniem Opera Europa, Operavision.eu. Za ich pośrednictwem „Straszny dwór" w reżyserii Davida Pountneya obejrzało ponad 180 tys. osób na świecie, włącznie z naukowcami na Spitsbergenie. Mniej popularna „Goplana" Władysława Żeleńskiego także była oglądana pod różnymi szerokościami geograficznymi, znalazła widzów w kilkuset miejscowościach w Polsce – wśród osób, które być może nigdy nie miały szans przyjechać do opery.

Magnesem jest zapewne również renoma jednej z ciekawszych scen europejskich?

Nasze spektakle, tworzone często w koprodukcji ze słynnymi scenami Londynu, Nowego Jorku, Paryża czy Wiednia, są zaliczane do wyróżniających się wydarzeń w skali międzynarodowej. W 2017 r. International Opera Award, nagrodę uważaną za operowego Oscara, w kategorii: dzieło odkryte na nowo otrzymała wspomniana „Goplana" w reżyserii Janusza Wiśniewskiego. Dodam, że w roku 2016 jury International Opera Awards doceniło twórczość Mariusza Trelińskiego, którego nominowano w kategorii: najlepszy reżyser, Teatr Wielki-Opera Narodowa otrzymał zaś nominację w kategorii: najlepszy teatr operowy.

A jaka była pana droga do opery? Z początków pracy dziennikarskiej pamiętam pana jako pierwszego szefa studenckiego klubu Riviera-Remont znanego z imprez jazzowych, występów awangardowych teatrów amerykańskich czy spotkań z Antonionim, Cortázarem, Wajdą.

Droga była długa. Od lat 70. byłem menedżerem różnych instytucji kulturalnych. Po Rivierze wraz z Jerzym Grzegorzewskim prowadziłem Centrum Sztuki Studio. Obok teatru, galerii sztuki i impresariatu powołaliśmy tam z Franciszkiem Wybrańczykiem orkiestrę Sinfonia Varsovia przez lata prowadzoną przez Jehudiego Menuhina. W 1990 r. zostałem wiceministrem kultury i zarządzałem Komitetem Kinematografii. Teatr Wielki znałem dobrze – jako widz. Za żart uznałem wróżbę Aleksandra Bardiniego, który w końcu lat 80. zapowiedział mi: „Jeszcze będzie pan dyrektorem opery".

Przełomem było spotkanie z reżyserem Mariuszem Trelińskim, który wraz ze scenografem Borisem Kudličką przedstawił mi magnetyzujący pomysł inscenizacji „Madame Butterfly" Pucciniego. Dostrzegłem w niej śmiałą wizję teatru muzycznego zdolnego nowocześnie odczytywać klasykę gatunku, w tym kanon polskich dzieł narodowych, lecz i ot-

eprasa.pl 150ab1bc81



„Na pięciolinii", chor. Jacek Tyski, na zdjęciu: Yuka Ebihara, Rinaldo Venuti oraz tancerze Polskiego Baletu Narodowego

Fot. Ewa Krasucka/Teatr Wielki – Opera Narodowa

wartego na repertuar zupełnie nowy. Gdy w 1998 r. obejmowałem dyrekcję Opery Narodowej, miałem skrystalizowaną wizję przemian tej sceny. Właśnie „Butterfly" była pierwszą i bardzo znamienitą premierą, o której mogłem decydować. Zafascynowała Plácido Domingo, który z wielkim sukcesem pokazał ją w prowadzonej przez siebie operze w Waszyngtonie.

Otworzyła się droga do światowej kariery Mariusza Trelińskiego – i otworzył się zupełnie nowy rozdział w Operze Narodowej. Od 2008 r. właśnie z Mariuszem jako szefem artystycznym ponownie prowadzę Teatr Wielki-Operę Narodową. Dyrekcję muzyczną objął w tym sezonie maestro Grzegorz Nowak. Dyrektorem Polskiego Baletu Narodowego od roku 2009 jest Krzysztof Pastor, znakomity choreograf, który konsekwentnie buduje międzynarodową pozycję naszego zespołu.

To moi najbliżsi współpracownicy także na przyszłość, bo przyjąłem propozycję wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego, by kierować reprezentacyjną placówką przez następne pięć sezonów.

Jak wygląda repertuar na 2018 r. – szczególny z uwagi na stulecie niepodległości?

Dwie z siedmiu premier zaplanowanych na sezon 2017/2018 już się odbyły. „Eros i Psyche" w reżyserii Barbary Wysockiej przypomniało popularne przed wojną na scenach europejskich, a potem tylko sporadycznie grywane dzieło Ludomira Różyckiego do libretta Jerzego Żuławskiego. Wieczór „Balety polskie" przywołał utwory Karola Szymanowskiego, Aleksandra Tansmana i Eugeniusza Morawskiego w choreografiach Jacka Przybyłowicza, Jacka Tyskiego i Roberta Bondary.

21 stycznia 2018 r. zobaczymy premierę dramatu muzycznego „Peleas i Melizanda" Claude'a Debussy'ego, zrealizowaną w koprodukcji z Festivalem d'Aix-en-Provence. Reżyseruje Katie Mitchell znana m.in. z głośnych produkcji Royal Opera House w Londynie. 20 kwietnia z kolei premiera „Damy kameliowej" wg Aleksandra Dumasa syna, słynnego baletu Johna Neumeiera z muzyką Chopina. 13 maja po raz pierwszy pokażemy „Ognistego anioła" Sergiusza Prokofiewa pod dyrekcją maestra Kazushiego Ono, w reżyserii Mariusza Trelińskiego ze scenografią Borisa Kudlički. Wreszcie 7 czerwca premiera „Carmen" Georges'a Bizeta w reżyserii Andrzeja Chyry.

Wśród 170 spektakli operowych i baletowych obecnego sezonu jest szczególnie wiele akcentów polskich, eksponowanych z myślą o setnej rocznicy odzyskania niepodległości. Oprócz wspomnianych już „Strasznego dworu", „Goplany", „Erosa i Psyche", „Baletów polskich" to „Cud albo krakowiaki i górale" Jana Stefaniego i Wojciecha Bogusławskiego – produkcja naszej Akademii Operowej.

Tajemnic przyszłego sezonu jeszcze zdradzać nie mogę, ale pojawi się w repertuarze np. „Manru" Ignacego Jana Paderewskiego, wielkiego pianisty, kompozytora, patrioty i polityka, którego wkład w dzieło odzyskania niepodległości i jej zadekretowania w traktacie wersalskim wciąż nie jest dostatecznie doceniany. Twórcy temu chcemy też poświęcić wystawę w Salach Redutowych. Będą ją mogli zwiedzać zarówno uczestnicy koncertu jubileuszowego w listopadzie 2018 r., jak i naszych spektakli, a potem także publiczność Teatru Wielkiego w Poznaniu, z którym wspólnie przygotowujemy inscenizację „Manru".

Wracając do repertuaru Teatru Wielkiego-Opery Narodowej: kształtują go zarówno artyści rodzimi, jak i obcokrajowcy. Wśród realizatorów zagranicznych często pojawiają się znane nazwiska. Dość wymienić choćby właśnie reżyserów: Katie Mitchell, Davida Pountneya, Barrie'ego Kosky'ego, braci Christophera i Davida Aldenów. Rzadko natomiast mamy śpiewaków o światowej renomie...

Angażowanie gwiazd na stałe do spektakli repertuarowych kosztuje krocie, na które naszego teatru nie stać. Dlatego staramy się zapraszać je choćby na „specjalne okazje". Występują u nas jednak regularnie cenieni na najlepszych scenach Mariusz Kwiecień czy Piotr Beczała, a i w kraju mamy stawkę znakomitych wokalistów, nieustępujących światowej czołówce. Gubimy jednak całą masę młodych talentów.

eprasa.pl 150ab1bc81



II Koncert skrzypcowy, chor. Jacek Przybyłowicz, na zdjęciu: tancerze Polskiego Baletu Narodowego

Fot. Marta Wódz/Teatr Wielki – Opera Narodowa

Nie mogę się pogodzić z tym, że Polska, przecież wielki kraj, ma na wokalnym olimpie co najwyżej troje, czworo śpiewaków. Mniej niż maleńka Łotwa. Z myślą o poprawie sytuacji wraz z dziesięcioma teatrami europejskimi założyliśmy Europejską Sieć Akademii Operowych (ENOA). Uczestnicy naszej Akademii Operowej – młodzi, utalentowani śpiewacy i pianiści specjalizujący się w pracy ze śpiewakami – pracują pod okiem doświadczonych pedagogów z kraju i zagranicy. Jak wspaniałe czynią postępy, można się było przekonać niedawno na ich koncercie, podsumowującym warsztaty wokalne z Tomaszem Koniecznym. A najlepsi już trafiają do obsad operowych u nas, w Polsce i za granicą. W ostatniej paryskiej premierze „Don Carlosa" w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego śpiewała czwórka słuchaczy naszej akademii.

> Wśród 170 spektakli operowych i baletowych obecnego sezonu jest szczególnie wiele akcentów polskich. A w przyszłym sezonie zobaczymy „Manru" Paderewskiego

Do obowiązków w Teatrze Wielkim doszedł panu nowy: został pan pełnomocnikiem ministra kultury i dziedzictwa narodowego ds. obchodów 200. rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki.

Kulminacja uroczystości przypadnie w 2019 r., bo znakomity kompozytor urodził się 5 maja 1819 r. Wszakże już wstępne rozpoznanie pozwoliło mi na sformułowanie bolesnego „paradoksu moniuszkowskiego". Otóż okazuje się, że imię kompozytora noszą niezliczone instytucje artystyczne, szkoły, uczelnie, a także ponad 400 ulic w całym kraju. Tymczasem bogata w wartości artystyczne i patriotyczne twórczość człowieka, godnego miejsca w panteonie narodowym obok Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Chopina, jest rodakom praktycznie nieznana. Powszechna wiedza kończy się na „Strasznym dworze" i „Halce". Zmiana tego wymaga czasu, ale przecież kiedyś trzeba zacząć.

Zatem oprócz wielkich imprez, takich jak m.in. gala inaugurująca Rok Moniuszkowski w Teatrze Wielkim-Operze Narodowej czy odbywający się tutaj 10. Międzynarodowy Konkurs Wokalny im. Stanisława Moniuszki (5–12 maja 2019) lub 57. Festiwal Moniuszkowski w Kudowie-Zdroju, będzie bardzo wiele wydarzeń popularyzatorskich i wydawniczych. Utwory Moniuszki będą wykonywać filharmonie, chóry, opery, a także... orkiestry strażackie. Teatr Wielki w Poznaniu wystawi „Parię", Opera Nova w Bydgoszczy – „Hrabinę". Teatr Wielki-Opera Narodowa pokaże „Halkę" w krótszej, dwuaktowej wersji „wileńskiej", a Theater an der Wien w stolicy Austrii 15 grudnia 2019 r. zaprezentuje pełną wersję „Halki" w reżyserii Mariusza Trelińskiego z Piotrem Beczałą jako Jontkiem. Tę produkcję zobaczy zaraz potem Warszawa.



„Świtezianka". chor. Robert Bondara, na zdjęciu: Anna Lorenc, Kristóf Szabó

Fot. Ewa Krasucka/Teatr Wielki – Opera Narodowa

eprasa.pl 150ab1bc81

Odbudowujemy polski przemysł obronny

Rozmowa z Błażejem Wojniczem, prezesem zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej

Jaki był kończący się rok dla Polskiej Grupy Zbrojeniowej?

Błażej Wojnicz: To był dla nas ważny i dobry czas. Notujemy znaczący wzrost przychodów, w tym również z eksportu. Łączne przychody ze sprzedaży za granicę wyniosą w 2017 r. niemal 800 mln zł, co stanowi prawie 16 proc. wszystkich przychodów ze sprzedaży Grupy PGZ. Jeśli chodzi o zamówienia dla polskich Sił Zbrojnych, to szczególnie cieszy nas kontrakt na 53 tys. karabinków Grot dla Wojsk Obrony Terytorialnej. Pierwszy tysiąc sztuk tej broni już został dostarczony.

Grot to pierwszy od 1939 r. system broni strzeleckiej opracowany wyłącznie siłami polskiego przemysłu i polskich placówek badawczych.

Zgadza się. Jest to produkt bardzo nowoczesny, który dzięki modułowej konstrukcji umożliwia użytkownikom łatwe przechodzenie od jednej do innej konfiguracji podyktowanej bądź to bieżącymi wymogami pola walki, bądź też preferencjami samych żołnierzy. Filozofię funkcjonowania tego karabinka możemy w jakimś stopniu porównać do działania systemu operacyjnego komputera, który dzięki stałym aktualizacjom zyskuje coraz to nowe funkcjonalności bez konieczności ciągłego zakupu nowych podzespołów.

Niedawno minęły dwa lata, odkąd Polska Grupa Zbrojeniowa trafiła pod nadzór Ministerstwa Obrony Narodowej. Jak ocenia pan ten model podporządkowania przedsiębiorstw sektora obronnego?

Udana i terminowa realizacja pierwszej dostawy grotów czy dostaw armatohaubic Krab pokazuje wyraźny postęp w porównaniu z latami poprzednimi, kiedy sektor spółek obronnych był rozbity pomiędzy ministra skarbu, czyli formalnego właściciela, resort gospodarki, który sprawowała nadzór, i MON, które decydowało o zamówieniach i kierunkach rozwoju. Istnienie kilku ośrodków decyzyjnych niepotrzebnie komplikowało i tak już bardzo złożony proces modernizacji naszych Sił Zbrojnych. Powstanie PGZ było krokiem w kierunku rozwiązania problemu konsolidacji przemysłu, ale pozostawała jeszcze kwestia wspomnianej trójwładzy. Dopiero decyzja o przekazaniu nadzoru właścicielskiego do MON diametralnie zmieniła i uzdrowiła sytuację.



PGZ uczestniczy także w programach modernizacyjnych realizowanych wraz z podmiotami zagranicznymi.

Tak, polski przemysł zbrojeniowy bierze udział w kluczowych dla bezpieczeństwa państwa programach modernizacji Sił Zbrojnych RP. Chodzi tu o zestawy antyrakietowe Wisła i przeciwlotnicze systemy krótkiego zasięgu Narew, oraz moduły wyrzutni rakietowych Homar. Istotne elementy tych systemów powstaną w polskich zakładach, które będą także odpowiadały za serwis w trakcie całego kilkudziesięcioletniego cyklu życia tych wyrobów. Udział PGZ w tych programach przełoży się na rozwój i unowocześnienie poszczególnych zakładów, w tym oczywiście także na wiele nowych miejsc pracy. Oznacza on także niespotykany dotychczas w skali całej polskiej gospodarki transfer technologii, do którego obecnie intensywnie się przygotowujemy. Właśnie dlatego nie traktujemy dobrego dla nas roku 2017 jako zwieńczenia działalności, a jedynie jako okres, w którym położyliśmy fundamenty pod naprawdę szybki rozwój w latach kolejnych.

62/07/17/F

eprasa.pl 150ab1bc81

LOTOS

Historia himalaizmu jest jak książka. Wspinanie zimą to jej ostatni rozdział, a zdobycie K2 będzie ostatnią stroną tego rozdziału. Czy zapiszą ją Polacy, którzy zaczęli zimowe wspinanie w wysokich górach?



JAROMIR KWIATKOWSKI

K2 dla Polaków?



29 grudnia w pasmo górskie Karakorum wyrusza Narodowa Zimowa Wyprawa na K2 – drugi pod względem wysokości szczyt Ziemi (8 611 m n.p.m.). Ostatni ośmiotysięcznik, na którego szczycie zimą nikt jeszcze nie stanął.

JEDZIE ŚMIETANKA

Na czele wyprawy – Krzysztof Wielicki, jeden z najwybitniejszych współczesnych himalaistów świata; piąty wspinacz w historii, a drugi Polak (po Jerzym Kukuczce), który zdobył Koronę Himalajów i Karakorum (wszystkie ośmiotysięczniki). Kierownikiem sportowym wyprawy jest inny znakomity wspinacz – Janusz Gołąb, a kierownikiem bazy – Piotr Snopczyński.

Wśród członków ekipy mamy czołówkę polskiego himalaizmu: uczestników tragicznej zimowej wyprawy na Broad Peak w 2013 r. – Adama Bieleckiego i Artura Małka; a także Rafała Fronię, Marka Chmielarskiego, Dariusza Załuskiego (będzie operatorem wyprawy), Marcina Kaczkana i Piotra Tomalę. W składzie znalazł się również Maciej Bedrejczuk z mojego rodzinnego Rzeszowa i Jarosław Botor, ratownik medyczny. Do wyprawy dołączył także Denis Urubko, jeden z najwybitniejszych współczesnych himalaistów, zdobywca (jako 15. człowiek w historii) Korony Himalajów i Karakorum, Rosjanin, który w 2015 r. otrzymał także polskie obywatelstwo.

Polska ekipa narodowa ma zamiar wspinać się południowo-wschodnim filarem, tzw. drogą Basków. Polacy przymierzali się do zimowego wejścia na K2 już rok temu, ale ostatecznie narodowa wyprawa została przeniesiona na zimę 2017/2018. Himalaista i przedsiębiorca Janusz Majer, szef programu Polskie Himalaje, którego częścią jest program Polski Himalaizm Zimowy im. Artura Hajzera, tłumaczył to wtedy „dużymi trudnościami logistycznymi". Mówiąc prościej – zabrakło pieniędzy. Na początku września 2016 r. Krzysztof Wielicki przyznał, że brakuje 700 tys. zł, a czas naglił, bo trzeba było opłacić tragarzy i wysłać ich ze sprzętem, zanim drogę do bazy pod K2 pokryją śniegi. Tych pieniędzy nie udało się wtedy zdobyć, dlatego wyprawa rusza dopiero teraz.

Zimowa Narodowa Wyprawa na K2 jest możliwa dzięki dotacji celowej Ministerstwa Sportu w wysokości 1 mln zł oraz zaangażowaniu partnera strategicznego – marki LOTTO. Sponsorem generalnym jest Grupa LOTOS, a partnerem – Miasto Kraków.

BYLI PIERWSI

Porównania zimowego himalaizmu do książki użył Włoch Simone Moro, jeden z najwybitniejszych współczesnych wspinaczy, podczas 12. Spotkań z Filmem Górskim w Zakopanem na początku września 2016 r., kiedy jeszcze nie było wiadomo, że polską wyprawę trzeba będzie przełożyć o rok.

Moro, odpowiadając w Zakopanem na pytanie Piotra Pustelnika (również zdobywcy Korony Himalajów i Karakorum) o perspektywy zimowego wejścia na K2, wyraził nadzieję, że szczyt ten zostanie zdobyty przez Polaków.

„Bo to wy otworzyliście tę historię w 1980 r., kiedy Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki zdobyli zimą pierwszy ośmiotysięczny szczyt – Mount Everest. Mieliście wtedy bardzo słaby sprzęt i nikt nie wierzył, że będzie to w ogóle możliwe" – tłumaczył Włoch.

To prawda, himalaizm zimowy wymyślili Polacy i stał się on naszą narodową specjalnością w górach wysokich. Prekursorem zimowej wspinaczki był „Lider" – Andrzej Zawada, znakomity himalaista i kierownik wypraw (zmarł w 2000 r.).

Przyczyna tego, że Polacy wybrali do wspinania w górach wysokich tak niewdzięczną porę roku, była prozaiczna: z przyczyn politycznych (żelazna kurtyna!) zostali pozbawieni możliwości konkurowania o pierwsze letnie wejścia na ośmiotysięczniki. Kiedy wyjazdy w Himalaje stały się już możliwe, okazało się, że zachodni koledzy zdobyli wcześniej wszystko, co było do zdobycia. Polacy rzucili im więc wyzwanie do konkurowania w niesamowicie ekstremalnej wspinaczce, jaką jest zdobywanie gór wysokich zimą.

13 lutego 1973 r. Andrzej Zawada z Tadeuszem Piotrowskim zdobyli Noszak w Hindukuszu (7 492 m n.p.m.). Było to pierwsze wejście człowieka zimą na szczyt siedmiotysięczny. Prawie dokładnie siedem lat później, 17 lutego 1980 r., Krzysztof Wielicki i Leszek Cichy, członkowie narodowej wyprawy kierowanej przez „Lidera", dokonali pierwszego zimowego wejścia na ośmiotysięcznik – i to od razu na najwyższy szczyt Ziemi, Mount Everest (8 848 m n.p.m.).

Dziełem Polaków było osiem pierwszych zimowych wejść na ośmiotysięczniki, choć – mówiąc ściśle – sukcesem na Sziszapangmie (8 027 m n.p.m.), zdobytej zimą (14 stycznia 2005 r.) jako ósmy w kolejności szczyt ośmiotysięczny, musimy się podzielić z Włochami: weszli na nią razem Piotr Morawski (zginął w 2009 r. na Dhaulagiri – 8 167 m n.p.m.) i Simone Moro. Pierwsze wejście na Makalu (8 463 m n.p.m.), zdobyte zimą jako dziewiąty szczyt, było jednocześnie pierwszym, które odbyło się bez udziału Polaków. Dokonali go 9 lutego 2009 r. Simone Moro i Denis Urubko.

Ostatni polski wyczyn zimowy to pierwsze wejście na Broad Peak (8 047 m n.p.m.), na którym 5 marca 2013 r. stanęło aż czterech wspinaczy: Adam Bielecki, Artur Małek, Maciej Berbeka i Tomasz Kowalski. Niestety był to sukces okupiony wielką tragedią: dwaj ostatni zginęli w drodze powrotnej do bazy.

Warto dodać, że wymieniany tu wielokrotnie Simone Moro jest liderem światowego himalaizmu zimowego. Drugi – po Jerzym Kukuczce – zdobył zimą cztery ośmiotysięczniki, ale jednocześnie jest pierwszym i jedynym, który ma na koncie cztery pierwsze wejścia (Sziszapangma, Makalu, Gaszerbrum II i Nanga Parbat). Po trzy pierwsze wejścia mają Jerzy Kukuczka, Krzysztof Wielicki i Maciej Berbeka, po dwa – Denis Urubko i Adam Bielecki. Jedynym więc, który ma szansę wyrównać rekord Włocha, jest Krzysztof Wielicki. Pod warunkiem że stanie na szczycie K2.

eprasa.pl 150ab1bc81



POLSKA GÓRA

K2 jest czasami nazywana „polską górą". Między innymi dlatego, że to Polacy wytyczyli na niej w 1986 r. dwie najtrudniejsze drogi: Polish Line (Jerzy Kukuczka i Tadeusz Piotrowski) oraz Magic Line (Wojciech Wróż, Przemysław Piasecki i Słowak Peter Božík). Ta pierwsza droga nie została jeszcze przez nikogo powtórzona w całości.

Do tej pory na szczycie K2 (ale w sezonie letnim) stanęło 12 Polaków. Pięciu z nich – Krzysztof Wielicki, Dariusz Załuski, Janusz Gołąb, Adam Bielecki i Marcin Kaczkan – bierze udział w obecnej wyprawie.

Warto dodać, że pierwszego polskiego, a zarazem pierwszego w historii światowego himalaizmu kobiecego wejścia na K2, dokonała 23 czerwca 1986 r. ikona polskiego wspinania – Wanda Rutkiewicz. Wyprzedziła ona o 15 dni wspomnianych Kukuczkę i Piotrowskiego. Ten drugi podczas schodzenia, w wyniku awarii raków wspinaczkowych lub ich niewłaściwego założenia będącego skutkiem zmęczenia, na zalodzonym odcinku spadł wprost na partnera, który nie był w stanie go zatrzymać, po czym poleciał w przepaść.

Bliska sukcesu na K2 była już w 1976 r. ekspedycja prowadzona przez zmarłego w kwietniu 2015 r. Janusza Kurczaba. Podjęto ambitną próbę wejścia dziewiczą wówczas, północno-wschodnią granią, którą pokonano, ale Eugeniusz Chrobak i Wojciech Wróż wycofali się 200 m poniżej wierzchołka. Wróż zresztą, jak już wspomniałem, 10 lat później (3 sierpnia 1986 r.) stanął na szczycie K2, ale zginął podczas schodzenia.

Jeżeli mówimy o ofiarach śmiertelnych, to K2 jest czasami nazywana „górą mordercą". Podczas prób jej zdobycia zginęło ponad 80 wspinaczy. W tragicznej statystyce ściga się ona o niechlubną palmę pierwszeństwa z Annapurną (8 091 m n.p.m.).

Wśród polskich ofiar „góry mordercy" trzeba wymienić także Halinę Krüger-Syrokomską (zmarła 30 lipca 1982 r. w obozie II, najprawdopodobniej w wyniku obrzęku mózgu spowodowanego chorobą wysokościową lub zatoru tętnicy płucnej) oraz – kolejną po Piotrowskim i Wróżu ofiarę najbardziej tragicznego na K2 sezonu 1986 – Dobrosławę Miodowicz-Wolf, córkę Alfreda, a siostrę Konstantego Miodowicza, która podczas schodzenia po nieudanym ataku szczytowym – niosąc pomoc innym wspinaczom – sama zmarła z wyczerpania podczas gwałtownego załamania pogody.

Do tej pory K2 był atakowany w zimie tylko trzy razy, w tym dwukrotnie przez polskie wyprawy (jedną, kierowaną przez Andrzeja Zawadę na przełomie 1987 i 1988 r., oraz drugą – pod kierunkiem Krzysztofa Wielickiego w sezonie 2002/2003). Żadnej z tych wypraw nie udało się przekroczyć wysokości 8 000 m n.p.m.

Wielicki, kierownik obecnej wyprawy, przyznaje, że K2 to nie jest łatwa góra. Ekstremalny klimat panujący w Karakorum, ogromne trudności techniczne oraz sama wysokość czynią z niej szczyt szczególnie niebezpieczny, zwłaszcza zimą. To główna przyczyna tego, że – jak dotąd – skutecznie opiera się ona zimowym śmiałkom.

Pogoda będzie miała kluczowe znaczenie. Jest ona z reguły gorsza (niższa temperatura, mocniejszy wiatr) od panującej na Evereście, gdyż K2 jest najbardziej wysuniętym na północ ośmiotysięcznikiem. Najgroźniejszy jest wiatr, który wieje z prędkością nawet 200 km/h, co uniemożliwia wyjście z bazy. Bardzo niska temperatura panuje zarówno na górze (zimą nawet -50 °C), jak i w bazie (tam minusowa temperatura ogranicza możliwości regeneracji po wysiłku). Zimą problemem jest też krótki dzień, co znacznie skraca czas działania zespołu. Na wierzchołku można stanąć jedynie w krótkim oknie pogodowym, które w Karakorum jest rzadkością.

Polacy będą też najprawdopodobniej jedynym zespołem działającym na K2. Pozostaną więc zdani wyłącznie na siebie. Nie będzie odwiedzania wspinaczy z innych wypraw – nieodłącznego elementu życia w bazie.

TO SIĘ NAM NALEŻY

Wyprawa jest promowana hasłem „K2 dla Polaków". Również Simone Moro uważa, że Polakom ten szczyt się po prostu należy. Kokieteria? Trudno powiedzieć. Słynny Włoch przyznaje, że inspiracją do jego zimowego wspinania były wyczyny m.in. Kukuczki i Wielickiego. Dlatego w 2016 r., gdy jeszcze nie było wiadomo, że wyprawa opóźni się o rok, zapowiedział, iż nie zamierza atakować K2 zimą 2016/2017. Rozumiem, że ta deklaracja dotyczy również obecnego sezonu.

Czy Polacy, którzy rozpoczęli zimowy wyścig w górach wysokich, również go zakończą? Miejmy nadzieję, że opinia Simone Moro okaże się prorocza i że to Polacy staną pierwsi na szczycie K2. Jeżeli nie teraz, to podczas jednej z kolejnych prób.

Złośliwcy pewnie by powiedzieli, że Włochowi łatwo przychodzi oddawanie pola Polakom, bo być może po cichu podziela opinię Piotra Pustelnika, który swego czasu stwierdził, że – w jego mniemaniu – zimowe wejście na K2 nie nastąpi w tym stuleciu. Ale z drugiej strony Pustelnik znany jest z – oględnie mówiąc – niechętnego stosunku do zimowego wspinania, więc być może przesadza.

Życzmy naszym wspinaczom powodzenia, bo zadanie, jakie ich czeka, jest arcytrudne.

***Marcin Kaczkan*, uczestnik Narodowej Zimowej Wyprawy na K2:** Pogoda będzie główną przeszkodą. Cały problem polega na tym, żeby spróbować ją trochę „oszukać", czyli tak się przygotować, aby wykorzystać okno pogodowe, które się pojawi, i wtedy po prostu na tę górę „wskoczyć"

***Maciej Bedrejczuk*, uczestnik Narodowej Zimowej Wyprawy na K2:** Uważam, że himalaizm odpowiada duszy Polaka, która jest twarda, potrafi grać zespołowo, a jednocześnie jest wśród nas wielu indywidualistów. I to jest świetne

Fot. Shutterstock (x2)

42/1217/F

eprasa.pl 150ab1bc81



JESTEŚMY PALIWEM DLA POLSKIEGO SPORTU

Grupa LOTOS – Generalny Sponsor Polskiego Narciarstwa

LOTOS

eprasa.pl 150ab1bc81



Gwiezdny czas



ŁUKASZ ADAMSKI

Na początku tekstu zaznaczam, że nie zawiera on spojlerów. Seria „Star Wars” jest otoczona takim kultem i jest tak komercyjnie pompowana, że jakakolwiek próba streszczenia akcji spotka się z wyjątkową furią widzów. Od kiedy Disney kupił – za, uwaga, 4 mld dol. – prawa do marki Star Wars, samo trzymanie do końca w tajemnicy fabuły filmu stało się oddzielnym biznesem. Portale internetowe przed premierą rozsiewające teorie dotyczące losów kultowych postaci mnożą się w porażającym tempie, scenariusze kolejnych odcinków są natomiast trzymane w najściślejszej tajemnicy. Przygotujmy się, że tak będzie co najmniej przez następną dekadę.

BIZNES SIĘ KRĘCI

Disney po przejęciu ukochanego dziecka George'a Lucasa zamierza eksploatować temat bardzo długo. Nie chodzi tylko o bezpośrednią kontynuację oryginalnej trylogii reżysera, który w latach 1999–2005 nakręcił trzy części będące prequelem obrazów z lat 1977–1983. Disney zamierza stworzyć również oddzielne produkcje o poszczególnych bohaterach gwiezdnej sagi, zapoczątkowane „Łotrem 1” z 2016 r. Akcja tego tytułu rozgrywa się między „Zemstą Sithów” (2005) a „Nową nadzieją” (1977). W roku 2018 zobaczymy film o młodości Hana Solo, w którego w czterech częściach wcielił się Harrison Ford. W „Solo: A Star Wars Story” rolę młodego przemytnika zagra Alden Ehrenreich.

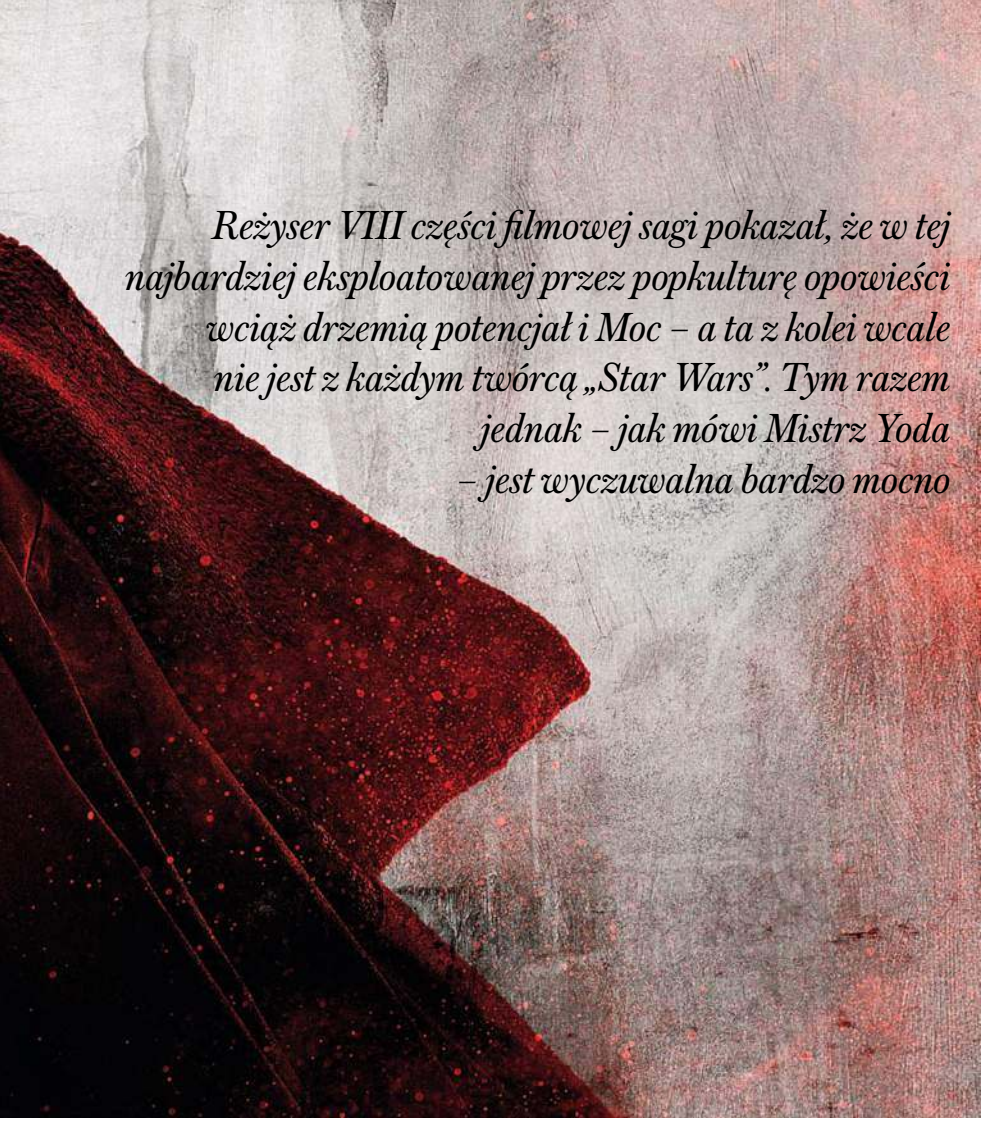
To, co robi Disney, nie jest jednak niczym zaskakującym. Lucas był pionierem czyniącym z filmowej marki dochodowy biznes. Same zabawki z logo Star Wars przyniosły mu ok. 15 mld dol. zysku. Po 35 latach od premiery pierwszego tytułu (zanim do akcji wkroczył Disney) przychód z książek, filmów animowanych, VHS, DVD, gier komputerowych czy komiksów wyniósł niemal 30 mld dol. George Lucas, kręcąc film, który odmienił całe kino, rozpoczął wraz ze Stevenem Spielbergiem modę na wielkie blockbusterowe hity kosztem skromniejszych, zaangażowanych obrazów nowej fali lat 70. Już wtedy ten wizjoner podjął genialną decyzję, która uczyniła go miliarderem. Po sukcesie artystycznym jego „Amerykańskiego graffiti” (pięć nominacji do Oscara) za reżyserię „westernu w kosmosie” oferowano mu 500 tys. dol. Zamiast tego Lucas zaproponował, że przyjmie czek na 150 tys. dol., ale zachowa prawa do tytułu i jego następnych sequeli. Szefów wytwórni ucieszyła taka „nieroztropność” artysty. Nikt nie wierzył, że można zarabiać na ubraniach i gadżetach ze zdjęciami z filmu. Reżyser jednak okazał się wizjonerem. Tak narodziło się uniwersum „Gwiezdnych wojen”. Jego ojciec może się teraz spokojnie przypatrywać, jak się ono rozwija. W moim przekonaniu może być zadowolony z linii, jaką teraz przyjął Disney.

BARDZO DOBRY EPIZOD

Jak jednym zdaniem opisać VIII epizod gwiezdnej sagi? „Star Wars: Ostatni Jedi” to po prostu kawał świetnego kina. Zupełnie różnego od tego, czego można się było spodziewać w zwiastunie. Nie jestem tym zaskoczony, skoro Disney nie ukrywa, że włączył komercyjne turbodoładowanie. Napięcie przed każdą kolejną częścią jest precyzyjnie reżyserowane przez sztab ludzi, którzy pilnują, by emocje odbiorców były odpowiednio stopniowane. Odrzućcie zatem wszystko, czego się spodziewaliście po VIII części. Zapomnijcie o zwiastunach i licznych teoriach fanowskich. Tym razem twórcy naprawdę zaskoczyli.

Jeffrey Jacob Abrams swoje „Przebudzenie Mocy” (2015) bezpiecznie wpasował w szkielet „Nowej nadziei”.

eprasa.pl 150ab1bc81



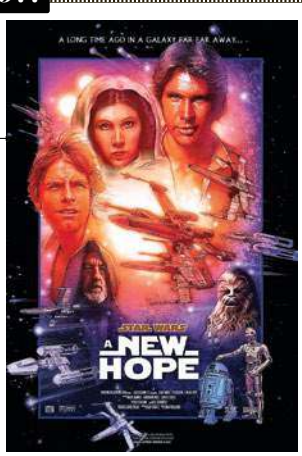
Reżyser VIII części filmowej sagi pokazał, że w tej najbardziej eksploatowanej przez popkulturę opowieści wciąż drzemią potencjał i Moc – a ta z kolei wcale nie jest z każdym twórcą „Star Wars". Tym razem jednak – jak mówi Mistrz Yoda – jest wyczuwalna bardzo mocno

To zrozumiałe, jeśli oczekiwania widzów były tak wysokie. Nie zapominajmy, że po premierze „Mrocznego widma" (1999), którym Lucas wrócił do „świętej sagi" po 15 latach, fani byli więcej niż rozczarowani. Oskarżali Lucasa, że zniszczył ich ukochany świat. Ba, gdy przez lata przerabiał oryginalną trylogię, dodając do niej kolejne nowatorskie efekty specjalne i potem wypuszczając na rynek wydania DVD, wielu apelowało, by tego nie robił. Dlaczego? Ich zdaniem „Star Wars" nie należy już do Lucasa, lecz do całego świata. Producenci z Disneya byli świadomi, z jaką materią się mocują, i woleli być nawet oskarżeni o autoplagiat, niż odchodzić od dogmatów sagi.

Reżyser „Ostatniego Jedi" Rian Johnson poszedł w inną stronę niż Abrams. Nie było oczywiste, że jego film przybierze oryginalny kierunek. Skoro „Przebudzenie Mocy" było tak bardzo podobne do „Nowej nadziei", to podejrzewano, że „Ostatni Jedi" będzie bazował na schematach „Imperium kontratakuje" (1980). Nic bardziej mylnego. VIII część to całkowicie nowe otwarcie, które łączy z „Imperium..." jedynie poważniejszy klimat. Nie ma tu jednak tak dramatycznie szokujących

„Gwiezdne wojny" są kręcone bez zachowania chronologii. Wynika to z tego, że George Lucas dopiero po 15 latach opowiedział o wydarzeniach poprzedzających jego trzy kultowe filmy. Dziś prawa do marki Star Wars ma Disney, który o ile trzyma się chronologii w historii rodu Skywalkerów, o tyle równocześnie kręci poboczne filmy (spin-offy). By poznać losy bohaterów całej sagi od początku jej istnienia, należy oglądać części zgodnie z chronologią narracji, a nie lat, w których poszczególne produkcje powstawały.

1977



„Gwiezdne wojny. Część IV: Nowa nadzieja", reż. George Lucas

1980



„Gwiezdne wojny. Część V: Imperium kontratakuje", reż. Lawrence Kasdan

1983



„Gwiezdne wojny. Część VI: Powrót Jedi", reż. Richard Marquand

1999



„Gwiezdne wojny. Część I: Mroczne widmo", reż. George Lucas

eprasa.pl 150ab1bc81

zwrotów akcji, do jakich twórcy sagi nas przyzwyczaili. Z poprzednich części pamiętamy, że Lucas uwielbiał szokować widzów. W połowie „Nowej nadziei" uśmiercił mistrza Jedi Obi-Wan Kenobiego, w „Imperium kontratakuje" Luke Skywalker dowiedział się, że Darth Vader jest jego ojcem. W „Powrocie Jedi" (1983) Vader tuż przed śmiercią znów stał się Anakinem Skywalkerem i przeszedł na jasną stronę Mocy. Twórcy „Przebudzenia Mocy" (2015), pierwszego filmu, na który wpływu nie miał Lucas, uśmiercili Hana Solo. Zginął z rąk pochłoniętego przez ciemną stronę Mocy swojego syna Bena.

Możliwe, że oryginalność „Ostatniego Jedi" wynika z tego, że scenariusz napisał sam Rian Johnson, a nie Lawrence Kasdan. 68-letni filmowiec był nie tylko współscenarzystą „Imperium kontratakuje" i „Powrotu Jedi", lecz reżyserem tego pierwszego. Współtworzył również scenariusz „Przebudzenia Mocy", jego nazwisko figuruje zaś przy przyszłorocznym „Solo: Star Wars Stories".

WYCIĄGANIE WNIOSKÓW

Johnson zasłynął nie tylko dzięki genialnemu serialowi „Breaking Bad", lecz także pomysłowemu filmowi science fiction „Looper – Pętla czasu". To znamienny tytuł, Johnson bowiem właśnie zapętlił akcję „Star Wars", zadając więcej pytań, niż dając odpowiedzi. Jestem krytykiem, więc coraz trudniej mnie zaskoczyć. A jednak twórcy „Ostatniego Jedi" spowodowali, że kilka razy zostałem naprawdę wbity w fotel. To ważne, gdyż nawet George Lucas nie potrafił już dokonywać przewrotek narracyjnych na miarę swojej oryginalnej trylogii, Abrams z kolei dwa lata temu bał się za bardzo igrać z oczekiwaniami fanów. Sukces jego tytułu spowodował jednak, że Johnson ma o wiele większe pole do popisu.

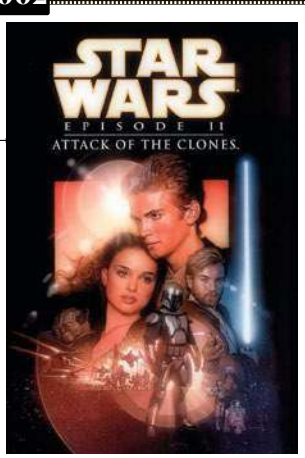
Wizualnie film olśniewa, co nie jest niczym zaskakującym przy dzisiejszych wyśrubowanych standardach kina blockbusterowego. Tutaj mamy jednak kapitalną mieszankę typowych gwiezdnych pojedynków z wysmakowanymi plastycznie ujęciami wnętrz, których nie powstydziłby się Stanley Kubrick (skąpana w czerwieni komnata Snoke'a) czy Francis Ford Coppola w „Czasie apokalipsy" (epicka bitwa na białej ziemi dymiącej czerwoną solą). Johnson to utalentowany reżyser, który rozumie, jak ważne jest nieprzykrywanie dramaturgii bitew wymyślną choreografią. Widać też, że Disney wyciąga wnioski z sukcesów swoich innych kultowych marek. Mamy tu sporo rozbrajającej ironii znanej z serii „Avengers". Ironii, której pozbawiony był przeważnie śmiertelnie poważny Lucas.

Wielkie przejęcie

Korporacja Disney nie tylko przejęła Lucasfilm i nabyła prawa do ekranizacji filmów ze stajni Marvela. Teraz za kwotę 66,1 mld dol. (13,7 mld wyniesie spłata długu wytwórni) przejęła 21st Century Fox. Legendarna wytwórnia miała w swoim posiadaniu takie franczyzy – przynoszące milionowe zyski – jak „X-Men", „Deadpool" i „Fantastyczna Czwórka". Dzięki przejęciu studia postacie z tych tytułów mogą się pojawić w filmach Marvela (seria „Avengers").

Do tego Disney nabył prawa do „Avatara" Jamesa Camerona, który jest najbardziej dochodowym filmem wszech czasów (prawie 3 mld dol. przychodów), oraz do serialu „Simpsonowie". Przejęcie Foxa łączy się też bezpośrednio z prawami do „Gwiezdnych wojen". Fox kontrolował dystrybucję pierwszej i drugiej trylogii na DVD i Blu-ray. George Lucas nakręcił wszystkie te filmy właśnie dla Foxa.

2002



„Gwiezdne wojny. Część II: Atak klonów", reż. George Lucas

2005



„Gwiezdne wojny. Część III: Zemsta Sithów", reż. George Lucas

2015



„Gwiezdne wojny. Część VII: Przebudzenie Mocy", reż. J.J. Abrams

2017



„Gwiezdne wojny. Część VIII: Ostatni Jedi", reż. Rian Johnson

eprasa.pl 150ab1bc81

Twórcom udało się idealnie wyważyć znaczenie nowych postaci z bohaterami znanymi z oryginału czy poprzedniego filmu. Pojawia się wiele ciekawych pobocznych charakterów (Benicio del Toro jako przebiegły złodziejaszek kradnie wszystkie sceny z sobą), które bardzo gładko wchodzą w interakcje z całą resztą. Co istotne, nowi herosi, którzy przez następne lata będą na barkach nieśli sagę, są odpowiednio rozbudowywani. Poe (Oscar Isaac) swoją zawadiackością idealnie wypełnił miejsce nieżyjącego Hana Solo. Finn (John Boyega) z przypadkowego bohatera zamienia się w czołową postać Rebelii.

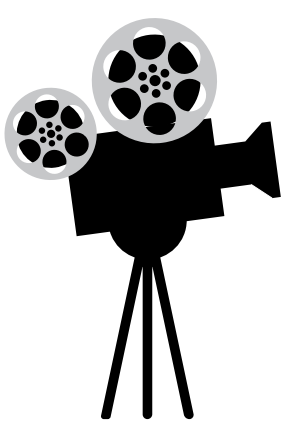
TO FILM MARKA HAMILLA

Kluczowa dla mitologii Rey (Daisy Ridley) nie jest kolejnym typowym padawanem Jedi, którą wytrenuje mistrz Luke Skywalker (Mark Hamill). Razem z Kylo Renem (Adam Driver) tworzą zupełnie oryginalny duet wrogów. Niejednoznaczny, tajemniczy i kryjący w sobie niewidoczną do tej pory moc. Duża w tym zasługa Drivera, aktora tworzącego trudne i wysublimowane role u Jima Jarmuscha („Paterson") czy Martina Scorsese („Milczenie"). O ile można było mieć pretensje do komiksowości Haydena Christensena w roli Anakina Skywalkera/Dartha Vadera, o tyle Driver kreuje jedną z najbardziej nietuzinkowych ciemnych postaci w popkulturze. To ważne, Johnson bowiem uniknął banalizacji postaci. Nie jest tak, że „ten z czerwonym mieczem" to jednoznaczny łajdak, a „ten z niebieskim mieczem" jest ikoną. Wątpliwości, wahania, motywacje głównych postaci – Johnson nadaje temu większą głębię.

Dotyczy to szczególnie Luke'a Skywalkera, który jest zupełnie innym człowiekiem niż ten, który nawrócił Vadera. Nie jest pełnym wiary w jasną stronę Mocy „zbawcą". Już nie. Mark Hamill w końcu wyciąga z Luke'a jego wnętrze. Nie przez przypadek jako dziecko zawsze chciałem być hultajskim Hanem Solo, a nie lekko irytującym blondaskiem ratującym galaktykę. Teraz z młodego, pięknego i heroicznego mistrza Jedi Luke przeistacza się w powalonego grzechami oraz przytłoczonego własnym mitem starego mistrza nieistniejącego zakonu, który ukrywa się przed niekończącą się wojną. To naprawdę przejmująca i brawurowo, choć z wielkim wyczuciem, zagrana rola. Złożona, pełna szczerych emocji i wiarygodna. Hamill był tak mocno utożsamiany z rolą Skywalkera, że nie zrobił kariery w kinie. Stworzył co prawda znakomitą rolę Jokera w animowanych filmach o Batmanie, ale jego twarz przeszła do historii kina jako twarz Luke'a. Dopiero teraz, 40 lat po premierze pierwszego filmu, pokazuje, jak dobrym jest aktorem. Niezamierzonego drugiego dna nabrały sceny z Carrie Fisher, która tragicznie zmarła tuż po zakończeniu zdjęć. Kilka kwestii księżniczki Lei rozdziera przez to serce i nadaje specyficzny klimat całemu filmowi. Historia rodu Skywalkerów ma rys greckiej tragedii, co Johnson kapitalnie uchwycił w postaci nie tylko Luke'a, lecz i Kylo Rena. Żaden film z sagi nie był tak zniuansowany i pełen furtek dających tyle możliwości fabularnych.

„Ostatniego Jedi" stawiam tuż obok najwybitniejszej części sagi – „Imperium kontratakuje". Szkoda, że to nie Johnson usiądzie za sterami IX części (do reżyserii wraca Abrams), której premiera jest przewidziana na 2019 r. Można jednak się pocieszać, że Johnson nadal będzie współtworzył „Star Wars". Właśnie się okazało, że napisze on i wyreżyseruje nową trylogię „Gwiezdnych wojen", niemającą nic wspólnego z historią Skywalkerów. „Ostatni Jedi" dowodzi, że ten filmowiec jest do takiej produkcji predestynowany jak nikt inny. Pokazał, że w tej najbardziej eksploatowanej przez popkulturę opowieści wciąż drzemią potencjał i Moc – a ta z kolei nie jest z każdym twórcą „Star Wars". Tym razem – jak mówi Mistrz Yoda – jest wyczuwalna bardzo mocno.

Spin-offy, czyli oddzielne historie niektórych bohaterów „Gwiezdnych wojen



2019



„Gwiezdne wojny. Część IX: tytuł na razie nieznany, reż. J.J. Abrams

2016



„Łotr 1. Gwiezdne wojny – historie", reż. Gareth Edwards

2018



„Solo. Gwiezdne wojny – historie", reż. Gareth Edwards

eprasa.pl 150ab1bc81



Jestem po prostu szczęśliwa

Dziecko integruje naszą rodzinę. Kocham syna, kocham męża. Znam ludzi, którzy mają zdrowe dzieci, a tak skomplikowali sobie życie, że nie potrafią znaleźć szczęścia. Ja je znajduję w pięknych momentach codzienności

Z Anną Jaki, żoną wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego, rozmawia Dorota Łosiewicz

Kiedy się dowiedzieliście, że wasz syn Radek urodzi się z trisomią 21?

Anna Jaki: Od początku marzyliśmy o dziecku. W 15. tygodniu ciąży poszliśmy na USG i zobaczyliśmy Radka, naszego syna. Wyraźnie było widać rączki, nóżki, główkę, biło serduszko. Wtedy też dowiedzieliśmy, że jest wysokie prawdopodobieństwo, że nasze dziecko urodzi się obciążone wadą genetyczną. Lekarz zasugerował amniopunkcję, która pozwoliłaby na terminację ciąży ze względu na poważne uszkodzenie płodu.

Nie zrobiliście tego.

Nie było potrzeby. To od początku było nasze kochane, wyczekane dziecko, w ogóle nie braliśmy pod uwagę, że moglibyśmy je zabić. Widzieliśmy je na monitorze, słyszeliśmy serduszko, ruszało się, jak więc mogliśmy pozbawić je życia? Od razu powiedzieliśmy, że aborcja nie wchodzi w grę. Los naszego dziecka powierzyliśmy Bogu.

Poród odbył się w terminie?

Radek miał przyjść na świat w lipcu, ale się pospieszył i zrobił nam niespodziankę w czerwcu. Z wagą 2,3 kg trafił do inkubatora. Pierwsze chwile były ciężkie, wiadomo, że każdy do ostatniej minuty ma nadzieję, że dziecko

eprasa.pl 150ab1bc81



Fot. Julita Szewczyk x2

będzie zdrowe. Szok nie trwał długo. Dwa dni po porodzie to ja chodziłam po oddziale i pocieszałam inne matki, np. takie, których dzieci urodziły się z rozszczepem podniebienia. Gdy mówiłam, co dolega Radkowi, one robiły wielkie oczy i dziwiły się, że mam jeszcze siłę kogoś pocieszać.

Jak jest dzisiaj?

Radek jest radosnym i pogodnym dzieckiem. Jest przez nas kochany. Oczywiście, jak wszyscy rodzice marzyliśmy, że może syn będzie lekarzem, prawnikiem lub politykiem. Do końca mieliśmy nadzieję, że zdarzy się cud i wszystko będzie w porządku. I można powiedzieć, że jest wszystko w porządku. Dziecko rozwija się w swoim tempie. Przyjęliśmy do wiadomości, że nie można zmienić pewnych rzeczy. Radek ma zespół Downa i trzeba mu zapewnić środowisko do rozwoju. Żeby mógł się czuć kochany, żeby dobrze się funkcjonował w swoim otoczeniu. I tak się teraz dzieje. Chodzi do żłobka integracyjnego. To jest taki wiek, że dzieci nie widzą różnic. Zdrowe maluchy bardzo chętnie włączają dzieci obciążone schorzeniami do zabawy. Ale nie łudzę się ani nie oszukuję, że nie będzie problemów. Które rodziny ich nie mają? Nasze są tylko inne – choć z drugiej strony są źródłem naszej siły.

Jak dziś pracuje pani z Radkiem?

Warto pamiętać, że im więcej wysiłku włożymy w dziecko na początku, tym piękniejsze owoce będziemy zbierać z czasem. Systematyczna praca na wczesnym etapie rozwoju sprawia, że później mniej wysiłku i czasu trzeba będzie włożyć w podstawowe umiejętności. Radek ma bardzo obniżone napięcie mięśniowe, więc usiadł, gdy miał rok, a chodzić zaczął, gdy miał trzy lata. W związku z tym nie mógł się pewnych rzeczy uczyć tak wcześnie, jak powinien. Ponieważ nie siedział, nie mógł dobrze się uczyć manipulować przedmiotami ani samodzielnie jeść. Rozwój mowy jest zaś powiązany z chodzeniem, opóźnienie tego drugiego wpływa na to pierwsze. Nie wolno jednak się frustrować tym, że pewne rzeczy opóźniają się w stosunku do dzieci zdrowych. Nie można porównywać także swojego dziecka do innych z trisomią 21. Trzeba po prostu

eprasa.pl 150ab1bc81

robić swoje. Trzeba się dostosować do rytmu dziecka i iść za nim. Nie wolno się zamartwiać, bo to nikomu nie służy. Nie można także wpaść w „biegunkę terapeutyczną", bo można zgubić życie codzienne. Trzeba pamiętać, że nasze dziecko jest po prostu dzieckiem. Oprócz ćwiczeń potrzebuje się poprzytulać z rodzicami, powygłupiać, czasem może nawet ponudzić. A podczas codziennej rodzinnej zabawy można przemycić elementy rehabilitacji. Poza tym wychowujemy naszego syna tradycyjnie, czyli robi to, co kiedyś robiły dzieci. Może się pobrudzić, bo to element integracji sensorycznej. Czytamy książki, gramy w gry planszowe. Przede wszystkim zaś odcinamy Radka od nowoczesnych technologii.

To akurat niejednemu dwu-, trzylatkowi by się przydało.

No właśnie. Dziś mamy do czynienia z plagą dzieci tabletowych, które niemal od urodzenia trzymają w ręku smartfony, oglądając bajki. Takie maluchy stają się potem pacjentami gabinetów logopedycznych, bowiem dochodzi do opóźnienia rozwoju mowy, mają problemy z trzymaniem długopisu itd. My, rodzice dzieci z zespołem Downa, stymulujemy nasze maluchy inaczej. Pilnujemy, żeby bawiły się zwykłymi zabawkami. Dzieci z trisomią 21 od pierwszych chwil powinny się zapoznawać z obrazkami kontrastowymi, żeby uczyły się skupiać wzrok. Trzeba dużo do nich mówić, śpiewać, mowa naturalna i spontaniczna powinna być czymś zwyczajnym w otoczeniu dziecka. A wysokie technologie, a raczej ich nadmiar, powodują, że kontakty werbalne rozluźniają się, a co za tym idzie, dziecko nie ma dobrych wzorców komunikacyjnych. Dlatego także sobie ograniczamy dostęp do technologii, żeby dziecko widziało, jak komunikują się z sobą rodzice. Włączenie telewizora w tle powoduje, że maluch zamiast skupiać się na mowie, koncentruje się na błyskających w tle kolorach. To ma duży wpływ na rozwój dziecka, dlatego staramy się eliminować wszelkie rozpraszacze. Ważna jest też dla mnie prawidłowa dieta i suplementacja. Dzieciom z zespołem Downa często towarzyszy celiakia i nietolerancja laktozy, mają predyspozycje do otyłości. Dlatego Radek jest niemal od początku na diecie bezlaktozowej, bezcukrowej i bezglutenowej. Nie ma więc problemów gastrologicznych, ma dobrą odporność na tle rówieśników, jest też bardzo energiczny, a to wszystko konsekwencje prawidłowej diety i uzupełniania mikro- i makroskładników, których organizmy dzieci z zespołem Downa nie przyswajają na poziomie zdrowego malucha. Z naszymi dziećmi trzeba iść wielotorowo. Przez stymulację rozwoju fizycznego, psychicznego, po prawidłową dietę. Wszystko ma znaczenie i wszystko wpływa na rozwój. Radek w okolicy pierwszego roku życia zaczął ćwiczyć metodą krakowską i robi to do dziś.

> Dziś mamy do czynienia z plagą dzieci tabletowych, które niemal od urodzenia trzymają w ręku smartfony. Takie maluchy stają się potem pacjentami logopedów

Cóż to takiego?

To terapia neurobiologiczna skierowana do dzieci z różnymi zaburzeniami rozwojowymi i genetycznymi. Jest zbiorem technik, które wykorzystuje się, by dziecko osiągnęło wszystkie kolejne etapy funkcji poznawczych jak w przypadku zdrowego dziecka. Jest to swego rodzaju budowanie języka w umyśle dziecka i nauka komunikacji. I można zacząć pracować z noworodkiem, program słuchowy stosuje się nawet w łonie mamy, nakładając słuchawki na brzuch, co często jest praktykowane przez kobiety, które wiedzą, że ich dziecko będzie miało problemy rozwojowe. Elementów metody krakowskiej jest 17 i powinny być stosowane jednocześnie, by terapia była skuteczna. Wykorzystuje się m.in. symultaniczno-sekwencyjną naukę czytania, która różni się od tradycyjnej m.in. tym, że nie wykorzystuje głoskowania, lecz podstawową jednostkę percepcyjną, czyli sylaby. Uczymy kategoryzacji, np. że miś, którego mam w ręce, to ten sam miś, który jest na ilustracji. Koncentrowania wzroku na twarzach, obrazkach, uczymy zabawy. Stymulujemy pamięć symultaniczną i sekwencyjną, pracujemy nad prawidłowym rozwojem grafomotorycznym.

By nasze wysiłki nie poszły na marne, zalecane jest odcięcie dziecka od wysokich technologii. Staramy się ograniczać stymulację prawej półkuli mózgu, ponieważ ona cały czas jest poddawana w dzisiejszych czasach stymulacji: przez muzykę, telewizję, rozmowy przez telefon. A lewa jest zaniedbywana. Dlatego rodzice dzieci takich jak Radek świadomie starają się to zmienić. Trzeba dużo czytać, bo za czytaniem idzie mowa. Świetnie to widać po Radku, który najpierw nauczył się rozpoznawać samogłoski i wyrażenia dźwiękonaśladowcze, dopasowywać je do siebie, a później zaczął odczytywać je samodzielnie. Obecnie pracujemy nad problemem z percepcją słuchową, który objawia się tym, że syn często nie mówi całego wyrazu tylko jego ostatnie sylaby. Oprócz tego nie mówi oczywiście jak zdrowi rówieśnicy, na razie niedoskonale łączy dwa wyrazy w zdanie. Do drugiego roku życia większość terapii Radek miał poza domem i jeździliśmy do różnych specjalistów. Teraz większość zajęć indywidualnych ma w żłobku integracyjnym. Poza tym raz w tygodniu jeżdżę z nim do terapeuty metody krakowskiej, a na co dzień sama ćwiczę z nim w domu. Kiedyś ćwiczyliśmy przynajmniej godzinę dziennie. Dziś po wszystkich zajęciach, jakie ma w ciągu dnia, bywa po prostu zmęczony, a ja nie jestem terrorystką.

Radek lubi z panią pracować?

Tak. Często sam przynosi pomoce z regału i siada do swojego „biurka". Dzięki

eprasa.pl 150ab1bc81

konsekwentnej, regularnej pracy syn wie, że – choćby się waliło i paliło – rozpoczęte zadanie trzeba skończyć. Dziś Radek jest w stanie utrzymać koncentrację przez 45–60 minut. To dużo jak na trzylatka.

Mój dziesięciolatek ledwie tyle wytrzymuje.

[śmiech] To głównie zasługa metody krakowskiej.

I pani chyba też trochę...

Szkoda, że nie da się wyćwiczyć umiejętności przewidywania zagrożeń. To już zależy od logicznego myślenia, a z tym nasze dzieci miewają problem. Teraz więcej pracujemy w przestrzeni. Wydaję mu komunikaty, polecenia, sprawdzam, na ile mnie rozumie. I widzę efekty mojej ciężkiej pracy. Dużo zdobytych umiejętności przekłada po prostu na życie.

Mówi pani jak fachowiec.

Musiałam się nim stać. Gdy Radek miał półtora roku, poszłam dla niego na drugie studia. Zanim to się jednak stało, musiałam rzucić pracę w korporacji. Opieki nad takim dzieckiem nie dałoby się pogodzić z wychodzeniem z domu o siódmej rano i wracaniem do niego o 21.00. Bo tak wyglądało moje życie. Rzuciłam więc pracę i podjęłam się pełnej opieki nad synem oraz codziennej pracy nad jego rozwojem. Szybko się okazało, że to nie jest żaden przykry obowiązek, że po prostu sprawia mi to przyjemność. Zaczęłam czytać o tym, jak pracować z dziećmi dotkniętymi trisomią 21. Starałam się dotrzeć do wiedzy, jak na różne sposoby wspierać takie dzieci. Byłam zafascynowana tym, jak z Radkiem pracowała jego pani logopeda. Poczułam, że też chciałabym się zajmować tym profesjonalnie, że taka praca dałaby mi satysfakcję. Wiedziałam, że wówczas poczułabym, że robię coś ważnego i potrzebnego. Ponieważ jednak wcześniej skończyłam politologię i zarządzanie finansami, musiałam poszukać kierunku, który umożliwiłby mi pracę z dziećmi. Skończyłam więc studia pedagogiczne, a teraz robię studia podyplomowe z zakresu wczesnego wspomagania dziecka. W tzw. międzyczasie szkoliłam się z metody krakowskiej. Docelowo chciałabym zostać certyfikowaną specjalistką tej metody. Teraz jeszcze nie mogę pracować jako terapeuta. Na razie praktykuję na Radku i synku koleżanki. Poza tym korzystam ze świadczenia pielęgnacyjnego, a tego w polskich warunkach nie można łączyć z pracą zarobkową. Jak już ukończę ścieżkę edukacyjną, będę miała komplet kwalifikacji, wtedy zamienię domowe kapcie na buty i poszukam pracy w jakiejś poradni czy przedszkolu.



Można powiedzieć, że Radek postawił pani życie na głowie.

On je uratował. I nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Gdyby nie on, nie uświadomiłabym sobie, że przyjemność mogę czerpać z zupełnie innej pracy. Gdyby Radek się nie urodził, a ja wciąż tkwiłabym w korporacji, w której pracowałam, dziś pewnie wylądowałbym w szpitalu psychiatrycznym ze zdiagnozowaną depresją. Po latach pracy miałam syndrom wypalenia zawodowego. Moja przełożona straciła ciążę, ponieważ jej szefowa dzwoniła do niej codziennie o piątej rano z awanturą o zbyt niskie wyniki sprzedażowe.

A jak się żyje u boku ministra?

Na pewno nie jest to zwykłe życie. Mąż nie wraca do domu o stałej porze, sporadycznie mamy szansę na wspólną kolację czy wspólne uczestniczenie w kąpieli syna. Główny ciężar opieki nad Radkiem spoczywa na mnie. Ale tak się podzieliliśmy. On pracuje na nasze utrzymanie i dla Polski, a ja na maksymalnie dużą samodzielność Radka. W sytuacjach awaryjnych oczywiście mogę na męża liczyć. Jednak nie dzwonię do niego, żeby odebrał syna ze żłobka, bo ja utknęłam u fryzjera. Zależy mi na tym, żeby mąż miał w domu spokojną, przyjazną atmosferę, ponieważ ma bardzo ciężką i wymagającą pracę. Zależy mi, żeby się z obowiązków wywiązywał jak najlepiej. Zwłaszcza że on czuje ogromną odpowiedzialność za to, co robi. Od zawsze mi mówił, że dla niego najważniejsza jest Polska. Żartobliwie pytałam wtedy: „A co ze mną?". Teraz dla niego najważniejsza jest Polska, Radek, a ja orbituję gdzieś wokół tych dwóch spraw.

Miewa pani chwile zwątpienia?

Szczerze? Choć czasem bywa trudno – to jestem szczęśliwa. Niejednokrotnie spotkaliśmy się w gabinecie lekarskim z pytaniem: „Nie robili państwo badań prenatalnych?" (w domyśle: dlaczego to dziecko przyszło na świat?), to jednak swojej decyzji nigdy byśmy nie zmienili. Zaraz znajdą się pewnie tacy, którzy będą próbowali mi wmówić, że wypieram niepełnosprawność syna. To jednak nieprawda. Doskonale wiem, z czym wiąże się zespół Downa. Ale jestem szczęśliwa. Dziecko integruje naszą rodzinę. Kocham syna, kocham męża. Znam mnóstwo ludzi, którzy mają zdrowe dzieci, a tak skomplikowali sobie życie, że nie potrafią znaleźć szczęścia. Ja je znajduję w pięknych momentach codzienności.

eprasa.pl 150ab1bc81

Chrześcijaństwo może wybudzić Europę

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z ks. prof. Waldemarem Chrostowskim, biblistą i teologiem – druga część rozmowy z poprzedniego numeru „Sieci”

Przechodząc do współczesności: chrześcijaństwo jest dziś niebywale atakowane. Szczególnie boli rugowanie wszystkiego, co związane z Chrystusem, z życia Zachodu. Wydawało się to niemożliwe, ale wyrastają całe pokolenia, które po prostu nic na ten temat nie wiedzą. Nie wiedzą, „kim był ten pan na krzyżu”.

Ks. prof. Waldemar Chrostowski: To świadczy o tym, że nie jest tak, iż Bóg ma na świecie samych przyjaciół. Nie jest więc tak, że wszystko, co dotyczy spraw Bożych, jest rozważane w uczciwy i nieuprzedzony sposób. Otóż nie, siły zła zawsze istniały i istnieją. Są tak samo realne jak istnienie Boga. Chrześcijaństwo zawsze napotykało opór. Nie było takiej epoki, w której mogło istnieć i rozwijać się lekko, łatwo oraz przyjemnie.

Czyli nic nowego?

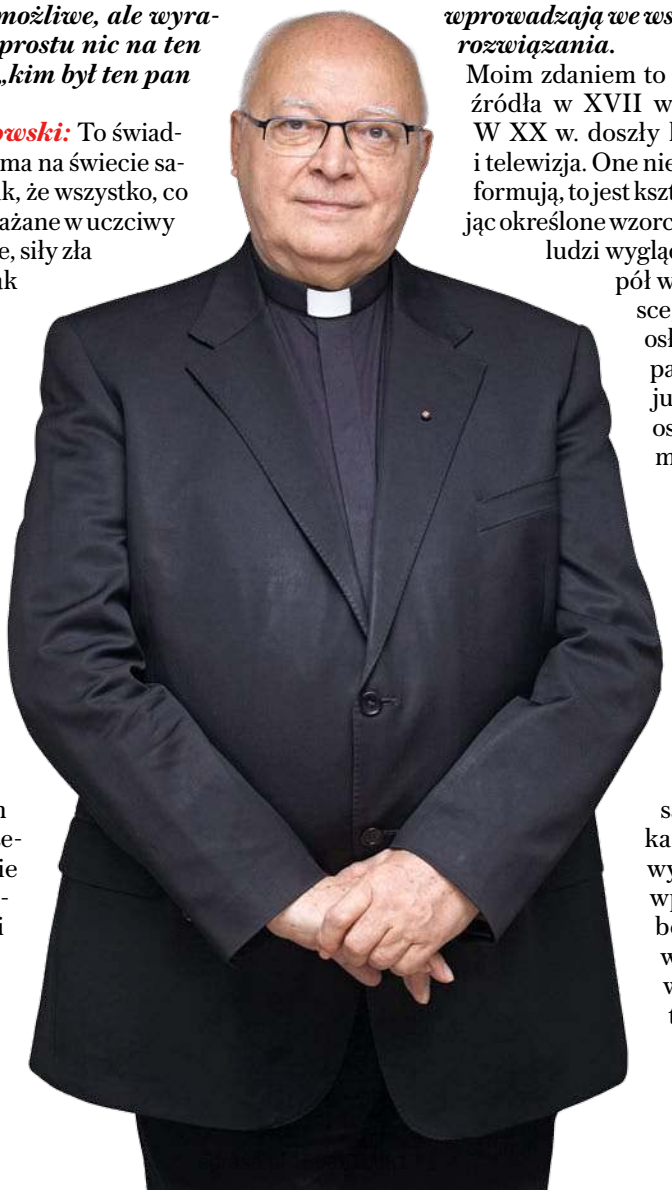
Opór, na który obecnie natrafiamy, ma nową jakość. W pierwszych wiekach wrogość skutkowała prześladowaniami, później nastąpiły zmagania misyjne i konfrontacja z pogaństwem oraz inne wyzwania. Dziś mamy do czynienia z ideologią „wciskania kitu”. To nowość w dziejach ludzkości: nie chodzi o dochodzenie prawdy, ale o rozmiękczanie ludzkiej świadomości, jej podmywanie i odwracanie uwagi od tego, co naprawdę ważne. Niestety ludzie temu ulegają, także chrześcijanie. Do tego dochodzą konkretne przyczyny w poszczególnych państwach zachodnich, widoczne np. w Niemczech.

Co ksiądz profesor ma na myśli?

W tym, co dzieje się w Niemczech, w szalejącej poprawności politycznej oraz cofaniu się chrześcijaństwa, widzę dramatyczny skutek narodowego socjalizmu i II wojny światowej. Niemcy wciąż płacą wielką cenę za to, czego się dopuścili. Zbrodnie, których dokonali, a których świat przedtem w takiej skali i nasileniu nie znał, zmieniły Niemców. Pozostawiły skazę w ich tożsamości i świadomości, z którą muszą się zmagać. Z tego wynika również odwrócenie się od chrześcijaństwa i wartości ewangelicznych. Bo jeżeli one są ważne, jeżeli stanowią istotny punkt odniesienia, to wymagają głębokiego, narodowego i indywidualnego rachunku sumienia oraz wysiłku oczyszczenia pamięci.

Chrześcijaństwo nigdy nie miało łatwo, bo dobro lub zło zawsze wybiera konkretny człowiek. Dziś można jednak odnieść wrażenie, że siły mu wrogie wręcz rządzą światem i konsekwentnie, krok po kroku, wprowadzają we wszystkich państwach swoje rozwiązania.

Moim zdaniem to procesy, które mają swoje źródła w XVII w., gdy pojawiła się prasa. W XX w. doszły kolejne media, czyli radio i telewizja. One nie tylko informują, lecz także formują, to jest kształtują ludzi, upowszechniając określone wzorce zachowań i poglądy. Życie ludzi wygląda dziś zupełnie inaczej niż pół wieku temu, również w Polsce, zwłaszcza na wsi. Znacznie osłabiona została wspólnotowa pamięć i tożsamość. Nie ma już tego, co kształtowało życie osobiste i społeczne, a co pamiętam z mojego dzieciństwa. Telewizja to także obraz, który z jednej strony ogranicza wyobraźnię, a z drugiej – mocno na nią wpływa, spychając na daleki plan krytyczne myślenie. W ostatnich dekadach doszły telefonia komórkowa i internet. Nawet analfabeta ma w ręku komórkę, a tym samym ci, którzy tymi środkami komunikacji rządzą, wywierają na niego ogromny wpływ. Jest to przez nich bezwzględnie wykorzystywane. Rzeczywiste ośrodki władzy nad ludźmi są usytuowane tak, że ich w ogóle nie widać.



Fot. Andrzej Wiktor

Czym to się skończy?

To kolejny eksperyment społeczny, na równie wielką skalę, co ideologiczne eksperymenty XX w. Wcześniej były bat i prześladowania, dziś inżynieria społeczna dotyczy ludzi, którzy wcale nie wychodzą z domu i są przekonani, że niczemu nie ulegają. Ale jest zupełnie inaczej, bo „wciskanie kitu" drąży ich i wyniszcza. Chrześcijaństwo bez przerwy jest na celowniku. Wyraźnie mówił o tym papież Benedykt XVI, wskazując, że obecnie największym zagrożeniem jest nie tyle niewiara, ile obojętność oraz relatywizm, zwłaszcza moralny. Jedno i drugie jest gorsze niż niewiara, bo sprawia, że ludzie zaczynają żyć tak, jakby Boga nie było, a także tak, że lepiej dla nich, żeby Boga nie było.

Czy widzi ksiądz profesor jakąś nadzieję dla Europy?

Możliwe są dwa rozwiązania: optymistyczne i pesymistyczne. Zacznijmy od drugiego. Gdy podróżujemy po świecie, możemy zobaczyć regiony, które kiedyś były chrześcijańskie, a dziś są tam tylko ruiny kościołów. Takim terenem jest Azja Mniejsza, dzisiejsza Turcja. To był kraj soborów, ojców Kościoła, teologii i mistyki chrześcijańskiej. Takimi miejscami są również Afryka Północna, dzisiejsza Tunezja, Libia i Maroko. Czy utrata tych ziem sprawiła, że chrześcijaństwo upadło? Nie, chrześcijaństwo się przesunęło do Europy i na inne kontynenty.

Patrząc w tej perspektywie, można więc snuć analogiczną wizję: katedry i kościoły Europy albo staną się skansenami, albo meczetami, albo legną w gruzach, chrześcijaństwo zaś przesunie się do Afryki i Azji.

A wariant optymistyczny?

Zakłada, że stojąc przed perspektywą zagłady, chrześcijanie w Europie przebudzą się, i to na dobre, i postanowią być sobą. Zachowają tożsamość, z której wyrośli, uszanują i zadbają o skałę, z jakiej zostali wyciosani, a więc wrócą do swoich życiodajnych źródeł. Pewne oznaki tego ożywienia już widać.

W Polsce dokonuje się wielkie przewartościowanie życia katolickiego, ale prawdziwa rewolucja musi się dokonać na zachodzie naszego kontynentu. Nie tylko w odniesieniu do Kościoła katolickiego, który pod wieloma względami potrzebuje uleczenia, lecz przede wszystkim w protestantyzmie. Potrzebna jest reformacja reformacji. Potrzebny jest nowy protest w obrębie wspólnot protestanckich. Potrzebny jest protestancki prorok, który przywoła współwyznawców do porządku.

Jak powinien on wyglądać?

Jednym z powodów głębokiego kryzysu chrześcijaństwa na Zachodzie są skutki odejścia protestantów od tradycji wiernej Ewangelii. Wielu z nich ciągle podaje się za chrześcijan, ale to, co tam się dzieje, chore tendencje i nurty w zakresie doktryny oraz moralności, dowodzą, że znacząca część protestantów zeszła na manowce, na bezdroża. Potrzebny jest „nowy Luter", ale taki, który przywróciłby protestantów Ewangelii. To mogłoby wiele zmienić, także w dziedzinie ekumenizmu.

Dziś jednak także Kościół katolicki znajduje się w procesie wyraźnej zmiany. Mamy na myśli oczywiście papieża Franciszka i jego nowatorski pod wieloma względami pontyfikat.

Nasze pokolenia są przyzwyczajone do pontyfikatu św. Jana Pawła II, jednego z najdłuższych w historii Kościoła. Przywykliśmy do tego, że Stolica Piotrowa jest naszą skałą i drogowskazem. Również pontyfikat Benedykta XVI dawał nam poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

Dziś jest inaczej. Kościół znajduje się na dużym zakręcie. Problem w tym, że wchodząc w ten zakręt, widzimy tylko fragment drogi, ale nie wiemy, co jest daleko. Nie ulega wątpliwości, że dokonuje się coś nowego. Ponieważ dotyczy to nas, doświadczamy pewnego fermentu. Najważniejsze, żeby została zachowana jedność Kościoła. Miejmy nadzieję, że z doświadczeń, jakie przeżywamy, wyłoni się coś dobrego.

Papież Franciszek zapowiedział zmianę tekstu modlitwy „Ojcze nasz". Zamiast „[...] nie wódź nas na pokuszenie", będzie obowiązywała formuła „[...] nie dopuść, abyśmy ulegli pokusie". Zdaniem Ojca Świętego to dotychczasowe tłumaczenie było błędne.

Z modlitwą „Ojcze nasz" trzeba się obchodzić niezwykle ostrożnie, bo to modlitwa, której nauczył nas sam Jezus. Musimy się modlić tak, jak On nam polecił. Po grecku szósta prośba Modlitwy Pańskiej, o której mówimy, brzmi: „Kaí mē eisenénkes hēmás eis peirasmón", czyli dosłownie tłumacząc: „Nie wystawiaj nas na próbę". Św. Hieronim i inni przetłumaczyli to zdanie na łacinę następująco: „Et ne nos inducas in tentationem". Ostatnie słowo greckie, a także łacińskie, czyli „peirasmós" i „tentatio", może oznaczać „próbować, badać", a także „kusić".

Sens tej prośby Modlitwy Pańskiej jest jasny: „Nie wystawiaj nas na próbę" – taką, której nie moglibyśmy znieść. W przekładzie staropolskim mamy: „Nie wódź nas na pokuszenie". Lecz słowo „pokusa" i „pokuszenie" znaczy po polsku zarówno „podnieta, chęć do czegoś złego", jak i „próba, na jaką się kogoś wystawia".

Czyli to zmiana uzasadniona zdaniem księdza profesora?

Nie ma żadnej potrzeby jakiejkolwiek zmiany w polskim brzmieniu tej prośby, istnieje natomiast potrzeba jej solidnego objaśniania. Nasuwa się pytanie: czy Bóg może wystawiać człowieka na próbę? Na pokusę do złego – na pewno nie, bo jest ona sprzeczna z dobrem. Natomiast istnieją w Biblii przykłady trudnej próby, przed jaką stawali wielcy bohaterowie wiary. W 22. rozdziale Księgi Rodzaju czytamy: „Pan wystawił Abrahama na próbę". O arcytrudnej próbie opowiada też Księga Hioba. Dlaczego Bóg wystawia swoich wyznawców na próbę? By wypróbować ich wiarę, wierność i ufność w oczekiwaniu, że wyjdą z tej próby zwycięsko.

W Modlitwie Pańskiej brzmią echa próby, którą przeżywali Abraham i Hiob. Modlimy się o to, by Bóg nie wystawiał nas na próbę ponad nasze siły, a gdy ona przyjdzie, aby nas wspomagał i utwierdzał. Najbardziej owocne jest nie tyle zmienianie utrwalonych przez wieki formuł modlitewnych, ile ich prawidłowe objaśnianie i przeżywanie.

eprasa.pl 150ab1bc81

Pojawia się obawa, że skoro można zmienić „Ojcze nasz", można zmienić wszystko.

Tak, taka obawa rzeczywiście się pojawia. Trzeba pamiętać, że najbardziej niszczycielskie ataki na chrześcijaństwo dokonują się głównie w sferze języka. Przywołam powszechnie już stosowany zwrot „małżeństwa homoseksualne". A to przecież coś w rodzaju dawnego „peweksu", czyli „przedsiębiorstwa eksportu wewnętrznego". Taki język stoi na usługach polityki. Zamiast zmiany tekstu „Ojcze nasz" trzeba ukazywać współczesnemu człowiekowi właściwy sens każdej modlitwy, a Modlitwy Pańskiej w szczególności.

Wspomnieliśmy o islamie. Ksiądz profesor jest znawcą Bliskiego Wschodu. Co ksiądz sądzi o często formułowanym określeniu islamu jako „religii pokoju"? Czy to jest religia pokoju, czy może nią być?

„Znawca" to brzmi dumnie, ale – na szczęście – ta wersja nie obowiązuje. Odpowiedź nie jest prosta. Po pierwsze, islam, tak samo jak judaizm czy chrześcijaństwo, nie jest zjawiskiem jednorodnym. Istnieje przepaść między prawosławną kobietą w Irkucku a dwiema protestanckimi lesbijkami, które stoją na czele wspólnoty protestanckiej w Szwecji. A przecież jedni i drudzy to chrześcijanie. Z islamem jest podobnie.

To bardzo zróżnicowana religia. Słyszymy o niej najczęściej po aktach terroru, i taka jest twarz najbardziej radykalnej formy tej religii. Ale istnieją także inne odmiany islamu, są muzułmanie, którzy prowadzą spokojne i dobre życie. Chrześcijanie i muzułmanie przez wieki koegzystowali w Libanie, Syrii, Egipcie czy Iraku. Napięcia się pojawiały, ale narastania takiej wrogości jak obecnie nie było.

Po drugie, w świecie są siły, które próbują skłócić chrześcijan i muzułmanów. To się odbywa bardzo systematycznie i jest starannie zaprogramowane. Wojska amerykańskie, które pojawiły się w Iraku, nie były przedstawiane tamtejszej ludności jako siły zbrojne jednego państwa, ale jako kolejna krucjata pojmowana jako zamach chrześcijaństwa na świat islamu. Podobna polityka zbiera krwawe żniwo w innych rejonach świata zamieszkiwanych przez muzułmanów. W Europie z kolei urabia się obraz muzułmanów jedynie na bazie aktów terroru, które są wstrząsające, ale mimo wszystko nie dają pełnego obrazu wyznawców tej religii.

Mamy też falę imigracji muzułmańskiej do Europy.

To nie jest jedynie sprawa indywidualnych tragedii. To zaplanowany proces, którego celem jest zmiana mapy demograficznej Europy i swoiste zainfekowanie chrześcijańskiej Europy radykalnymi odmianami islamu. Zwróćmy uwagę, że zdecydowaną większość spośród setek tysięcy, a może już milionów, stanowią młodzi mężczyźni. W wielu krajach odbywa się po prostu werbunek tych ludzi. A to dopiero początek, bo ci imigranci nie będą żyć w celibacie i zażądają kobiet. Oni nie chcą europejskich kobiet i odnoszą się do nich z pogardą.

Ci, którzy tę masową imigrację sprokurowali, będą musieli przeprowadzić drugą falę. Za kilka czy kilkanaście lat Europa nie będzie już taka sama. Jesteśmy w sytuacji właściwie bez wyjścia, bo propaganda robi swoje i ludzie odzwyczajają się od autentycznego myślenia. W rezultacie Europa coraz bardziej zaczyna przypominać niespokojny Bliski Wschód.

Ksiądz profesor przez lata próbował ruszyć z miejsca dialog polsko-żydowski. Gdzie dziś znajduje się ten proces?

W mojej ocenie dialogu, przede wszystkim dialogu teologicznego, bo ten jest najważniejszy, w Polsce nie ma. Są tylko kontakty pojedynczych osób i niszowych środowisk z jednej i drugiej strony. Osób, które od lat się znają i odbywają ugrzecznione spotkania, zwłaszcza rocznicowe. Ale to nie jest dialog, a w każdym razie nie taki, jakiego zręby zaczęto budować w Polsce pod koniec lat 80. Te kontakty nie mają bowiem tego, co powinno być ich fundamentem, a mianowicie wyrazistego odniesienia religijnego i teologicznego. To kontakty o charakterze społecznym i kulturowym, i to nawet wtedy, gdy odbywają się w kościele czy synagodze. Nie mają one większego znaczenia dla całości jednej lub drugiej wspólnoty religijnej.

Wiemy, że wkrótce ukaże się nowa książka księdza profesora.

Będzie to trzecia część trylogii. Pierwszy tom nosił tytuł „Bóg, Biblia, Mesjasz", drugi – „Kościół, Żydzi, Polska", a teraz ukaże się tom trzeci – „Prawda, Chrystus, judaizm". Wraz z moimi rozmówcami, Grzegorzem Górnym i Rafałem Tichym, koncentrujemy się na aksjologii, na osobie i dziele Jezusa Chrystusa oraz na tym, co nas, chrześcijan, łączy i zarazem dzieli z wyznawcami judaizmu. To rozmowa, która bilansuje moje 30-letnie zaangażowanie w tę problematykę.

Zaangażowanie, które w 2014 r. zostało docenione Nagrodą Ratzingera, czyli „watykańskim Noblem".

Rzeczywiście jedno z głównych uzasadnień odnosiło się do moich wysiłków w sprawie dialogu katolicko-judaistycznego. Drugim uzasadnieniem były osiągnięcia w dziedzinie badania i popularyzowania Biblii, zwłaszcza Starego Testamentu.

Na koniec zapytamy, powracając do Bożego Narodzenia, czy jest coś, czego ksiądz profesor chciałby się dowiedzieć o tym wydarzeniu? Coś, czego jeszcze nie wiemy?

Moje marzenie nie dotyczy wiedzy. Chciałbym zobaczyć Bazylikę Narodzenia Pańskiego w Betlejem, w której wspólnie modlą się pogodzeni chrześcijanie. Chciałbym, żebyśmy mogli tam doświadczać przez cały rok tego spokoju, jaki staje się naszym udziałem w uroczystość Bożego Narodzenia. Chciałbym, żeby było tam wyraźnie widać jedność chrześcijaństwa, a tym samym jego siłę. Chciałbym, żeby Betlejem było na zawsze miastem pokoju. Miejscem, które żyjąc w naszych kolędach i w naszej kulturze jako miejsce narodzin Syna Bożego, było miastem uśmiechniętych i radosnych ludzi, żyjących godnie i dostatnio. Żeby nie trzeba było tam wjeżdżać przez bramę w wysokim murze, który odgradza Betlejem od reszty świata. Żeby właśnie tam było widać, że świat po przyjściu Jezusa Chrystusa ciągle staje się lepszy niż przedtem.

eprasa.pl 150ab1bc81

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Ballada, czyli historia

Grudzień okazją do historycznych wspominek. TVP2 przypomniała „Czarny czwartek" Antoniego Krauzego. Opowieść o grudniowej masakrze z 1970 r. Reżyser do tematu szykował się latami.

Film przypomina sugestywnie historyczny fenomen. Z ówczesnych relacji wyziera obraz jakiegoś szału sił milicyjnych, które traktowały Trójmiasto jak teren okupowany. Tu beznamiętna kamera Krauzego odnotowuje grozę bicia i znęcania się nad ludźmi, zderzając to z innym szaleństwem: tyrad Zenona Kliszki (Piotr Fronczewski) i Władysława Gomułki (Wojciech Pszoniak), którzy do tego okrucieństwa o skali nieznanej nawet w stanie wojennym, ideologicznym bełkotem szczuli.

Miałem do filmu jedno zastrzeżenie. Wybór jako głównego bohatera robotnika, który w apogeum zamieszek śledzi je z daleka, bawiąc się z synkiem, dało możliwość pokazania straszności jego przypadkowej śmierci na stacji gdyńskiej kolejki. Ale ja byłbym ciekaw któregoś z chłopaków, co rzucali kamieniami w milicję. Nagrodziłbym ich za opór, za czynną postawę wobec rzeczywistości – szerszą opowieścią.

Rekompensaty szukałem w spektaklu Roberta Talarczyka „Wujek 81. Czarna ballada". Dyrektor Teatru Śląskiego w Katowicach napisał i wystawił coś, co zaczęło się od jego wspomnień. 13-letniego wtedy chłopca, który z kolegami śledził z dachu wieżowca „pancery idące na Wujek". Teraz widowisko stało się kolejną perłą w koronie Teatru Telewizji. Większość spektaklu to zapis z teatralnej sali. Ale na koniec chłopcy mówią do nas naprawdę z dachu. Widzimy panoramę Katowic.

To jest ballada. W części śpiewana, przy czym leitmotivem są utwory rapera Miłosza Borycкiego (Miuosha), też człowieka stamtąd, który wspominając, staje się kimś w rodzaju mistrza ceremonii. Nie ma klasycznej akcji, są obrazki portretujące górniczą zbiorowość, pełne nazw produktów żywnościowych i tytułów oglądanych wtedy filmów. Aktorzy mówią śląską godką. Najbardziej wyraziste wypadają czterej chłopcy, na czele z Rafałem (Ambroży Żychiewicz grający już wcześniej w innych przedstawieniach). Jak udało się tak zgrabnie poprowadzić nastolatków, zwykle wypadających w polskich produkcjach sztucznie? Wiedzą to Pan Bóg i dyrektor Talarczyk.

Przy czym to opowieść nie tylko o grozie stanu wojennego. Także o etosie tamtego regionu, widzianego przez pryzmat kryzysu współczesnego górnictwa. Jedną z sugestywniejszych scen są wspomnienia dziadka Rafała (świetny Wiesław Sławik) o wypadku „na grubie" (w kopalni), w którym stracił przyjaciela. To ballada o przemijaniu dawnych obyczajów, o czym śpiewa nam Święta Barbara (Joanna Kściuczyk-Jędrusik), o lęku, o śmierci.

Może i nie do końca uzyskałem odpowiedź na pytanie, dlaczego w Grudniu '81 poszli umierać za „Solidarność" właśnie przedstawiciele najbardziej zdawałoby się pragmatycznej grupy, jaką byli Ślązacy. Ale czułem wzruszenie, kiedy ci chłopcy z dachu wieżowca szukali ratunku przed ZOMO w mieszance śląskich legend i fabuł filmów akcji. Tyle? Aż tyle.



Pojawiły się głosy, że obraz to uproszczony, demonizuje jedynego milicjanta, a idealizuje śląską rodzinę. Równie dobrze można twierdzić, że sprowadza masakrę w „Wujku" do fatalistycznej wiary śląskich kobiet, iż kopalnia czasem musi zabrać komuś ze swoich życie. To nie publicystyka, to subiektywna ballada! Recenzent pisał o „kolektywnym zapisie pamięci". W epoce standaryzacji i pogubienia się kultury to coś wspaniałego. Może pozwoli nam lepiej się rozumieć we wspólnej Polsce?

Piotr Zaremba

Jak Francja żegnała Johnny'ego Hallydaya

Śmierć Johnny'ego Hallydaya (pokój jego duszy!) sprowokowała falę zbiorowej histerii. Naród opłakuje śpiewaka o nieciekawym wyglądzie i nienadzwyczajnym, przeciętnym głosie, prawie nieznanego poza granicami Francji. Wszyscy zapomnieli o słusznej wypowiedzi Johna Lennona: „Rock francuski to trochę jak angielskie wino"





BERNARD MARGUERITTE

Oczywiście media się temu przysłużyły, nadając przez kilka dni tasiemcowe programy na temat „idola". Nawet władza polityczna się włączyła: na Tour Eiffel wyświetla się napis: „Merci Johnny". Nie było pogrzebu narodowego, ale była ceremonia nazwana „ludową". Został zorganizowany pochód na Champs-Elysées z udziałem dziesiątków tysięcy ludzi i nawet uroczystość religijna z prezydentem Macronem, który w przemówieniu pompatycznym i pustym starał się przeciągnąć na swoją stronę miłość Francuzów do Johnny'ego. Tak, ten sam Macron, który zarzucał władzom Polski „populizm"! A wszystko to dla człowieka, który unikał płacenia podatków we Francji, mając domy w Szwajcarii i w USA. I który, zgodnie z ostatnią cyniczną wolą, będzie pochowany na Karaibach, na francuskiej wyspie Saint-Barthélémy, znanej jako raj podatkowy. Co za lekcja obywatelstwa!

Ta histeria powinna być przedmiotem psychoanalizy narodowej. Jak biedny lud mógł zostać odmóżdżony do tego stopnia? Nie ma już wiary (agresywna „laicyzacja" zniszczyła wartości duchowe), nie ma ideałów, nie ma perspektyw, za to jest ogromne bezrobocie, szczególnie młodych. Ale póki mamy ulubionego śpiewaka, można przez chwilę o wszystkim zapomnieć. Taki jest właśnie cel „możnych" w biznesie i w polityce. Ogłupiać naród, podstawiać mu fałszywych idoli, tak żeby przestał myśleć i pozwolił kontynuować politykę neoliberalną, która prowadzi do ciągłego wzbogacania się elit i do coraz większej biedy nieuprzywilejowanych. Niech tak będzie, a po nas choćby potop...

Media – horresco referens (drżę, opowiadając o tym) – odgrywają tu haniebną rolę. To nic nowego. Już w 1996 r. francuski socjolog Pierre Bourdieu zanotował w znakomitej książce „Sur la télévision" (o telewizji), że wiadomości drugorzędne i sensacyjne (faits-divers) coraz bardziej opanowują telewizję, zajmując „czas, który mógłby być używany, aby powiedzieć coś innego". Autor daje do zrozumienia, że w tym szaleństwie jest metoda. Po prostu mamy do czynienia z polityką świadomego ogłupiania społeczeństwa. „Jeżeli się używa minuty tak cenne, aby mówić o rzeczach drugorzędnych, to dlatego, iż te rzeczy tak drugorzędne są traktowane jako bardzo ważne, gdyż pozwalają ukryć to, co naprawdę ważne". I konkluduje: „Kładąc nacisk na wiadomości drugorzędne, napełniając ten drogocenny czas pustką, niczym albo prawie niczym, odrzucamy informacje istotne, które powinien posiadać obywatel, aby być w stanie korzystać ze swoich demokratycznych praw".

Najbardziej szczerze wypowiadał się na temat tej instrumentalnej koncepcji mediów Patrick Le Lay, który w 2004 r. – jako prezes francuskiej telewizji TF1 – napisał wręcz (w książce „Les dirigeants français et le changement"): „Bądźmy realistami: zasadniczo robota TF1 to na przykład pomóc Coca-Coli sprzedać swój produkt... Aby przekaz reklamowy był trafiony, mózg telewidza musi koniecznie być do dyspozycji. Nasze programy mają misję doprowadzić do tego, aby mózg telewidza był dyspozycyjny... To, co sprzedajemy Coca-Coli, to jest czas dyspozycyjności ludzkiego mózgu".

Johnny Hallyday (1943–2017) – francuski piosenkarz, kompozytor i aktor. W swojej ojczyźnie był postacią kultową, często nazywano go „francuskim Elvisem". Przez ponad pięć dekad kariery sprzedał ponad 100 mln płyt.

eprasa.pl 150ab1bc81

Ogłupiać naród, aby sprzedać, ogłupiać naród, aby rządzić. Mamy tego najnowszy dowód.

Może państwo chcą dowodów tej nawałnicy głupoty? Proszę bardzo: telewizja pokazuje, jak biedny robotnik płacze przed bramą posiadłości śpiewaka i mówi: „Moje życie skończone! Umarłem wraz z Johnnym. Mam jeszcze żonę i dziecko, ale to nie to...". Drugi się chwali, że zapłacił 3 tys. euro, żeby mu zrobili tatuaż z podobizną idola na całym ciele. Artykuł Camille Bordenet w „Le Monde" (6/12) oddaje te nastroje. 70-letnia rencistka wyszła z domu o 4.00 rano, kiedy usłyszała dramatyczną wiadomość, wsiadła do pociągu, potem do metra i wreszcie pieszo podążyła pod dom zmarłego. „Najważniejsze – mówi – to, aby Johnny wiedział, że tu jestem. Jego śmierć jest dla mnie tak ważna jak śmierć de Gaulle'a czy Mitterranda. Mam nadzieję, że zostanie pochowany w Panteonie. Zasłużył na to. Johnny był jak wieża Eiffla!". Wielu twierdzi, że czują się „osamotnieni" po śmierci Hallydaya. „Straciłam brata, przyjaciela, kochanka" – płacze Weronika. Inny człowiek pokazuje napis: „Johnny, bez twoich koncertów koniec naszej długiej miłości". Najgorsze jest może to, że lud identyfikuje się z Johnnym. „On był zawsze blisko ludzi zwykłych, tych na dole; on był taki jak my" – twierdzi robotnik, zapominając, że mówi o miliarderze, który unikał płacenia podatków.



Fot. Jaguar PS/Shutterstock.com

> Ogłupiać naród, podstawiać mu fałszywych idoli, tak żeby przestał myśleć i pozwolił kontynuować politykę neoliberalną, która prowadzi do ciągłego wzbogacania się elit i do coraz większej biedy nieuprzywilejowanych. Taki jest cel „możnych" w biznesie i w polityce

Gwoli sprawiedliwości trzeba zauważyć garstkę Francuzów, którzy jeszcze nie zgłupieli. Nie wszystko stracone. Piszą do „Le Monde", że mamy do czynienia z „kolektywnym narcyzmem". Albo przyznają: „Zawsze wstydziłem się Johnny'ego, bo pokazuje on brak kultury i subtelności oraz zły gust wielkiej większości Francuzów". Czytamy także: „Co za hałas dla kuglarza o inteligencji mniej niż znikomej". Albo: „Dla mnie utożsamiał się z tanimi blaszkami, wrzaskami i ucieczką podatkową". Niektórzy kpią, że należałoby go kanonizować. „Santo subito" – pisze czytelnik z gorzkim sarkazmem. Jeszcze inny porównuje tę histerię z tym, co się stało w Związku Radzieckim po śmierci Stalina... „Co za równanie w dół! Ten kraj pretensjonalny i zarozumiały chce być oazą kultury, a tarza się (w błocie)... Gdyby śmieszność mogła zabić, to byłaby dopiero rzeź!". I ładnie podsumowuje ktoś, kpiąc z Francji Macrona: „To naprawdę Francja w marszu... wstecz".

Może zadziwiać to, że błahe wydarzenie pokazuje więcej o stanie duchowym narodu niż poważne naukowe analizy. Francja bez wiary, bez wizji, bez perspektyw, bez godności jest chora. Nie ma już Boga, więc łapie się byle idola. Istnieją już tylko namiastki wartości.

Czy ten kraj jest powołany, aby Polsce udzielać lekcji? Święty Jan Paweł II już dawno pisał, że kraje Europy Zachodniej zagubiły swoją tożsamość wtedy, kiedy kraje Europy Środkowo-Wschodniej, w walce z komuną, ją umocniły. To bardzo ważny powód dla Polaków, aby nie słuchać nakazów i rozkazów pochodzących od krajów zagubionych. To powód do dumy, że potrafili uratować swoją godność. Odnowa Europy, humanizmu europejskiego, widzimy to raz jeszcze, może przyjść tylko z Polski. To wyzwanie trudne, ale porywające. W każdym razie w momencie, kiedy niektórzy Polacy wybierali zagranicę, ja – dziś bardziej niż kiedykolwiek – cieszę się, że wybrałem Polskę.

eprasa.pl 150ab1bc81

Czytanie jako sp

Blask i ciemność



Wojciech Stanisławski

Czy naprawdę jesteśmy skazani na albo-albo między kiczem a drwiną? Ks. prof. Michał Janocha wskazuje drogę wyjścia z tego zgiełku

Przed świętami Bożego Narodzenia i w ich oktawie pojawia się więcej niż zwykle rzeczy przykrych dla oczu. Fasady urzędów i sklepów są obwieszone kablami z brudnobiałego plastiku, które o zmierzchu jarzą się rtęciowo za sprawą LED-ów. Ulicami ciągną setki „Mikołajów", kopii bohatera reklamy napoju musującego, w sfilcowanych lub przemoczonych czapkach. W kiosku parafialnym plastikowe klosiki do świec roratnych z nadrukami wykonanymi w technice napylania, w kolorze bijącego po oczach karminu, błękitu lub złota.

Podczas śpiewu scholi na mszy dla dzieci co starsze chórzystki powtarzają układy choreograficzne jakby żywcem wzięte z występu cheerleaderek lub boysbandowych chórków – tyłem do ołtarza, twarzą do zachwyconej kilkuletniej widowni gestykulują, zachęcając do naśladowania ich gestów. W tym samym czasie, kilka ulic dalej, na wernisażu lub śledziku warszawscy liberalno-lewicowi rezonerzy toczą niespieszną, pełną wyższości bekę z jakiegoś kolejnego nieudanego pomnika JPII lub najnowszego hitu – welurowej maskotki Jezusa. Zbawiciela z mało rozgarniętym uśmiechem można dostać już za 99 zł i niejedna babcia skorzysta z okazji, by uradować wnusię przytulanką.

Czy naprawdę jesteśmy skazani na takie albo-albo między kiczem a drwiną? Może niekoniecznie, dopóki możemy czytać przemyślenia bp. Michała Janochy – historyka, wykładowcy UW, UKSW i PW, znawcy ikon. Rozmowa, którą podejmuje z nim Ewa Kiedio, kołuje i nabiera rozpędu, uczony i duchowny zaś nie zaniedbuje okazji, by przypominać prawdy nieraz elementarne, by porządkować świat, jakby dzieliło się jabłko na ćwiartki, przypominając losy greckiej triady – prawdy, dobra i piękna – tak odmienne w Kościele Wschodu i Zachodu. Mamy więc przypomnienie soborów, podczas których ze swoimi przeciwnikami zmagali się ikonoklaści, mamy opowieść o tak ważnym dla prawosławia Triumfie Ortodoksji, świętowanym od roku 843, o dalekich, niedostrzeganych konsekwencjach ikonoklazmu, które objawiły się z całą mocą niemal tysiąc lat od pierwszych sporów o prawo do malowania wizerunku Boga, podczas wielkich debat i podziałów reformacji.

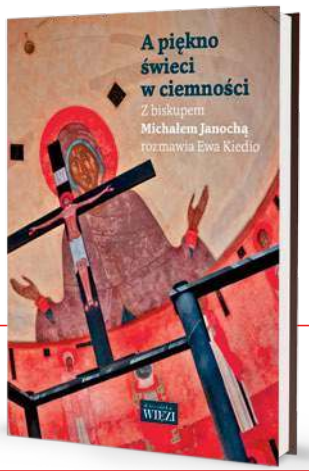
W tej rozmowie rozstrzelonej na tuziny wątków refleksję nad sztuką baroku i przedstawieniami Boga Ojca, możliwościami modyfikowania kanonu ikony i „długą pamięcią", która przekazała nam, przez setki pokoleń, wierne wyobrażenie twarzy św. Mikołaja z Bari i innych świadków ze starożytności, najsilniej powraca, przynajmniej w moich oczach, namysł nad tym, co się stało z naszą sztuką – niekoniecznie tylko sakralną. Michał Janocha przestrzega przed „ładnością" – słowem, które proponuje na określenie piękna pozornego, powierzchownego, ułatwionego. „Coś może być ładne, śliczne, a jednocześnie niedobre" – zauważa biskup, dodając,

eprasa.pl 150ab1bc81

że w kręgu kultury prawosławia takie zjawisko jest niemal niemożliwe. Z rozróżnień na sztukę religijną, kościelną, zdobniczą wynika, że „sztuki sakralnej" – inspirowanej wiarą i pomagającej przeżywać ją innym – jest coraz mniej.

Czy to ostateczny rozbrat? Ostateczne wyschnięcie źródeł, po którym zostaną, jak w świetnej scenie z niewesołego, przejmującego filmu „Inwazja barbarzyńców" sprzed dekady, trzeszczące w szwach magazyny prowincjonalnego muzeum, do którego trafiły dziesiątki obrazów świętych, rzeźb, mebli z opustoszałych, zamykanych kościołów kanadyjskiej (na razie) prowincji?

Być może nie. Biskup i jego rozmówczyni przypominają w całej rozmowie o istnieniu światła, o tym, że najwyższym atrybutem sztuki średniowiecznej był blask, claritas. Do tej jasności odwołują się, poszukując, różni współcześni artyści przywoływani przez Janochę, od Józefa Czapskiego czy Andrieja Tarkowskiego po współczesnych polskich malarzy ikon, Michała Płoskiego czy Mateusza Środonia. Każdy i w każdej chwili może się do niej zwrócić.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

„A piękno świeci w ciemności", Z biskupem Michałem Janochą rozmawia Ewa Kiedio, Biblioteka Więzi, Warszawa 2017

Czeski sekret

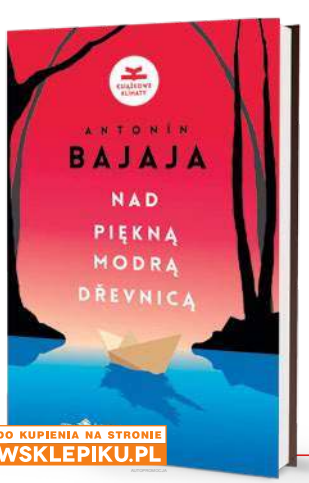
Potrafiłby to może wytłumaczyć jeden Josef Kroutvor, autor pamiętnego eseju „Europa Środkowa: anegdota i historia", a w Polsce biograf Havla i Hrabala, Aleksander Kaczorowski: na czym polega ten fenomen Czechów? Dlaczego wydają się posiadać wszystkie te cechy, których zabrakło sąsiadującym z nimi biednym, zwariowanym, zapalczywym narodom środkowoeuropejskim, wszystkim tym Słowianom i Węgrom? Czesi są zamożni, antyheroiczni, czasem ekscentryczni na angielski sposób, czasem zażywni i zadowoleni z życia, jakby stanowili żywą reklamę biedermeieru.

To oczywiście nieprawda i stereotyp, znamy dziesiątki zaprzeczeń tej tezy, a jednocześnie potwierdzają ją tuziny innych opowieści i anegdot: jest tak, jakby ta umiejętność smakowania urody codziennego życia była jak ulubione ułożenie, jakie ciało przyjmuje we śnie, jakby Czesi po zmaganiach dnia stale do niej wracali. Tak też układa swoje zdania Antonin Bajaja: pisarz z morawskiego Zlina (czyli przez lata, aż do roku 1989 – Gottwaldowa), z przedwojennej lekarsko-mieszczańskiej rodziny; po wojnie ze względu na pochodzenie przez długie lata nie było mowy o jego studiach.

„Nad piękną modrą Dřevnicą" to opowieść o czasach tuż powojennych, meandrująca, czasem trochę irytująco, w wysilony sposób poetycka, jakby poezji nie było dosyć w tiulach i morelówce, w tym, że każdy dzień spędzony w gimnazjum obiecuje nieśmiertelność, i trzeba ją było dodawać jeszcze, łamiąc na kolanie szczapę zdania i budując „słupek" ze spiętrzonych słów. Ale można wybaczyć autorowi i te ambicje i nawet to, że nie umie ściągnąć wodzów nostalgii, że jego książka nie jest tak zwięzła, utkana ciasno jak pestka wiśni i cierpko autoironiczna jak zapomniany trochę „Czarny Piotruś" Jaroslava Papouška, który posłużył przed laty za podstawę do pierwszego z „czeskich filmów" Miloša Formana.

Nieważne, bo po pierwszym rozdziale wciąga nas bez reszty ta księga inwentarzowa, ten wielki remanent dziwnego, morawskiego świata z przełomu lat 40. i 50. ubiegłego wieku, w którym zwyciężyła rewolucja, krewni, którzy mieli pecha być burżujami, trafiają do „oddziałów czarnych baronów", czyli wojskowych kompanii karnych, z których niekoniecznie się wraca – ale jednocześnie nadal podczas podwieczorków w ogrodzie jest podawany sorbet malinowy, panny służące dygają, a w willi byłego przedsiębiorcy są wyświetlane w konspiracji na prześcieradle przedwojenne kreskówki Disneya.

To oczywiście świat „Amarcordu", mikrokosmos gimnazjum, kościoła i corso; żadne to odkrycie, skoro Bajaja sam buduje jeden z rozdziałów, Intermezzo Secondo, na zestawieniu facecji, romansów i zauroczeń Gottwaldova, przeżywającego nadejście wiosny i żałoby po towarzyszu Stalinie w jednym, z podobnymi scenami, dokonującymi się 20 lat wcześniej w filmowym Borgo San Giuliano. „Amarcordu", dodajmy, z lekkim podmuchem środkowoeuropejskiego realizmu magicznego, skoro podczas pokazania się na czeskim niebie zorzy polarnej pani hrabina Vrbnowá nagle staje się medium, głosem zabitego przez komunistów Jana Masaryka, przepowiadając nadejście wolności... Tylko dlaczego Czechom najlepiej udają się podobne wspomnienia, czy to możliwe, że na Morawach tak cienka jest warstwa popiołów?



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Antonin Bajaja, „Nad piękną modrą Dřevnicą", tłum. Dorota Dobrew, Wydawnictwo Książkowe Klimaty, 2017

eprasa.pl 150ab1bc81

Adamski poleca



Zbliżający się rok przyniesie wiele fascynujących filmów. Wybrałem pięć pozycji, na które czekam najbardziej. To subiektywny ranking premier dla mnie najważniejszych i najbliższych memu sercu

5 **„CREED 2”**, premiera: jesień 2018 r. Rocky Balboa, prosty chłopak z Filadelfii, który podbija świat boksu, jest jedną z najlepiej i najbardziej konsekwentnie napisanych postaci w historii amerykańskiej kinematografii. Sylvester Stallone za wymyśloną przez siebie ponad 40 lat temu historię dostał trzy nominacje do Oscara (za rolę Rocky'ego w 1976 i 2015 r. oraz za scenariusz nagrodzonego czterema Oscarami filmu). Za rolę zdobył również Złoty Glob. W niespodziewanym powrocie do odtwarzanej postaci w filmie „Creed” (2015) Ryana Cooglera starzejący się Rocky szkoli młodego boksera, syna Apollo Creeda, cierpiąc jednocześnie na nowotwór. Film zachwycił krytyków i widzów. Choć Stallone miał skończyć z Rockym w tym epilogu, zdecydowano się na kolejną część, w której pojawi się... Ivan Drago (Dolph Lundgren). Ten sam Rosjanin, który zabił w „Rockym IV” ojca Creeda. Spokojnie. Nie będzie to proste odcinanie kuponów. Film reżyseruje subtelny twórca niezależnego kina Steven Caple jr. Szykuje się powtórka z mądrego i zniuansowanego „Creeda”.



4 **„NIĆ WIDMO”**, premiera: 23 lutego 2018 r. To ostatni film w karierze Brytyjczyka Daniela Day-Lewisa. „Daniel Day-Lewis nie będzie już pracował jako aktor. Jest niezmiernie wdzięczny wszystkim współpracownikom i publiczności. To osobista decyzja. Ani on, ani jego przedstawiciel nie będą udzielać dalszych komentarzy” – można było przeczytać w oświadczeniu. Day-Lewis to jedyny aktor w historii, który zdobył trzy Oscary za pierwszoplanowe role męskie. Bardzo starannie dobiera repertuar, pojawiając się w kinie raz na kilka lat. Unika wywiadów i blasku fleszy. Akcja jego ostatniego filmu rozgrywa się w londyńskim świecie mody lat 50. Lewis wciela się w znanego projektanta i krawca Reynoldsa Woodcocka, który razem z siostrą tworzy stroje dla rodziny królewskiej, gwiazd kina i dziedziczek fortun. Zatwardziały kawaler poznaje kobietę, która wywróci jego życie do góry nogami. Banał? Nie, bowiem za sterami stoi Paul Thomas Anderson. Jeden z najciekawszych współczesnych reżyserów razem z Lewisem nakręcił arcydzieło „Aż poleje się krew”, za które brytyjski aktor zdobył drugiego Oscara. Romans ostatnim filmem tak wybitnego i wielkiego aktora? To musi być romans niezwykły!



3 **„BOHEMIAN RHAPSODY”**, premiera: jesień 2018 r. Jestem zagorzałym fanem Queen. Uważam Freddiego Mercury'ego za absolutnego geniusza z niepodrabialnym głosem i niezwykłą sceniczną charyzmą. Fani od dawna czekają na film o burzliwym życiu artysty zmarłego w 1991 r. na AIDS. Najbliższy wcielenia się w legendarnego muzyka był niezwykle podobny do niego aktor Sacha Baron Cohen („Borat”), który jednak porzucił projekt przez różnice artystyczne z pozostałymi członkami Queen. W końcu rolę dostał Rami Malek, wschodząca gwiazda kina. Już na pierwszych zdjęciach aktor imponująco przypomina Mercury'ego. „Bohemian Rhapsody” opowiada historię zespołu aż do przełomowego występu grupy przeżywającej kryzys na Live Aid (1985). Produkcja napotyka przeszkody. Zwolniono hollywoodzkiego reżysera Bryana Singera (ma to związek z oskarżeniami o molestowanie). Zastąpił go utalentowany Brytyjczyk Dexter Fletcher, co może produkcji wyjść na dobre. Wszystko jednak w rękach Maleka, grającego jedną z najbardziej ekscentrycznych postaci show-biznesu XX w. Czy sobie poradzi?



eprasa.pl 150ab1bc81

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

na 2018 rok

2 **„15:17 DO PARYŻA”**, premiera: 9 lutego 2018 r. Najnowszy film Clinta Eastwooda przedstawia historię zamachu terrorystycznego w pociągu z Brukseli do Paryża sprzed dwóch lat. Terrorysta z ISIS Ayoub el-Khazzani chciał za pomocą AK-47 pokazać, że „Allah jest wielki”. Został obezwładniony przez trzech byłych amerykańskich żołnierzy: Anthony'ego Sadlera, Aleka Skarlatosa i Spencera Stone'a. Wychowani w patriotycznym duchu amerykańscy chłopcy uratowali życie współpasażerów w kraju, w którym Jankesów nie darzy się zbyt wielką sympatią. Mimo że to właśnie Amerykanie w ostatniej wojnie światowej oddawali życie za tchórzliwą Francję. Idealny to temat dla Eastwooda, który w „Snajperze” z lubością uświęcał męskie cnoty, militaryzm i amerykański patriotyzm, doprowadzając do furii lewicę. Teraz 87-letni zwolennik polityki Trumpa uderza jeszcze raz w swoje ulubione tony. W głównych rolach obsadził trójkę bohaterskich żołnierzy! Szykuje się niezwykły realizm.



1 **„THE IRISHMAN”**, premiera: zima 2018 r. Oparty na książce „Słyszałem, że malujesz domy” (w języku włoskiej mafii oznacza to tyle, co „słyszałem, że przyjmujesz zlecenia na zabójstwa”) film Martina Scorsese to pierwsza po 23 latach (od czasu „Kasyna”) wspólna produkcja legendarnego duetu Scorsese/De Niro, który dał kinu dziewięć wspaniałych filmów, na czele z „Taksówkarzem” i „Chłopcami z ferajny”. Scorsese dokonał rzeczy niemożliwej i ściągnął z emerytury Joe'ego Pesciego. Pierwszy raz u Scorsese zagra też Al Pacino! Kosztujący 100 mln dol. „The Irishman” jest wyprodukowany przez Netflixa, ale poza platformą streamingową będzie miał również premierę kinową. Robert De Niro wciela się we Franka „Irlandczyka” Sheerana, który w 1975 r. miał zamordować szefa Międzynarodowego Związku Transportowców Jimmy'ego Hoffę (Pacino). Pesci, który za rolę gangstera u Scorsese zdobył Oscara, teraz wciela się w bossa Russella Bufalino. Skąd tak gigantyczny budżet produkcji? Większość pochłoną nowatorskie efekty specjalne polegające na... odmłodzeniu o 30 lat Roberta De Niro! Ten film może się stać legendarny już w dniu premiery.



Fot. Featureflash Photo Agency/Shutterstock.com, Andrea Raffin/Shutterstock.com, Ovidiu Hrubaru/Shutterstock.com

eprasa.pl 150ab1bc81

Tylko chwile



Fot. Zdzanna Kruschewska

Ulotność świąt. Ich dostojeństwo. Czar tamtych rozmów. Poczucie bliskości. Dzieci i dorosłych. Wszyscy lgnęli do siebie. Ileż kiedyś było w nas serdeczności



KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

6 stycznia obchodzimy chrześcijańskie Święto Trzech Króli, czyli Objawienie Pańskie. Obchodzimy je na pamiątkę Trzech Mędrców, którzy udali się do Betlejem, by oddać pokłon nowo narodzonemu Chrystusowi. Epifania, czyli ukazanie się, przypomina nam obecność Pana Boga w dziejach człowieka, dając szansę poznania Go. Objawienie Pańskie jest pierwszym świętem, które ustanowił Kościół. Pokłon Mędrców ze Wschodu jest tu niezwykle istotny. Jeden z magów jest czarnoskóry (od XIV w.). Ta piękna uniwersalność zbawienia ponad podziałami jest nie do przecenienia.

Niepowtarzalnym zwyczajem jest święcenie tego dnia złota i kadzidła – tego drugiego z żywicy jałowca, którą jeszcze w XV w. okadzano domy i ogrody, co zabezpieczało przed nieszczęściami. Poświęconym złotem dotykano zaś szyi. Niegdyś w to święto po obiedzie podawano ciasto z migdałem. Znany był zwyczaj chodzenia dzieci z gwiazdą, które pukały do chat. Otrzymywały za to rogale. Śpiewano kolędy o trzech królach. Na straganach ustawionych wokół kościołów sprzedawano kadzidło i kredę. W wielu miastach w Polsce dzień Objawienia świętowany jest przez orszak trzech króli: uliczne jasełka połączone z kolędowaniem całych rodzin. Od kilku lat dzień ten jest wolny od pracy.

eprasa.pl 150ab1bc81

Gdy zastanawiam się nad chrześcijańską tradycją, zdumiewa mnie, że wielu z nas jakby nie do końca rozumie sens świąt. Wszyscy, gdziekolwiek spojrzeć dookoła, czegoś chcą. Domagają się więcej pieniędzy. Pragną więcej wolności. Rozliczenia złodziei. Zlustrowania dawnych polityków. I najważniejszej sprawy w naszym króciutkim życiu – pragną więcej miłości! Tej idealnej, autentycznej, pełnej poświęceń, która wszak zdarza się jedna na milion. I którą można spotkać tylko w ekstremalnej sytuacji. Najczęściej wtedy, gdy o miłość nie walczymy i wcale jej się nie spodziewamy. Każdy człowiek ma dość niekochanych wieczorów i mocno tulonej samotności.

Niedawno pod wieczór zamknięto wjazd do podwarszawskiego Piaseczna. Pytam więc strażnika z lizakiem, czemu opodal jest taki tumult i czy protestują za, czy przeciw. „Nie wiem" – odpowiada. Kroczę więc dalej, ku zebrze, a tam wzdłuż przejścia w tę i z powrotem wędruje, blokując ruch, tłumek młodych ludzi z transparentami. Jeden z nich głosi: „Zabierają naszym dzieciom pieniądze!". Pytam młodziaka: „Kto zabiera?". „Burmistrz" – pada odpowiedź.

Następnego dnia włączam telewizor, by natychmiast wyłączyć. Wszędzie to samo. Rosyjscy piloci bezustannie prowokują amerykańskich lotników, przelatując swoimi maszynami tak blisko, że grozi to katastrofą. Czego chce Putin od Trumpa? A czego Trump? Dlaczego Kim Dzong Un grozi światu wojną nuklearną? Do czego zmierza ten oszalały przywódca? Chce jeszcze więcej władzy? Teraz ja protestuję! Lecz kogo to obchodzi?

Gdy oglądam dawny film Akiry Kurosawy „Tron we krwi" na motywach „Makbeta" Williama Szekspira, uświadamiam sobie, że ludzkie chciejstwo od wieków się nie zmienia. Ani pazerność na władzę, a co za tym idzie – ani na mamonę.

Minione Boże Narodzenie i Święto Trzech Króli są najpiękniejsze, bo właśnie ten czas powinien wyzwolić w ludziach pokłady dobra i krztynę pokory. Powinien, lecz czy tak się dzieje? Jeszcze przed dwoma tygodniami siedzieliśmy z najbliższymi przy wigilijnym stole, śpiewaliśmy kolędy i dzieliliśmy się opłatkiem. Chrześcijanie na całym świecie spędzili święta wspólnie. Przez tydzień byliśmy jedną wielką rodziną: czy ktoś jest milionerem zatrudniającym setkę ludzi, czy bezdomnym, dla którego ciepły kaloryfer w nowojorskim metrze lub domek z kartonu w parku, to cały świat. Przypomnieliśmy sobie także o naszej skrywanej przez cały rok duchowości.

Przychodzi mi do głowy, że na co dzień większość z nas nie docenia, iż ciągle żyje. Ludzie nie potrafią już się cieszyć ani drobnostkami, ani tym, że obudzili się o poranku we własnym mieszkaniu. Że nie grozi im pożar, wybuch wulkanu, trzęsienie ziemi albo rak. Nie potrafimy się radować z tego, że wciąż mamy rodzinę. A nasze dzieciaki powoli doskonalą swoje charaktery, nie są głodne, kończą studia. Nie doceniamy życia. Tego, co zwyczajnie nazywam istnieniem. Nie doceniamy, że jeszcze coś czujemy. Że jest jeszcze ktoś obok nas. Bo za dzień, za tydzień, za 24 lata, może odejść. Skoro jest, warto powiedzieć: „Jak dobrze, że jesteś, dobrze, że trwasz obok mnie. Na dobre i na złe".

W przepięknej balladzie „Tonight" – ze słowami Berniego Taupina i muzyką Eltona Johna –Elton wyśpiewuje swą skargę, akompaniując sobie na fortepianie koncertowym z towarzyszeniem London Festival Orchestra: „Tej nocy czy musimy walczyć znowu? Ty ciągle nosisz swoje urazy. Poszukajmy kompromisu...".

Moje pokolenie było urodziwe i miało wdzięk. Piło wódkę, pięknie kochało. Faceci kupowali swoim paniom kwiaty. Kobiety chodziły latem w sukienkach z tanich kretonów, a nie w porwanych dżinsach. Mężczyźni golili się i zakładali białe koszule pod krawat. Mknęli na motocyklach. Grało się w kanastę, jeździło na nartach. Auto było marzeniem. Prawie nikt nie przeklinał, chyba że zagotowała się krew. Ludzie się uczyli, czytali pasjami książki, a potem godzinami dyskutowali w kawiarniach przy kawie i eklerce. Amerykańskie filmy były rarytasem. Chodziło się na radziecką „Strażnicę w górach". Dopiero wiele lat później w niezapomnianej Tęczy na Żoliborzu i w Moskwie na Mokotowie przy ul. Puławskiej oglądało się „Siedmiu wspaniałych" czy „W samo południe". Tamto pokolenie naszych sympatii i przyjaciół w przytłaczającej większości spoczywa na cmentarzach świata. Od Warszawy po Nowy Jork. Jeszcze długo po Zaduszkach, świętach Bożego Narodzenia i teraz, w wieczór Trzech Króli wspominamy Ich. Ja moich druhów – poetów, muzyków, dziennikarzy, pisarzy czy aktorów: Andrzeja Jastrzębca-Kozłowskiego, Janusza Kondratowicza, Witolda Pogranicznego, Piotra Figla, Marka Grechutę, Marka Nowakowskiego, Maćka Zembatego, Tadeusza Monetę, wreszcie Joannę, która po chorobie nowotworowej nagle odpłynęła w niebiosa tak prędko, że nawet nie zdążyła mnie o tym powiadomić.

Wspominam bez przerwy moich zmarłych rodziców. Pamiętam każdy gest Mamy i wiele pozornie tylko wyrwanych z kontekstu bezcennych rad Ojca. Z obłoków spływa ku mnie Ich nieustające wsparcie.

Grudzień 1954 lub 1957 r. Jechaliśmy przez białuteńkie, zasypane na metr Bielany, do centrum Warszawy, ze skromnymi prezentami zapakowanymi w gruby brązowy papier. Ciocia Lala i stryj Wiesio (najstarszy brat mojego Ojca) mieszkali w fińskich domkach na tyłach dzisiejszej ambasady Francji. Ten papier, w który Mama pakowała skromne prezenciki, mam ciągle w oczach. Słyszę jego szelest, widzę sprytne palce Mamy, gdy zawija rogi i wypisuje długopisem imiona.

Ulotność świąt. Ich dostojeństwo. Czar tamtych rozmów. Poczucie bliskości. Dzieci i dorosłych. Wszyscy lgnęli do siebie. Ileż kiedyś było w nas serdeczności. Jakże czułe były te chwile. Niepowtarzalne, nigdy w późniejszych, dorosłych latach już nieodkryte. Tamte sceny utkwiły we mnie na zawsze. Są jak skarb. Niczym bursztyn oprawiony w srebro. Jak kadry z niemego filmu, którego nikt poza mną nie chce oglądać.

Zaglądam do swego wnętrza i wyłuskuję z pamięci strofy Szekspira „Dziwny jest tu świat. Życie na nim jest smyczą, na której ludzie szarpią się, skowyczą. Krzakiem kwitnącej iluzji, które prędko więdną...". By chwilę później odpowiedzieć z przekorą: „Jak pięknie świat obdziela nas: miłością, lękiem, wiarą. I nie wie nigdy żadne z nas. Co jeszcze mu zagrają?".

eprasa.pl 150ab1bc81

Bruksela 2018. Będzie, jak było

Weszliśmy w nowy, 2018 r., no i co to będzie... Patrząc z perspektywy ostatnich dni ubiegłego roku, nie będzie nic, co miałoby wstrząsnąć Polską, Europą i światem. Pod warunkiem jednak, że nie są to pobożne życzenia, ale realna rzeczywistość. Niestety rzeczywistość jest wciąż nierealna i ślimaczy się w rytmie politycznej poprawności, która straciła wprawdzie swój impet i swą ideologiczną moc, lecz będzie się bronić niekończącym się potokiem słów, banałów, wśród których powtarzane są brzęczące jak monety euro „europejskie wartości".



W te wartości zamieszani są czołowi macherzy z Brukseli, którym, podobnie jak ich zwolennikom, nie przeszkadza zamieszanie w afery korupcyjne typu „Panama Papers" przewodniczącego Komisji Europejskiej Jeana-Claude'a Junckera i szefa frakcji liberalnej w Parlamencie Europejskim Guya Verhofstadta. To ten, co najostrzej oskarża o łamanie praworządności rząd Prawa i Sprawiedliwości. Tak było w komunizmie i tak jest w postkomunistycznej Europie: świat dzieli się na równych i równiejszych. I oni, ci prominenci z europejskiego establishmentu, uważają się za równiejszych, którym wolno wszystko, włącznie z przekształcaniem krajów Europy z niezawisłych i suwerennych w multikulturalny kołchoz, rządzony przez dobrze opłacanych cwaniaków – ideologów tzw. społeczeństwa otwartego.

Nie należy się spodziewać jakichś rewelacji, jeśli chodzi o problem z uchodźcami. Będzie tak, jak było

Nie sposób przewidzieć, czy rok 2018 będzie rokiem zmian, czy zaplanowanej stagnacji. Chociażby dlatego, że żyjemy w epoce dynamicznych przemian w życiu społeczeństw, dopuszczonych na złość lewactwu do informacji wszelkiego rodzaju. I tych dobrych, i tych złych. Oto zła informacja z ostatnich dni. W Niemczech, w Norymberdze, odziany tylko w białe majtki czarnoskóry imigrant z Afryki podszedł do 73-letniej kobiety i bez uprzedzenia uderzył ją pięścią w głowę. Znokautowana staruszka upadła na ziemię, a ten 23-letni imigrant jeszcze kopnął leżącą kilkakrotnie w głowę. Po czym spokojnie odszedł, przez nikogo niezatrzymywany. Świadkowie sfilmowali to wydarzenie, ale nikt z nich nie pospieszył kobiecie na ratunek. Natomiast wszyscy, którzy oglądali je w internecie, wyrazili swoje oburzenie zachowaniem owego imigranta, spełniając w ten sposób swój moralny obowiązek. Szczęśliwi, że to nie ich znokautował ów cudzoziemiec w białych majtkach. I życie potoczyło się dalej.

I tak będzie się toczyć, a nawet bardziej, bo mimo że – co przyznał nawet Donald Tusk – decyzja o relokacji uchodźców poniosła fiasko, Bruksela nadal będzie wciskać krajom niezgadzającym się na tę relokację kontyngenty imigrantów, grożąc gigantycznymi karami finansowymi. Do tych niesubordynowanych państw dołączyła ostatnio Austria, gdzie rządzi prawica pod wodzą najmłodszego w historii premiera, 31-letniego Sebastiana Kurza. Czyli idzie młodość, czego nie spodziewali się zużyci ideologicznie lewaccy emeryci polityczni. I to jest dobry znak na przyszłość, która ujawni się w 2019 r., gdy odbędą się wybory do Parlamentu Europejskiego i nastąpi, bo musi, przegrupowanie na szczytach unijnej władzy. I miejmy nadzieję – odmłodzenie kadr.

W tym roku nie należy się spodziewać jakichś rewelacji, jeśli chodzi o problem z uchodźcami. Będzie tak, jak było – napisał w Politico komisarz ds. migracji Dimitris Awramopulos. Ten Grek powiedział wprost: „Migracja to już nie jest problem do rozwiązywania metodą zarządzania kryzysowego – to po prostu nasza rzeczywistość". A Tuska, który przyznał, że relokacja okazała się klapą, nazwał „antyeuropejskim politykiem". Według Awramopulosa musimy się przyzwyczaić do imigrantów: „Czas spojrzeć prawdzie w oczy: nie jesteśmy w stanie powstrzymać imigracji i nigdy nam się to nie uda. [...] Mobilność to jeden z głównych wyznaczników świata w XXI w. Jeśli chcemy być gotowi na tę rzeczywistość – musimy już teraz zacząć się przygotowywać. [...] Migracja jest głęboko powiązana z naszą polityką dotyczącą gospodarki, handlu, edukacji i zatrudnienia". I wszystko jasne.

W dalszej przyszłości powstanie kalifat lewacko-muzułmański, obejmujący najbogatsze kraje UE, które już nie będą najbogatsze. Ostaną się i będą się cieszyć wolnością oraz bezpieczeństwem kraje, które przeciwstawiły się terrorowi relokacyjnemu, wyspy europejskości w morzu zła, niesprawiedliwości i bezprawia, nazywanych cynicznie europejskimi wartościami. Kraje kierujące się zasadami demokracji i uniwersalnymi wartościami chrześcijańskimi. Takie jak Polska i Węgry, a za nimi pójdą inni, dla których patriotyzm i przywiązanie do narodowych tradycji jest cenniejsze od internacjonalizmu.

eprasa.pl 150ab1bc81

Podejdź do płota!

Zawiedziona brakiem społecznego poparcia opozycja, uważająca się za elitę, na razie i na szczęście ogranicza się do słownych ataków na partię rządzącą i na elity władzy. Na razie, lecz te ataki przybierają coraz częściej charakter ciosów wymierzanych sztachetą albo nawet kłonicą werbalną i kojarzą się ze słynnym zdaniem z filmu „Sami swoi": „Kargul, podejdź do płota!". A jak podejdziesz, to cię tak zamaluję, że cię własna matka nie pozna – tak sobie wyobrażają dalszy ciąg tego dialogu ci, którymi wysługuje się establishment zmierzający do obalenia rządu PiS i powrotu do władzy.

Logicznie rzecz ujmując, nie ma w tych zachowaniach sensu poza psuciem krwi politykom obozu rządowego i obywatelom, którzy mają już dość tej grandy i dają temu wyraz w internecie oraz innych mediach.

No, może chodzi o to, żeby pokazać narodowi, kim są te elity i kogo ludzie dziesięć lat temu wybrali na przywódców narodu. Czy znaczy to, że establishment postanowił ujawnić swój rodowód, czyli „wiochę", odgrywającą się za swoje marne pochodzenie na kulturalnych i wykształconych obywatelach przez dziesięciolecia, od czasów ubecji poczynając?

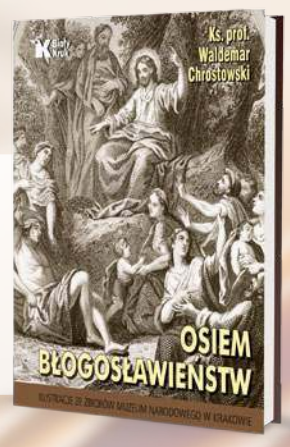
Kim są te panie i ci panowie, którzy pełnili odpowiedzialne funkcje w państwie polskim? Radosław Sikorski, były minister obrony i spraw zagranicznych, nazywający Beatę Szydło „wrednym babsztylem", a Jarosława Kaczyńskiego „wrednym dziadygą"? Z jakiej wywodzi się rodziny, skoro stać go na takie chamstwo? A co za tym idzie, na przyzwolenie do obrażania wrogów Sikorskiego przez chamów z Obywateli RP, np. przez jakiegoś brodacza, który nawymyślał dziennikarce TVP od k...w? I był bliski jej pobicia... Temu prymitywowi się nie dziwię, ale dziwię się człowiekowi, który ukończył studia, bywał w dobrym towarzystwie i dochrapał się eksponowanych stanowisk państwowych. A nawet dworku w Chobielinie. Chciał być wielkim panem, ale nie zdołał wyjść poza swoje możliwości, bo zabrakło mu tego, co kształtuje człowieka przez pokolenia – kultury osobistej. Tej wrodzonej, nabyty może być dworek i samochód, lecz nie godność. No więc Sikorski, podejdź do płota!

Krystyna Grzybowska

polecamy
WSKLEPIKU.PL

OSIEM BŁOGOSŁAWIEŃSTW
ks. prof. Waldemar Chrostowski

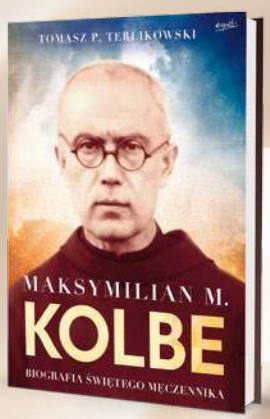
Treść ośmiu błogosławieństw wygłoszonych przez Chrystusa na Górze jest bez wątpienia znana większości katolikom. Jednak z właściwą ich interpretacją bywają niestety kłopoty. Głęboki sens i znaczenie ośmiu błogosławieństw wyjaśnia w tej mądrej, napisanej piękną polszczyzną i wysmakowanej edytorsko książce cieszący się ogromnym autorytetem biblista i teolog ks. prof. Waldemar Chrostowski – laureat prestiżowej Nagrody Josepha Ratzingera.



ILUSTROWANY PRZEWODNIK PO FATIMIE
Wincenty Łaszewski

Nie musisz wyjeżdżać do Fatimy, by znaleźć się w miejscach spotkań z Maryją. Wincenty Łaszewski zabiera cię na wyprawę do fatimskiego sanktuarium. Możesz zwiedzać je na miejscu, z przewodnikiem w ręku, ale możesz także, nie ruszając się z domu, odbyć duchową pielgrzymkę do Fatimy, prowadzony przez znanego mariologa.





MAKSYMILIAN M. KOLBE
Tomasz Terlikowski

Mówiono o nim, że posiada niezwykły umysł, jest genialnym organizatorem i wielkim wizjonerem. Nie ma wątpliwości, że był także kapłanem, który głęboko przyjął do serca ewangeliczną prawdę o tym, iż nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie oddaje za przyjaciół swoich. Ale pojawiały się też opinie o jego antysemityzmie, twardym charakterze i bezkompromisowości. Kim tak naprawdę był jeden z największych polskich świętych?

Zamówienia można również składać telefonicznie pod numerem:
22 836 54 45

AUTOPROMOCJA

eprasa.pl 150ab1bc81

To był dobry rok

Polska rozwija się dziś dwa razy szybciej niż średnio cała Unia Europejska, trzy razy szybciej niż Wielka Brytania i Włochy, prawie dwa razy szybciej niż Francja



JANUSZ SZEWCZAK

Miało być fatalnie, miało być załamanie gospodarcze, jak wieścił prof. Leszek Balcerowicz, budżet na ten rok miał być ponoć nielegalny i nierealny, a jest pełen sukces, wyniki i wskaźniki ekonomiczne są wręcz sensacyjnie pozytywne. Miała być katastrofa zapowiadana przez totalną opozycję, a jest ekspansja gospodarcza, rosną wskaźniki, w tym PMI, czyli tzw. aktywność gospodarcza, ruszają pomału inwestycje i nikt już nie bierze na poważnie zaklęć ani bajek z mchu oraz paproci opowiadanych przez tzw. neoliberalnych speców od gospodarki pokroju Leszka Balcerowicza czy Stanisława Gomułki.

Pod koniec tego roku widzimy coraz mocniejsze fundamenty polskiej gospodarki, budżetu i finansów, solidne, dobrze finansowane, na poziomie ok. 70 mld zł programy polityki socjalnej, mocną, polską walutę, dobrą sytuację strony dochodowej budżetu i znacząco malejący deficyt sektora finansów publicznych. Zarabiają kopalnie i LOT, nie mówiąc już o wzroście notowań spółek skarbu państwa na Giełdzie Papierów Wartościowych, szacowanym na prawie 70 mld zł. Te pozytywne fakty są nie do podważenia i zostały potwierdzone przez międzynarodowe instytucje finansowe, Komisję Europejską oraz agencje ratingowe. Właśnie agencja Fitch potwierdziła rating Polski na poziomie A – minus z perspektywą stabilną na lata 2018–2019. I – co znacznie ważniejsze – obniżyła spodziewany poziom deficytu sektora finansów publicznych na 2017 r., który może się okazać sensacyjnie niski, nawet poniżej 2 proc. w relacji do rosnącego wyraźnie PKB. Spaść może również dług publiczny do poziomu 53,1 proc. i może on dalej się obniżać także w 2019 r. Polski eksport w 2017 r. bije kolejne rekordy, a w III kwartale wzrósł o niemal 8 proc.

Zgrzytają więc zębami wrogowie dobrej zmiany, kompromitują się tzw. eksperci ekonomiczni PO i Nowoczesnej, nie mogąc znaleźć racjonalnych argumentów, by uderzyć w dokonania rządu PiS. Żenująco i śmiesznie zarazem wyglądają dziś zarzuty, m.in. byłego ministra finansów rządu PO-PSL Jana Vincenta Rostowskiego, że to wszystko samo się zrobiło, bo PiS ma szczęście, trwa koniunktura światowa, a i PO-PSL zostawiły kraj kwitnący oraz mlekiem płynący po ośmiu latach swych rządów. Tylko jakim cudem zrabowano budżetowi i Polakom prawie 400 mld zł w ramach tzw. wyłudzeń i karuzeli VAT-owskich oraz CIT-owskich i przestępstw akcyzowych?

Jeszcze pod koniec 2016 r. zapowiadałem na łamach tygodnika „Sieci", że wyniki gospodarcze i finansowe w 2017 r. będą sensacyjnie pozytywne. Dziś mamy wiele tego dowodów: wzrost gospodarczy w IV kwartale może sięgnąć nawet ponad 5 proc., a w całym 2017 r. osiągnąć wielkość 4,5 proc., będzie niemal 30 mld zł więcej dochodów podatkowych budżetu, rekordowe wpływy z VAT – w okolicach 155 mld zł, rekordy w eksporcie, rekord nowo kupowanych samochodów – ok. 0,5 mln, a być może nawet 15-procentowy wzrost urodzeń młodych Polaków. Rozwijamy się dziś dwa razy szybciej niż średnio cała Unia Europejska, trzy razy szybciej niż Wielka Brytania i Włochy, prawie dwa razy szybciej niż Francja i możemy zdobyć europejskie podium w 2017 r.

Rynek mieszkaniowy w 2017 r. jest coraz bardziej rozpędzony, deweloperzy oddadzą w tym roku o 12–15 proc. mieszkań więcej, a pozwoleń na budowę jest niemal 30 proc. więcej niż rok temu.

To skuteczne wybijanie się na suwerenność gospodarczą eksponujemy medialnie i PR-owsko dość oszczędnie, znacznie bardziej eksponując coraz bardziej kabotyńskie popisy przed-



Fot. Shutterstock

eprasa.pl 150ab1bc81

stawicieli tzw. opozycji totalnej, często niepotrzebnie nagłaśniając antypolskie brednie i zdradzieckie popisy tzw. Europejczyków, zamiast skutecznie informować Polaków o rzeczywistych sukcesach w polityce społeczno-gospodarczej obecnej ekipy rządowej. Piramidalne kłamstwa o końcu demokracji, upadku gospodarki, zaniku praworządności i dyktaturze niczym w Korei Północnej urastają medialnie do rangi racjonalnych opinii, choć to zwykłe frustracje i zaklinania rzeczywistości.

> Wzrost gospodarczy w IV kwartale 2017 r. może sięgnąć nawet ponad 5 proc., a w całym roku osiągnąć wielkość 4,5 proc.

Polacy jednak widzą, ile mają w portfelach, i 7-procentowy wzrost płac w 2017 r. to nie jest ostatnie słowo. Agonia państwa teoretycznego, histeria i impotencja programowa, zwłaszcza ta w sferze gospodarczej i finansowej totalnej opozycji, przeradza się dziś już wyłącznie w agresję słowną, a nawet fizyczną z atakowaniem dziennikarzy włącznie. Oni wiedzą, że przegrywają wszystko, że tracą pieniądze i grunt pod nogami, a przede wszystkim tzw. rząd dusz. Prof. Balcerowicz nie tylko powinien wysypać sobie cały worek popiołu na głowę, co istotniejsze – powinien przeprosić Polaków za skrajnie szkodliwą tzw. terapię szokową i model rozwoju gospodarczego polegający głównie na wyprzedaży majątku narodowego za bezcen oraz tzw. schładzanie gospodarki. Dziś to właśnie rządowi PiS przychodzi sprzątać po nieudanych eksperymentach tzw. neoliberałów i zwykłych sprzedawczyków.

W nadchodzących latach 2018–2019 trzeba postawić na jeszcze bardziej dynamiczny rozwój, inwestycje i ponowne uprzemysłowienie Polski, zwłaszcza tej wschodniej, na repolonizację wyprzedanego majątku narodowego oraz odzyskanie krajowych rynków zbytu, w tym zwłaszcza przetwórstwa rolno-spożywczego, bo żywność będzie drożeć na świecie. Te odzyskiwane z takim trudem dla Polaków pieniądze trzeba mądrze i oszczędnie inwestować, a nie wydawać byle jak, byle szybko i byle dla obcych, jak to bywało za rządów PO-PSL. Jesteśmy dalecy od pychy, realnie oceniamy rzeczywistość i zagrożenia zewnętrzne oraz wewnętrzne, jak i własne słabości. Wiele jeszcze trzeba w Polsce zmienić, naprawić, trzeba będzie lepiej zadbać o zdrowie Polaków, ale też o ich wynagrodzenia. Trzeba ściągnąć do ojczyzny tych Polaków ze Wschodu oraz tych z Zachodu i sprawić, by kolejne lata rządów były dla naszych rodaków równie dobre, a może i lepsze niż naprawdę dobry 2017 r. Normalność i przyzwoitość przywracamy również w sferze gospodarczej i finansach publicznych.

OTWARTE STREFY AKTYWNOŚCI OSA

Ministerstwo Sportu i Turystyki ogłasza nabór do nowego

Programu rozwoju małej infrastruktury sportowo-rekreacyjnej o charakterze wielopokoleniowym Otwarte Strefy Aktywności (OSA)

Kto może składać wniosek:

- gminy
- powiaty
- samorządy
- fundacje
- stowarzyszenia
- uczelnie
- samorządowe osoby prawne
- inne podmioty posiadające osobowość prawną

Jeden wnioskodawca może złożyć jeden wniosek nawet na 5 stref w różnych lokalizacjach!

Wariant podstawowy (dofinansowanie do 35 tys. zł):

- Siłowania plenerowa (min. 6 różnych urządzeń),
- Strefa relaksu (minimum 4 ławki, urządzenia do gier, zagospodarowanie zieleni - nasadzenia).

Wariant rozszerzony (dofinansowanie do 70 tys. zł):

- Siłowania plenerowa (min. 6 różnych urządzeń),
- Strefa relaksu (minimum 4 ławki, urządzenia do gier, zagospodarowanie zieleni - nasadzenia),
- Plac zabaw o charakterze sprawnościowym (min. 3 urządzenia) z ogrodzeniem.

100 mln zł na rozwój małej infrastruktury w całej Polsce

Termin naboru wniosków:
15 stycznia - 15 lutego 2018 r.

Poznaj szczegóły programu: **msit.gov.pl**

Zapraszamy do tworzenia Otwartych Stref Aktywności w Twoim regionie.

MINISTERSTWO SPORTU I TURYSTYKI

39/1217/F

eprasa.pl 150ab1bc81



Fot. Shutterstock | 29/1077/F

Ciepło i prąd z odpadów

W 2018 r. PGE Polska Grupa Energetyczna skończy budowę instalacji termicznego przetwarzania odpadów, która jednocześnie ma produkować ciepło i prąd dla Rzeszowa. To pierwsza w Polsce tego typu inwestycja firmy energetycznej

Polskie prawo mówi, że zagospodarowanie odpadów to zadanie samorządów, więc to władze miast i gmin zajmują się tym, co jako konsumenci po sobie zostawiamy. Jedną z metod radzenia sobie ze śmieciami jest ich ponowne wykorzystanie, ale w Polsce większość śmieci po prostu trafia na składowisko. To jednak powoli staje się problemem, bo takie wysypiska są zwykle uciążliwe dla okolicznych mieszkańców, stare się przepełniają, budowa zaś nowych nie jest łatwa. Dlatego coraz więcej samorządów decyduje się na spalarnie śmieci jako najlepsze rozwiązanie problemu odpadów. Pierwsza taka instalacja powstała w roku 2000 w Warszawie, obecnie zaś takich zakładów pracuje lub powstaje osiem. Tyle że ten zakład, który budowany jest w Rzeszowie, różni się od pozostałych.

Rzeszowska instalacja termicznego przetwarzania odpadów budowana jest przez PGE Polską Grupę Energetyczną, a więc nie jest inwestycją samorządową. Jaką korzyść koncernowi energetycznemu daje taka instalacja? Przede

eprasa.pl 150ab1bc81

wszystkim będzie ona – podobnie jak inne tego typu obiekty w Polsce – produkować prąd i ciepło. To, że PGE jest producentem ciepła, jest powszechnie znanym faktem, jednak warto podkreślić, że po niedawno sfinalizowanej transakcji odkupienia od francuskiej firmy EDF elektrociepłowni oraz sieci ciepłowniczych Grupa PGE jest największym w Polsce wytwórcą ciepła.

Dodatkową zaletą jest to, że część energii wytworzona w instalacji termicznego przetwarzania odpadów jest z punktu widzenia regulacji europejskich traktowana jako „zielona", a więc umożliwia skorzystanie ze wsparcia dla ekologicznych źródeł ciepła. Obecna polityka polskiego rządu daje nadzieję, że takie wsparcie będzie kontynuowane po 2018 r., a jeśli ceny tych certyfikatów pójdą w górę, dodatkowo zwiększy to rentowność inwestycji PGE w Rzeszowie.

Ponadto instalacja, która powstaje w Rzeszowie, rzeczywiście jest ekologiczna. Ogólnie wiadomo, że w procesie spalania powstają szkodliwe substancje – np. dioksyny – oraz pyły, ale nie wszyscy wiedzą, że ilość tych substancji zależy m.in. od temperatury spalania i przede wszystkim jakości filtrów. Przy odpowiednio wysokiej temperaturze spalania ilość pyłów i szkodliwych substancji drastycznie spada, a „uzbrojenie" instalacji w urządzenia wyłapujące resztki szkodliwych substancji likwiduje zagrożenie dla zdrowia. Podobnie jest w przypadku zawilgocenia – im bardziej mokry jest „opał", tym więcej powstaje groźnych związków chemicznych. Będą tu przetwarzane osuszane odpady, co ograniczy produkcję niebezpiecznych substancji. Na dodatek temperatura spalania wyniesie między 850 a 1150 stopni, na co pozwala zastosowana w zakładzie technologia rusztowa. Wreszcie zakład będzie wyposażony w instalacje do oczyszczania spalin i filtry, co sprawi, że jeden komin zakładu będzie emitował np. mniej dioksyn (czyli substancji szkodliwych powstających w procesie spalania), niż powstaje przy spaleniu 10 papierosów. Identyczne zakłady funkcjonują w całej Europie i dbający o swoje zdrowie Europejczycy nie protestują przeciwko nim.

O tym, że przetwarzanie odpadów będzie miało coraz większe znaczenie, świadczy choćby to, że w niektórych krajach składowanych jest ich góra 10 proc. Tak na przykład robią Niemcy, Belgia, Szwecja, Holandia, Austria i Dania. Tam bowiem przetwarza się 50 proc. odpadów, a pozostałą część się spala. To rozwiązanie ekologiczne i przychylnie traktowane przez Unię Europejską.

Dla PGE Rzeszów może być poligonem doświadczalnym. Koncern po zakupie ciepłowni i sieci ciepłowniczych od EDF zamierza mocniej rozwinąć tę działalność. W połowie grudnia ogłosił strategię związaną z częścią ciepłowniczą. Wiadomo, że koncern zamierza inwestować i w nowe sieci ciepłownicze, i w nowe instalacje do produkcji ciepła, zwykle w kogeneracji (czyli jednoczesnej produkcji energii elektrycznej i ciepła). Może się okazać, że w niektórych miastach dodanie do tego miksu jeszcze instalacji termicznego przetwarzania odpadów zwiększy rentowność całego rozwiązania. Jeśli okaże się, że instalacja w Rzeszowie spełnia wymagania, jakie firma przed nią postawiła, być może takich zakładów pojawi się w Polsce więcej.



Grupa PGE kreuje energetykę jutra

Po finalizacji transakcji przejęcia polskich aktywów EDF Grupa PGE jest już nie tylko liderem rynku energii elektrycznej, lecz także ciepła. W związku z tym 14 grudnia ogłosiliśmy opracowywaną od miesięcy Strategię Ciepłownictwa, która prezentuje nasz długofalowy pomysł na rozwój tego sektora. W centrum zainteresowania postawiliśmy klienta i środowisko.

Zgodnie z założeniami strategii funkcjonujące w Grupie PGE aktywa kogeneracyjne, czyli takie, które jednocześnie produkują energię elektryczną i ciepło, zostaną włączone do spółki PGE Energia Ciepła. W ramach spółki PGE Energia Ciepła będzie funkcjonować również Elektrociepłownia w Rzeszowie.

Celem PGE jest pozycja lidera zmian środowiskowych w sektorze, osiągnięta poprzez działania na rzecz walki o czyste powietrze w polskich miastach. Chcemy dywersyfikować nasz miks paliwowy, by docelowo w 2030 r. spółka PGE Energia Ciepła osiągnęła poziom 50 proc. wykorzystania niskoemisyjnych źródeł energii.

Proces stopniowego zwiększania paliw niskoemisyjnych widać doskonale na przykładzie Elektrociepłowni w Rzeszowie, gdzie od połowy 2018 r. ultranowoczesna i ekologiczna Instalacja Termicznego Przetwarzania z Odzyskiem Energii stanowić będzie podstawowe źródło wytwarzania energii elektrycznej i ciepła. Zastąpi ona najstarsze kotły, które staną się urządzeniami szczytowymi, uruchamianymi sporadycznie, wyłącznie w okresach największego zapotrzebowania na ciepło w Rzeszowie. Dzięki temu powietrze w mieście będzie czystsze.

W ITPOE proces termicznego przetwarzania zmieszanych odpadów komunalnych będzie się odbywał w oparciu o sprawdzoną i popartą wieloletnim doświadczeniem eksploatacyjnym technologię z zastosowaniem kotła rusztowego. Instalacja będzie spełniała najwyższe kryteria w zakresie norm ochrony środowiska oraz najlepszych dostępnych technik, tzw. BAT. ITPOE będzie elementem kompleksowego systemu gospodarowania odpadami w Rzeszowie, a jej budowa i wydajność wynika bezpośrednio z potrzeb miasta w zakresie przetwarzania miejskich odpadów komunalnych. Odzyskana z odpadów energia zapewni latem ciepło niezbędne do ogrzania wody użytkowej dla całego miasta Rzeszowa.

Inwestycja realizowana w Rzeszowie idealnie wpisuje się w Strategię Ciepłownictwa Grupy Kapitałowej PGE, która chce być dobrym sąsiadem lokalnych społeczności i firmą ciepłowniczą pierwszego wyboru. Rozwój segmentu ciepłownictwa wzmocni bezpieczeństwo dostaw ciepła do milionów polskich domów i przyczyni się do rozwoju gospodarczego kraju.

***Henryk Baranowski**,*
prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej

eprasa.pl 150ab1bc81

Dobra energia

– z węgla, z sieci ciepłowniczej, z recyklingu i punktu ładowania

Problem smogu nie wiąże się bezpośrednio z wielkością miasta, zależy raczej od tego, jak ogrzewane są budynki – mówi nam Jacek Ławrecki, dyrektor ds. komunikacji Fortum Power and Heat Polska Sp. z o.o. – Trzeba wziąć pod uwagę, jak dużą część potrzeb ciepłowniczych miasta pokrywa sieć ciepłownicza, a w jakiej części ogrzewanie jest dostarczane z indywidualnych, niewielkich i niekontrolowalnych pieców

W Warszawie sieć ciepłownicza jest dobrze rozwinięta. Mniej jest pieców ogrzewających pojedyncze domy i niewielkich osiedlowych kotłowni. Smog w Polsce – temat numer jeden w czasie zimy – to problem dotyczący głównie indywidualnych palenisk: pieców węglowych zwanych „kopciuchami", w których teoretycznie można spalić wszystko.

ROZWIJAĆ SIEĆ CZY WYMIENIAĆ DOMOWE PIECE?

Biorąc powyższe pod uwagę, warto się zastanowić, czy w walce ze smogiem skupiać uwagę i publiczne środki na wymianie pojedynczych pieców, czy też na rozwoju sieci ciepłowniczej. Jak powiedział nam Jacek Ławrecki, strategia zależy od tego, czy rozważamy wybór metody ogrzewania zwartej zabudowy, czy też mówimy o osiedlu rozproszonych domków. W centrach miast najlepszym rozwiązaniem będzie oczywiście sieć ciepłownicza. Bardzo często owa sieć już istnieje, pozostaje zatem tylko kwestia przyłączeń. Takie warunki dotyczą np. starówek i historycznych centrów polskich aglomeracji – stare, często zabytkowe kamienice w centrach są opalane węglem z niewielkich pieców. To – np. w Krakowie – największe i najtrudniejsze wyzwanie w walce ze smogiem.

Fortum aktywnie zaangażowało się w rozwój sieci ciepłowniczej w stolicy Dolnego Śląska. – We Wrocławiu w rozwój i modernizację sieci ciepłowniczej zainwestowaliśmy przez ostatnie 10 lat ponad 200 mln zł. Sieć we Wrocławiu wydłużyła się o 70 km. To są najbardziej efektywne działania, bo ciepło systemowe po prostu jest ekologiczne. A przyłączenie zwartej zabudowy w centrum jest też rozsądne pod względem ekonomicznym.

Budowa sieci staje się mało opłacalna w przypadku rozproszonych domów na peryferiach. W takich miejscach dobrymi i akceptowalnymi rozwiązaniami są gaz, prąd lub np. pompy ciepła.



Fot. Tuomas Harjumaa/Kolia | 34/17/F

eprasa.pl 150ab1bc81

DOŚWIADCZENIA Z FINLANDII

Z zanieczyszczeniem powietrza, zwłaszcza ze smogiem podczas tzw. sezonu grzewczego, Europa walczy od dziesięcioleci. W wielu krajach problem został rozwiązany kosztem potężnego wsparcia i wieloletnich planów remontowych, a także restrykcyjnych przepisów ochrony środowiska. Pochodząca z Finlandii firma Fortum, obecna w Polsce od kilkunastu lat, doskonale zna zagadnienia związane z ograniczeniem emisji zanieczyszczeń do atmosfery. Fortum realizuje z sukcesem projekty z zakresu energetyki – od elektrowni wodnych, przez sieci ciepłownicze, elektrociepłownie, aż po elektrownie atomowe. W Polsce firma buduje i zarządza sieciami ciepłowniczymi we Wrocławiu, w Płocku i Częstochowie. Jest też właścicielem elektrociepłowni w Częstochowie, Bytomiu i Zabrzu. W tym ostatnim mieście właśnie realizuje swoją największą polską inwestycję. Nowoczesna elektrociepłownia w Zabrzu zostanie oddana do użytku w przyszłym roku i zastąpi dwie istniejące, by zaopatrywać w ciepło mieszkańców Zabrza i Bytomia.

– 21 grudnia elektrociepłownia w Zabrzu skończyła 120 lat. To już staruszka. Nowa wielopaliwowa elektrociepłownia zaopatrzy oba miasta, które połączymy rurociągiem. To inwestycja na niemal 1 mld zł. Dzięki nowej technologii z jednej strony stawiamy na węgiel – lokalne, polskie paliwo, które w Zabrzu jest dostępne. Z drugiej – także na paliwo alternatywne, tzw. RDF – wyjaśnia dyrektor Jacek Ławrecki.

TO NIE SPALINY Z ELEKTROCIEPŁOWNI

Polska energetyka oparta jest na węglu. Jak podkreśla dyrektor Ławrecki, trzeba pamiętać, że to nie nowoczesne elektrownie i elektrociepłownie węglowe winne są wzrostu poziomu smogu.

– Dzięki zbudowaniu nowej elektrociepłowni w Zabrzu zmniejszymy emisję pyłów 11-krotnie. Będzie to możliwe zarówno dzięki filtrom, które będzie posiadał nowy zakład, jak i dzięki technologii spalania. Warto powiedzieć, iż dzięki temu, że produkujemy i ciepło, i prąd w jednym procesie, wykorzystamy ok. 95 proc. energii, która jest w paliwie. To oczywiście znacznie wyższa efektywność, niż gdyby postawić oddzielnie elektrownię, a oddzielnie ciepłownię – komentuje Ławrecki.

Paliwo alternatywne – czyli wspomniany RDF – nie tylko pozwala obniżyć ilość składowanych na wysypiskach śmieci, lecz jest także elementem nowego trendu, czyli gospodarki zamkniętego obiegu. Idea ta polega na tzw. zamknięciu cyklu życia produktu, który obecnie po wykorzystaniu trafia na wysypisko.

DRUGIE ŻYCIE PRODUKTU

Istotą tego podejścia jest więc ponowne wykorzystanie przedmiotów oraz materiałów, a tym samym ograniczenie zużycia surowców i zmniejszenie ilości odpadów trafiających na wysypiska.

– Jeśli możemy coś wykorzystać ponownie lub odzyskać surowce, to powinniśmy to robić, ale jest pewna część odpadów, z których można już tylko odzyskać energię. Właśnie z takich pozostałości można wyprodukować paliwo, które później zamienimy na ciepło i prąd. Takie paliwo – oprócz polskiego węgla – będzie też wykorzystywane w Zabrzu. To także paliwo lokalne, wytwarzane przez wyspecjalizowane rodzime firmy – wyjaśnia przedstawiciel Fortum.

Firma stawia również na odnawialne źródła energii i chętnie dzieli się swoim doświadczeniem. W ramach drugiej edycji programu Wolontariatu Pracowniczego Fortum na dachu Żłobka Miejskiego nr 1 w Bytomiu zostały zainstalowane panele fotowoltaiczne. W ten sposób placówka zyskała możliwość korzystania z energii słonecznej i obniżenia rachunków za energię elektryczną. Latem, podczas najbardziej upalnych dni, nowoczesna instalacja umożliwia korzystanie z prądu za darmo.

W Częstochowie Fortum realizuje kompleksowy pakiet inwestycyjny mający na celu zwiększenie efektywności produkcji energii i poprawę jakości powietrza. Za ok. 50 mln zł Fortum wybuduje instalacje odsiarczania, odpylania i odazotowania spalin kotłów szczytowych zlokalizowanych na terenie częstochowskiej elektrociepłowni.

ELEKTROMOBILNIE

Skoro mowa o energetyce, nie można oczywiście pominąć inwestycji związanych z rozwojem elektromobilności. Fortum ma bogate doświadczenie w zarządzaniu sieciami ładowania samochodów elektrycznych. W ramach systemu o nazwie Charge & Drive jest operatorem ponad 1,5 tys. ładowarek na świecie, głównie w krajach skandynawskich. Firma aktywnie poszukuje kolejnych partnerów do współpracy i chce rozwijać swoją sieć w Europie. W Polsce Fortum rozpoczęło projekt rozwoju elektromobilności od współpracy z Energą.

– Z planów obecnego rządu, w którym za cel postawiono 1 mln pojazdów elektrycznych jeżdżących po polskich drogach, wynika, że elektromobilność to ważny dla Polski projekt. I my bardzo chętnie w tym procesie bierzemy udział. Największe doświadczenia mamy w Norwegii, która jest światowym liderem elektromobilności – przypomina dyrektor Jacek Ławrecki, zwracając uwagę, że oprócz samych samochodów potrzebny jest cały system przyjazny dla użytkownika. Za pomocą aplikacji każdy powinien móc znaleźć stację ładowania, naładować baterię samochodu, a rachunek za ładowanie otrzymać i opłacić wraz z rachunkiem za prąd.

– Tego typu rozwiązania oferujemy w Skandynawii, ale z łatwością można je przenieść na polski grunt. Dotychczas podpisaliśmy dwie umowy. Jedną z nich właśnie z Energą – będziemy dostarczać oparty na chmurze system umożliwiający sprawne ładowanie i rozliczanie samochodów elektrycznych. Jestem przekonany, że w Polsce rozwój tej technologii nastąpi niezwykle szybko. Uważam, że stosując odpowiednie rozwiązania, Polska ma szansę stać się jednym z liderów elektromobilności.

(max)

eprasa.pl 150ab1bc81

Kolejny nabór wniosków na operację typu „Inwestycje zapobiegające zniszczeniu potencjału produkcji rolnej”

Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa uruchamia kolejny nabór wniosków o przyznanie pomocy na „Inwestycje zapobiegające zniszczeniu potencjału produkcji rolnej” finansowane z budżetu Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014–2020

Tym razem jest to pomoc przeznaczona dla rolników, którzy prowadzą chów lub hodowlę co najmniej 300 sztuk trzody chlewnej na terenach objętych afrykańskim pomorem świń (ASF). Wnioski o wsparcie będzie można składać od 2 do 31 stycznia 2018 r. w oddziałach regionalnych ARiMR właściwych ze względu na położenie nieruchomości, w której prowadzony jest chów lub hodowla trzody chlewnej.

Maksymalna wysokość pomocy wynosi 100 tys. zł w całym okresie realizacji PROW 2014– 2020, lecz poziom dofinansowania nie może przekroczyć 80 proc. kosztów kwalifikowalnych poniesionych na realizację inwestycji. Wsparcie może być przeznaczone na wykonanie ogrodzenia chlewni lub utworzenie czy zmodernizowanie niecki dezynfekcyjnej funkcjonalnie związanej z chlewnią położoną na obszarze ASF.

Złożone przez rolników wnioski zostaną poddane ocenie. Liczba punktów zależy od liczby utrzymywanych świń w gospodarstwie oraz rodzaju inwestycji. Zgodnie z tymi kryteriami można otrzymać:

- od 2 do 6 punktów, gdy liczba świń wynosi od 300 do 800 sztuk – przy czym 6 punktów przyznaje się w przypadku, gdy liczba świń jest równa 800, a dla pozostałych wartości proporcjonalnie mniej, aż do 2 punktów dla wartości równej 300,
- od 2 do 6 punktów, gdy liczba świń wynosi od 800 do 1200 świń – przy czym 6 punktów przyznaje się w przypadku, gdy liczba świń jest równa 800, a dla pozostałych wartości proporcjonalnie mniej, aż do 2 punktów dla wartości równej 1200,
- 2 punkty – powyżej 1200 świń,
- 2 punkty – jeżeli operacja dotyczy niecki dezynfekcyjnej.



Więcej informacji można uzyskać w Biurach Wsparcia Inwestycyjnego Oddziałów Regionalnych ARiMR, Departamencie Działań Inwestycyjnych Centrali ARiMR (22) 318 47 00 i pod numerem bezpłatnej infolinii 800 38 00 84, a także na portalu internetowym ARiMR www.arimr.gov.pl.

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich

ARiMR

Program Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

„Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie”. Materiał opracowany przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Instytucja Zarządzająca PROW 2014–2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Materiał współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Pomocy Technicznej Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014–2020.

41/1217/F

eprasa.pl 150ab1bc81

Polska innowacyjność nagrodzona



Różne są miary cywilizacyjnego rozwoju, ale w dzisiejszych czasach jedną z głównych jest jakość funkcjonowania w społeczeństwie osób z niepełnosprawnością. Im więcej narzędzi, które umożliwiają osobom cierpiącym na rozmaite dysfunkcje pełną samodzielność, tym poziom rozwoju wyższy. Od grudnia tego roku Polska wykonała milowy krok w tej dziedzinie dzięki wprowadzeniu przez PZU najnowocześniejszego w Europie systemu obsługi klientów Głuchych i Niedosłyszących

W Polsce żyje ok. 50 tys. osób, które na co dzień posługują się polskim językiem migowym. Ich codzienne samodzielne funkcjonowanie, załatwianie spraw urzędowych czy korzystanie z punktów usługowych zależy od dostępu do tłumacza języka migowego. Tłumaczami są zazwyczaj bliscy niesłyszących, którzy opanowali język migowy, bądź też specjalnie wynajmowani specjaliści, którzy za swoje usługi pobierają wynagrodzenie. Codzienne funkcjonowanie niesłyszących jest więc uzależnione od innych i trudno wobec tego nazwać je samodzielnym. Sytuacja ta może jednak zdecydowanie się poprawić dzięki nowemu systemowi obsługi wprowadzonemu od grudnia tego roku przez największego polskiego ubezpieczyciela – PZU.

Innowacyjny sposób obsługi klientów Głuchych i Niedosłyszących wdrożony w PZU zyskał już uznanie nie tylko w Polsce. Nasz największy ubezpieczyciel został właśnie uhonorowany nagrodą Insurance Innovation of the Month, przyznawaną przez europejską organizację EFMA (European Financial Management Association), skupiającą bankowych i ubezpieczeniowych profesjonalistów, wyspecjalizowanych w marketingu i dystrybucji usług finansowych. Instytucja ta zrzesza ok. 3,3 tys. firm z ponad 130 krajów. Rozwiązanie, które zachwyciło ekspertów z EFMA, polega na trójstronnym połączeniu wideo przez internet z konsultantem w języku migowym. Dzięki temu osoby Głuche i Niedosłyszące są w stanie skorzystać z usług PZU samodzielnie, i to sprzed monitora domowego komputera, bez konieczności wychodzenia z domu.

– Osoby niesłyszące często przychodziły do oddziałów PZU z członkami rodziny, którzy występowali w roli tłumacza. Z tego powodu osoby te nie czuły się w pełni samodzielne i nie mogły załatwić swoich spraw bez konieczności dzielenia się informacjami, często wrażliwymi, z członkami rodziny – mówi Krzysztof Bachta, dyrektor zarządzający ds. strategii i rozwoju PZU.

Potrzeba zapewnienia osobom niesłyszącym pełni niezależności została zaspokojona od grudnia 2017 roku, gdy PZU we współpracy z firmą Migam wprowadził usługę umożliwiającą klientom Głuchym i Niedosłyszącym jednoczesne połączenie wideo z tłumaczem języka migowego oraz konsultantem PZU przez internet. PZU zapewnia, że jakość tłumaczenia jest profesjonalna i redukuje ryzyko nieporozumień. Usługa ogranicza również wysokie koszty związane z przyprowadzaniem tłumaczy do oddziałów PZU.

– Klienci mogą załatwić niemal każdą swoją sprawę i uzyskać informacje w sposób dyskretny, bez wychodzenia z domu i angażowania innych osób – mówi Grzegorz Goluch, dyrektor zarządzający ds. obsługi szkód i świadczeń w PZU. – Bardzo wzruszający był moment, gdy dowiedzieliśmy się od niemal 40-letniego mężczyzny, że dzięki takiej usłudze po raz pierwszy w życiu może samodzielnie załatwić swoją własną sprawę bez wtajemniczania i angażowania swojej mamy – dodaje.

Dzięki przyznanej nagrodzie PZU będzie automatycznie nominowane do rocznej nagrody EFMA – Accenture Innovation in Insurance Awards 2018. Można się też spodziewać, że wdrożone przez największego polskiego ubezpieczyciela rozwiązanie będzie teraz implementowane do firm w innych krajach. I taka jest właśnie idea innowacyjnej Polski, która wytycza nowe standardy na drodze cywilizacyjnego rozwoju.

(fs)

Fot. Shutterstock | 48/1217F

eprasa.pl 150ab1bc81

Innowacyjność, czyli inwestycja w obniżanie kosztów

Wyrażenie „innowacyjny" stało się w ostatnim czasie synonimem postępu, rozwoju, a dla firmy nawet przetrwania. Trudno bowiem wyobrazić sobie przyszłość własnego przedsięwzięcia bez wprowadzenia innowacyjnych rozwiązań

Jeśli przedsiębiorca pragnie trwać na rynku, wzbogacać ofertę czy też docierać do szerokiej grupy klientów, musi być „innowacyjny". Jednocześnie musi znaleźć sposób sfinansowania nowoczesnych rozwiązań, które z pewnością prędzej czy później zamienią się w zysk, ale zanim to nastąpi, trzeba je wdrożyć.

PO ŚRODKI NA INNOWACJE WYSTARCZY SIĘ SCHYLIĆ

Z danych pochodzących z raportu Pekao o sytuacji mikro i małych firm wynika, że firmy w 90 proc. na wdrażanie innowacyjności przeznaczają własne środki, na drugim miejscu są banki, a zaledwie 2 proc. pochodzi ze środków unijnych. I co najbardziej martwi, ten sam raport wskazuje, że zaledwie 25 proc. firm ma w planach wprowadzenie innowacyjności produktowych. Wielkość ta nie jest imponująca, a przedsiębiorcy muszą zdawać sobie sprawę z konieczności rozwoju technologicznego, bowiem rosną koszty pracy, koszty zatrudnienia, a według danych czy to GUS, czy NBP o pracowników coraz trudniej. W takiej sytuacji może się okazać, że taniej wyniesie wdrożenie innowacji wraz z przeszkoleniem zatrudnionych pracowników – co daje szansę na zwiększenie produkcji – niż próba znalezienia pracowników przy rosnących kosztach zatrudnienia i zwiększającym się popycie na pracowników.

Jeżeli przedsiębiorca zdecyduje się już na unowocześnienie swojego procesu produkcji, to należy się rozejrzeć za pozyskaniem funduszu na ten cel. Warto zatem się przyjrzeć dostępnym formom finansowania innowacyjności. W Banku Pekao jest dostępny dla mikro, małych i średnich firm kredyt na innowacje technologiczne. Kredyt ten jest w części spłacany w formie premii technologicznej ze środków unijnych. Pozyskane pieniądze można przeznaczyć na zakup nowej technologii i na jej wdrożenie. Można także wykorzystać go do zaadaptowania własnych rozwiązań technologicznych. Środki otrzymane z tego kredytu mogą zostać również przeznaczone na zakup nieruchomości, oczywiście pod warunkiem że będzie ona wykorzystywana wyłącznie do celów inwestycji technologicznej. Kredytem tym można sfinansować prawie wszystko, pod warunkiem że zainwestowane fundusze zasilą innowacyjny rozwój przedsiębiorstwa.

W ofercie Pekao pojawia się nie tylko kredyt dla tych, którzy chcą zastosować innowacyjne rozwiązania w swojej firmie, lecz istnieje także możliwość skorzystania z gwarancji ze środków unijnych z programu Inteligentny Rozwój na kredyty dla innowacyjnych firm. Propozycja ta jest także skierowana do mikro, małych i średnich firm. Polega to na tym, że kredyt inwestycyjny udzielony przez bank może zostać zagwarantowany nawet w 80 proc. Gwarancja dla firm jest darmowa, trzeba tylko spełniać kryteria innowacyjności. Kwota gwarancji może sięgać maksymalnie 2,5 mln euro i wspomniane 80 proc. kwoty kredytu, czas, na jaki może być udzielona, to 20 lat dla kredytów inwestycyjnych i 3 lata dla obrotowych. Korzyści ze skorzystania z gwarancji są ewidentne, zyskuje się bowiem dodatkową możliwość zabezpieczenia kredytu, bezpłatnie, bowiem brak opłat za udzieloną gwarancję, a poza tym wszystkie formalności są załatwiane w jednym miejscu – w banku.

Przedsiębiorcy powinni zdawać sobie sprawę z tego, że bez wdrażania innowacyjnych rozwiązań w swojej firmie ich oferta stanie się kosztowna – przez co nieatrakcyjna i zacofana, co w dłuższej perspektywie może doprowadzić do upadku przedsiębiorstwa.



Fot. Shutterstock

1/1117/F

eprasa.pl 150ab1bc81



eprasa.pl 150a

Holding zwiększy efektywność spółek kolejowych

Zbytnie rozdrobnienie polskiej kolei spowodowało, że podróżni zaczęli się gubić w gąszczu kolejowych spółek. Obok wieloletnich zaniedbań inwestycyjnych był to jeden z powodów spadku przewozów pasażerskich

Obecnie dzięki przeprowadzanym przez Grupę PKP zmianom, w tym wielkiemu programowi modernizacji linii, taboru i dworców, liczba klientów kolei znacząco rośnie. Aby utrzymać ten trend i sukcesywnie podnosić jakość oferowanych usług, Grupa PKP widzi potrzebę większej konsolidacji polskiego rynku kolejowego. Tygodnik „Sieci" zorganizował debatę poświęconą przyszłości tej gałęzi transportu, w której udział wzięli Krzysztof Mamiński, prezes zarządu PKP SA, i Marcel Klinowski, prezes Fundacji Projektów Obywatelskich.

Jednym z najbardziej kłopotliwych aspektów obecnego stanu rynku kolejowego są problemy z zakupem biletu na całą trasę przejazdu. Zdarza się, że klient musi kupować kilka biletów w różnych spółkach kolejowych, jako że te z sobą nie współpracują.

– To się wprawdzie zmienia, jako że już jest Pakiet Podróżnika, który obejmuje możliwość zakupu biletów trzech spółek kolejowych na jednym blankiecie, wiadomo także, że do tego rozwiązania wejdą kolejne spółki. Konieczne jest jednak stworzenie systemu, który ten proces zakupu usprawni. Jego powstanie będzie wizerunkowym punktem zwrotnym dla kolei – powiedział Marcel Klinowski.

Obecnie to rozwiązanie oferują spółki: PKP Intercity, Przewozy Regionalne oraz trójmiejska SKM, ale zainteresowanie wyraziło czterech kolejnych przewoźników.

Docelowy model wspólnego biletu ma objąć zarówno spółki kolejowe związane ze skarbem państwa, jak i przewoźników samorządowych.



Marcel Klinowski



Krzysztof Mamiński

Fot. Julita Szewczyk x2, materiały prasowe | 7/1217/F

– Mamy nadzieję, że tak pojmowany wspólny bilet, już powiązany z degresywną taryfą, będziemy mogli zaoferować na połączenia z rozkładu 2018/2019 – zadeklarował Krzysztof Mamiński, prezes zarządu PKP SA.

Zapowiedział także, że obecnie trwają ostatnie przygotowania do wdrożenia Pakietu Podróżnika w sprzedaży internetowej.

– Mamy już gotowy, przetestowany system sprzedaży biletów w ramach tego pakietu w wersji internetowej i mobilnej. I ta możliwość zostanie udostępniona po świętach Bożego Narodzenia. To oznacza, że będzie można już kupować bilety w internecie czy w wersji mobilnej na wyjazdy na tegorocznego sylwestra – powiedział Krzysztof Mamiński.

Zdaniem Krzysztofa Mamińskiego głównym problemem związanym z rozdrobnieniem rynku kolejowego jest nie tyle ustawa restrukturyzacyjna z 2000 r., ile następne zmiany, które nastąpiły po usamorządowieniu Przewozów Regionalnych. Ich właścicielami zostali marszałkowie województw, mając łącznie 100 proc. udziałów. Wielu z nich zaczęło jednak tworzyć swoje spółki, co skutkowało powstaniem różnych taryf, brakiem wygodnych przesiadek i chaosem informacyjnym.

– Efektem tego podziału kolei jest to, że przewoźnicy z sektora publicznego, zarówno należący do państwa, jak i samorządów, zaczęli z sobą konkurować. To doprowadziło do wzrostu kosztów funkcjonowania przewoźników, a w konsekwencji ogromnego spadku liczby pasażerów. O skali spadku świadczy to, że dopiero teraz mamy szansę na przewiezienie tylu pasażerów, ilu koleje przewoziły przed 2008 r. – powiedział Marcel Klinowski.

Jeden z ekspertów rynku kolejowego, którego także poprosiliśmy o opinię,

eprasa.pl 150ab1bc81

dr Jakub Majewski, prezes fundacji ProKolej, uważa, że zbyt głęboki podział doprowadził do erozji całego systemu kolejowego:

– Wielu z naszych sąsiadów wydzieliło z przedsiębiorstw państwowych spółkę infrastrukturalną i przewoźnika towarowego. My stworzyliśmy masę wąsko wyspecjalizowanych podmiotów, wierząc, że będą one zarabiały krocie na usługach sprzedawanych poza kolej albo że ustawią się w kolejce po nie prywatni inwestorzy. Tak powstały PKP Energetyka, Telekomunikacja Kolejowa, przedsiębiorstwa utrzymania infrastruktury. Rozliczenia wewnętrze spowodowały lawinowy wzrost cen tysięcy faktur wymienianych przez kolejarzy między sobą. Namacalnym skutkiem podziału na spółki jest brak wspólnej taryfy, biletu umożliwiającego przesiadki, skoordynowanego rozkładu jazdy.

Kilkanaście lat zajęło nam odbudowywanie poczucia, że powinniśmy znów współpracować i czuć się jedną branżą stawiającą czoła choćby konkurencji drogowej.

Krzysztof Mamiński zapowiedział, że Grupa PKP dąży do utworzenia holdingu. Chce także przyjąć rolę integratora polskiego rynku kolejowego:

– Chodzi o to, aby firmy kolejowe mogły z sobą współpracować na wspólnie ustalonych zasadach i wykorzystać efekt synergii w celu stworzenia lepszej i tańszej oferty dla pasażera. Nie ma zatem mowy o nacjonalizacji i powrocie do wielkiego przedsiębiorstwa państwowego, ale można stworzyć jeden wspólnie i sprawnie zarządzany organizm – powiedział prezes PKP.

Jakub Majewski zwraca jednak uwagę na różne aspekty konsolidacji rynku. Jego zdaniem, choć współpraca kolejowych firm jest potrzebna, to nie musi bezpośrednio się przełożyć na jakość obsługi pasażerskiej:

– Jeśli ma istnieć coś takiego jak Grupa PKP, to niewątpliwie potrzebny jest podmiot, który koordynuje jej działanie. Mam wrażenie, że jesteśmy w połowie drogi – utrzymujemy centralę w postaci PKP SA, ale nie przekazaliśmy jej odpowiedzialności za to, co się dzieje na torach. Na pewno potrzebna jest ścisła współpraca w dziedzinie infrastruktury – tak żeby uruchomienie pociągu nie wymagało podpisywania umów na dostęp do torów, dworców, kanałów radiowych, sieci trakcyjnej, informacji pasażerskiej itd. W Europie są kraje, w których kolej ma strukturę holdingową, i takie, gdzie państwo skupia się głównie na infrastrukturze i finansowaniu przewozów pasażerskich. Przyjęty model nie przesądza o sukcesie bądź porażce i ma wpływ bardziej na zarządzanie przedsiębiorstwami i finanse niż na jakość usług, które oferujemy klientom.



Jakub Majewski

Zdaniem Krzysztofa Mamińskiego to właśnie w obsłudze podróżnych będzie można zaobserwować konkretne korzyści płynące z holdingu. Takich możliwości współpracy jest mnóstwo. Od wspomnianego już wspólnego biletu po jednolity system sprzedaży, wspólne kasy i punkty informacyjne. Krzysztof Mamiński zwraca uwagę, że współpraca daje także szanse na wymianę kadr, wspólne szkolenia i lepsze wykorzystanie potencjału osób pracujących obecnie dla poszczególnych spółek. Co bardzo ważne, dzięki kooperacji możliwe będzie wspólne reagowanie w sytuacjach kryzysowych, czyli np. zastąpienie składu, który uległ awarii, pociągiem innego przewoźnika. Kolejny aspekt to szanse na obniżenie kosztów napraw taboru, zwłaszcza jeśli udałoby się stworzyć system wspólnych zakupów.

Utworzenie holdingu to również korzyści dla transportu towarowego i działalności logistycznej.

– Linia, którą realizowane są przewozy z Chin w ramach jedwabnego szlaku, wchodzi na polskie terytorium przez Małaszewicze. Tamten rejon wymaga dużych nakładów inwestycyjnych, konieczne jest więc współdziałanie podmiotów – czyli Cargo, PLK i PKP oraz ich spółek zależnych – w zakresie gospodarowania nieruchomościami, budowy centrów logistycznych oraz ich obsługi. Gdyby było to robione w ramach holdingu, decyzje zapadałyby w jednej organizacji – mówił Krzysztof Mamiński.

– Obecnie to wygląda tak, że właścicielem ziemi jest PKP, a torów – już PKP PLK. Do tego jeszcze trzeba dodać stacje transformatorowe, które dla odmiany należą do PKP Energetyka, niewchodzącej do Grupy PKP. Jeszcze bardziej skomplikowane są kwestie własności w przypadku dworców, gdzie perony najczęściej należą do jednej spółki, a budynki – już do innej. To powoduje, że nie da się często odpowiednio wykorzystywać tych nieruchomości, a wiec kolej nie może na nich zarabiać – powiedział Marcel Klinowski.

To wszystko w zgodnej ocenie obu rozmówców sprawia, że obecnie polskie koleje nie wykorzystują w pełni swojego potencjału.

– To jest absurdalne, bo marnujemy własny potencjał, tymczasem Niemcy nauczyli się, jak ten potencjał wykorzystywać. Skonsolidowali swoje spółki, które przejmują zamówienia państwowe, co sprawia, że pozycja niemieckich firm jest coraz mocniejsza. Efektem takich działań było kupienie DHL przez Deutsche Post i stworzenie globalnego operatora logistycznego. Takie działania można zrealizować również w Polsce, w skali regionu Europy Środkowo-Wschodniej – powiedział prezes Fundacji Projektów Obywatelskich.

– Rzeczywiście Niemcy głoszą, że są jak najbardziej za liberalizacją rynku przewozów, i dawno już rynek zliberalizowali, ale jeżdżą po swoich torach sami. Oczywiście, to może lekka przesada, ale tak naprawdę wszyscy wiedzą, że próba wejścia firm z zewnątrz na niemiecki rynek jest bardzo mocno utrudniona – powiedział prezes PKP, dodając, że liczy na to, iż dzięki realizowanym i planowanym zmianom także nasza kolej będzie coraz silniejsza i coraz bardziej konkurencyjna.

– Rok 2017 był bardzo dobry dla Grupy PKP. Myślę, że wyniki Grupy, kiedy już je ogłosimy, będą sporym zaskoczeniem dla rynku. Sukcesy notuje m.in. PKP Intercity, dobre wyniki ma PKP Cargo i spółki zależne. Wyraźnie widać, że w Polsce następuje renesans kolei – powiedział Krzysztof Mamiński.

eprasa.pl 150ab1bc81



Fot. Tomasz Mateusiak

Czy Przygoński stanie na podium?

12 grudnia w warszawskim kompleksie Mińska 65 ORLEN Team zaprezentował zawodników i maszyny, które pojadą w styczniowym Dakarze w barwach polskiego giganta naftowego. W zbliżającej się edycji najbardziej wymagającego rajdu świata będą to: Kuba Przygoński za kierownicą Mini John Cooper Works Rally, pilotowany przez Toma Colsoula, oraz debiutujący w Dakarze motocyklista Maciej Giemza, który pojedzie na KTM 450

eprasa.pl 150ab1bc81



eprasa.pl i50ab1bc81

O tym, jak trudnym i wyczerpującym rajdem jest Dakar, pisaliśmy już nieraz. W tym roku organizatorzy po raz kolejny zadbali o to, żeby ekipy uczestniczące w wyścigu nie miały prawa się nudzić. Trasa Dakaru 2018 wiedzie przez trzy południowoamerykańskie miasta: od startu w peruwiańskiej Limie, poprzez dzień odpoczynku w boliwijskim La Paz, po finisz w argentyńskiej Cordobie. Wielkie emocje zaczną się szóstego stycznia. Przez pięć pierwszych etapów zawodnicy będą się zmagać z piaskami Peru, pośród których trafią na wydmy wszelakich rozmiarów i kształtów, a sporą część trasy spędzą, jadąc wzdłuż pacyficznego wybrzeża. Po dojechaniu do Arequipy, miasta założonego na historycznym miejscu prastarej osady Inków, sportowcy zaczną się przyzwyczajać do górskiego klimatu. Już następnego dnia mijając peruwiańską granicę i przejeżdżając obok gigantycznego jeziora Titicaca, kierowcy wylądują w leżącej w sercu Andów stolicy Boliwii La Paz. Tam będą mieli dobę na regenerację sił, niezbędne naprawy dokonywane przez ekipy mechaników i aklimatyzację na wysokości, na której przeciętny człowiek ma problemy z regularnym oddechem. Dwa boliwijskie etapy to przede wszystkim właśnie walka z własnym organizmem, który będzie musiał zachować pełne skupienie przez niemal tysiąc kilometrów odcinków specjalnych przebiegających niekiedy na wysokości 3500 m n.p.m. Po wjeździe do Argentyny kierowcy będą musieli stawić czoła piaskowym równinom urozmaiconym przeprawami przez rzeki oraz wysokim temperaturom, w których trudno o zachowanie stuprocentowej orientacji. A właśnie ona jest niezbędna, aby się po prostu nie zgubić i nie tracić cennych minut. Finisz w Cordobie z pewnością będzie wspaniałą chwilą dla zwycięzców i smutnym wydarzeniem oglądanym na ekranie telewizora dla tych, którzy nie wytrzymają trudów rajdu.

Łącznie sportowcy pokonają 14 etapów, czyli niemal 9 tys. km. Połowę z tego stanowić będą odcinki specjalne. Jak co roku sportowcy wystąpią w czterech kategoriach: auta, motocykle, ciężarówki i quady. Zostanie rozegrany jeden wspólny etap maratoński dla wszystkich pojazdów, a jeden obejmie tylko motocykle i quady. Na starcie zameldują się 337 załóg, które przez pięć dni będą jeździć w górach na wysokości ponad 3000 m. Na początku stycznia do portu w Limie przybędą pojazdy europejskich zawodników, które wyruszyły w trzytygodniowy rejs z francuskiego Le Havre – po ich odbiorze i sprawdzeniu będą gotowe do startu, który nastąpi w sobotę podczas przypadającego w naszym kraju Święta Trzech Króli.

Polacy są reprezentowani na Dakarze w podobnej liczbie jak przed rokiem. W kategorii samochodów największe nadzieje wiążemy z Kubą Przygońskim z ORLEN Team, którego po raz kolejny będzie pilotować doświadczony Tom Colsoul. Dla Belga będzie to już trzynasta (oby szczęśliwa!) przygoda z Dakarem. Wcześniej przez ponad dekadę jeździł ciężarówką ze znakomitym Holendrem Gerardem de Rooyem, z którym triumfował w edycji 2012, a przez dwa lata wspomagał innego reprezentanta kraju tulipanów, Bernharda ten Brinke, tym razem w samochodzie. Przygoński wystartuje w największym rajdzie świata po raz dziewiąty. Przez sześć lat jeździł w klasie motocykli, gdzie jego największym sukcesem pozostaje szósta lokata w Dakarze 2014 oraz pierwsze miejsce wśród debiutantów w 2009 r. Za kierownicą samochodu z roku na rok idzie mu coraz lepiej: zaczął od piętnastej lokaty, przed rokiem zajął miejsce siódme, a w edycji 2018 ostrzy sobie zęby na podium. Nie są to marzenia bezpodstawne, bo Polak dysponuje nowym, lepszym autem, i, jak sam twierdzi, nie obija się podczas przygotowań do rajdu:

– W tegorocznej edycji pojedziemy nową konstrukcją Mini, która jest lżejsza o 100 kg i ma większy skok zawieszenia. Dodatkowo skorzystamy z nowych opon. Są to dość istotne zmiany i wierzę, że dzięki temu samochód będzie na tyle konkurencyjny, że pozwoli podjąć wyrównaną walkę z silnym teamem Peugeota. Cały czas trenuję siłowo i biegam prawie codziennie, co jest niezbędne, aby wytrzymać dwa tygodnie rywalizacji. Jestem również po treningach na symulatorze komputerowym oraz po testach w szybkiej Skodzie R5, co, mam nadzieję, przełoży się na jeszcze lepszą jazdę w moim wykonaniu. [...] Celem minimum jest poprawienie siódmego miejsca z ubiegłorocznej edycji. Dakar to jednak zawody, które weryfikują wszystko, i tak naprawdę oprócz świetnego





Fot. Tomasz Mateusiak | 50/117/F

przygotowania i niezawodnego samochodu musimy liczyć dodatkowo na dużo szczęścia. Trzymajcie kciuki.

Przygoński i Colsoul zaliczyli świetny sezon – zdobyli wicemistrzostwo w Pucharze Świata w rajdach terenowych, ustępując jedynie niezniszczalnemu Katarczykowi Nasserowi Al-Attiyah. Oczywiście nie tylko on będzie się liczył w walce o ostateczny triumf: w Limie wystartują także m.in. najbardziej utytułowany zawodnik w historii Dakaru Stephane Peterhansel z Francji; jego rodak i jednocześnie legenda rajdu, jeśli chodzi o jazdę motocyklem, Cyril Despres; w przeszłości gigant w rajdach WRC, Hiszpan Carlos Sainz; również reprezentujący Półwysep Iberyjski Nani Roma; posiadacz największej liczby tytułów rajdowego mistrza świata Sebastien Loeb; walczący o ponowne zwycięstwo, a będący co roku w czołówce reprezentant RPA Giniel de Villers. Większość wyżej wymienionych jeździ autami Peugeot – tak więc Przygoński będzie walczył nie tylko o wynik swój i ORLEN Teamu, lecz także o powrót konstruktorów Mini na fotel zwycięzców Dakaru. 32-latek z Warszawy jest największą, ale nie jedyną nadzieją Polaków wśród załóg samochodów: na Dakarze zobaczymy także dwóch naszych pilotów, jadącego z Benediktasem Vanagasem Sebastiana Rozwadowskiego i towarzyszącego Peterovi van Merksteijnowi Macieja Martona.

ORLEN Team ma także swojego przedstawiciela wśród motocyklistów. To pochodzący z podkieleckiego Piekoszowa Maciej Giemza, który w tym sezonie wywalczył mistrzostwo świata cross-country w kategorii juniorów. Absolwent Akademii ORLEN Team znakomicie wypadł podczas rajdów w Dubaju, Katarze i Maroku, a wygrywając kategorię Dakar Challenge podczas rajdu Merzouga, wywalczył sobie prawo do startu w debiutanckim Dakarze bez opłaty wpisowej. Jego talent rozwija się pod czujnym okiem mistrzów bezdroży i pustkowi, czyli Jacka Czachora i Marka Dąbrowskiego, a sam Giemza patrzy na swój start w realistyczny sposób:

– Dakar to wielkie wyzwanie i wyjątkowa przygoda dla każdego uczestnika, tym bardziej dla debiutanta. Do startu w tym legendarnym rajdzie podchodzę z pokorą i szacunkiem. Najważniejsze jest bezpieczeństwo i zdobycie doświadczenia, które zaprocentuje w przyszłości. W końcu jestem dopiero na początku mojej kariery sportowej, a start w Ameryce Południowej ma być kolejnym, ważnym krokiem w moim rozwoju. Bardzo intensywnie przepracowałem cały rok, co potwierdzają wyniki z ostatnich miesięcy. Mam nadzieję, że trening siłowy i ostatnie jazdy w Dubaju uda się przekuć w satysfakcjonujący wynik na Dakarze.



Jakub Przygoński
ur. 24.03.1983 r. w Warszawie
9. występ na Dakarze
wicemistrz świata w rajdach terenowych 2017
mistrz Polski w driftingu



Maciej Giemza
ur. 12.09.1995 r. w Kielcach
debiut na Dakarze
mistrz świata juniorów w rajdach terenowych 2017
mistrz Polski w enduro

Czyli – przede wszystkim ukończyć rajd, a na sukcesy w klasyfikacji generalnej jeszcze przyjdzie czas. Giemza jeździ na motocyklu KTM 450 Rally, który jest maszyną w zasadzie wszystkich czołowych postaci w motocyklowej odsłonie Dakaru: Sama Sunderlanda, Toby'ego Price'a, Matthiasa Walknera czy Gerarda Farresa. Nam, kibicom, wypada życzyć sobie powrotu do wspaniałej rywalizacji ciągnącej się przez dekadę, począwszy od edycji 2005, kiedy co roku po wygraną sięgał jeden z wielkiej dwójki: Marc Coma (obecny dyrektor sportowy Dakaru) lub Cyril Despres (obecnie jeździ w kategorii aut). Poza Giemzą z ORLEN Team będziemy śledzić także postępy pozostałych startujących w rajdzie Polaków.

Jubileuszowa, 40. edycja Dakaru to równocześnie 18. z rzędu rajd z udziałem ORLEN Team. Jak powiedział Michał Skuza z PKN ORLEN: – W tym roku na Dakar wysyłamy mniejszy, ale bardzo silny zespół. Liczymy na kolejny świetny wynik Kuby Przygońskiego, który po rewelacyjnym sezonie pokazał, że może się ścigać z najlepszymi. Młody motocyklista Maciek Giemza, który pod okiem Marka Dąbrowskiego i Jacka Czachora rozwija swój talent, jedzie zbierać doświadczenia, ale może nas pozytywnie zaskoczyć wynikiem, szczególnie wśród debiutantów [...] Na trasy Dakaru 2018 ruszamy z nową werwą.

Mamy nadzieję, że nieprzyjazne bezdroża Ameryki Południowej okażą się dla Polaków szczęśliwe i nasi kierowcy wrócą z Dakaru 2018 z tarczą.

Michał Muzyczuk



Nikt nie chce wylać dziecka z kąpielą

Zapowiadana od dawna regulacja wartego 3,5 mld zł rocznie rynku suplementów diety może niebawem stać się faktem. Chce tego administracja, ale i sama branża

Dyskusja o suplementach diety tonie w nadmiarze emocji. Z medialnej piany wyłania się wizerunek rynku w zasadzie niepotrzebnego, może nawet szkodliwego. Polacy mają nadużywać czy wręcz uzależniać się od suplementów, z których większość nie działa i oparta jest wyłącznie na efekcie placebo.

Argumenty branży i części ekspertów przebijają się rzadko. A ci wskazują, że stosowanie niektórych preparatów wynika wprost z zaleceń lekarza; że jest ogromna różnica pomiędzy dużym producentem sprawdzonych i przebadanych specyfików a garażową produkcją kolorowych proszków sprzedawanych przez internet czy wreszcie – że przedsiębiorcy (to prawda: nie wszyscy) sami zaczęli energicznie działać, by uregulować choćby sposób reklamowania suplementów.

W pewnym momencie z powierzchownych, sensacyjnych przekazów można było wywnioskować, że państwo chce w ogóle wyrugować suplementy ze sprzedaży, a już na pewno wyrzucić je z aptek. Świetnie współgrało to z tworzonym mozolnie przez przeciwników wizerunkiem PiS jako partii ze zideologizowanym podejściem do gospodarki oraz rządu, który chce za wszelką cenę przepychać nowe, antyrynkowe regulacje. Im bardziej drakońskie, tym lepsze.

NIE CHCEMY NISZCZYĆ

Dziś tę narrację można już włożyć między bajki. Wiadomo, że suplementy nie znikną z rynku, będą nadal rozprowadzane w aptekach i innych punktach sprzedaży, a zapowiadana jako „jedna z najbardziej rygorystycznych ustaw w tej kadencji parlamentu" nowelizacja ustawy o bezpieczeństwie żywności i żywienia wcale nie musi przybrać kształtu, który wywoła gwałtowne protesty branży. Uspokajająco działają sygnały płynące z otoczenia nowego premiera Mateusza Morawieckiego, a także jego oficjalne zapowiedzi, choćby z exposé, w których przewija się wciąż wątek wspierania rodzimej przedsiębiorczości, eksportu czy dobitnie wygłoszona teza o konieczności ekspansji polskich produktów żywnościowych na zagranicznych rynkach. Znaczna część firm produkujących suplementy (kwalifikowanych jako żywność) zarejestrowana jest w Polsce, eksport tych produktów rośnie, a niektóre działania proeksportowe prowadzone są m.in. pod egidą ministra rolnictwa.

– Pragnę wyraźnie podkreślić, że nikt w Polsce nie chce niszczyć rynku suplementów – mówi nam Jan Bondar, rzecznik Głównego Inspektora Sanitarnego. To właśnie w tym urzędzie powstał zrąb zapisów regulacyjnych, a twarzą batalii o uporządkowanie rynku stał się „rapujący minister" Marek Posobkiewicz. – Są wśród nich produkty wartościowe, których spożycie zalecają lekarze, chociażby witamina D czy popularny tran. My chcemy ten rynek tylko ucywilizować. Tak, żeby firmy prowadzące działalność w sposób rzetelny (a to w mojej opinii zdecydowana większość, pewnie ok. 90 proc.) nie musiały się mierzyć z tym, że obok nich są firmy łamiące prawo, handlujące byle czym, konkurujące nieetyczną reklamą, a nie jakością produktu.

RĘKA DO ZGODY

Rękę do zgody wyciągają producenci, przynajmniej w oficjalnych stanowiskach. Ich branżowe związki i stowarzyszenia podkreślają nieustannie chęć debaty i pracy nad odpowiednimi regulacjami.

„Branża jest zwolennikiem poprawienia kontroli nad rynkiem suplementów diety, aby można było sprawnie nie tylko eliminować produkty sprzedawane niezgodnie z obowiązującymi przepisami prawa, ale również nie dopuszczać do ich pojawienia się w obrocie" – czytamy w oświadczeniu Związku Producentów i Dystrybutorów „Suplementy Polska", będącym odpowiedzią na tegoroczny raport NIK, w którym gwałtownej krytyce poddano nie tylko producentów, lecz także organy państwa odpowiedzialne za nadzór nad rynkiem. Producenci deklarują też wsparcie dla rozmaitych akcji edukacyjnych prowadzonych przez agendy państwowe. Swoje starają się dołożyć farmaceuci – także dlatego, że to apteki są potężnym beneficjentem wzrostów na rynku suplementów.

„Negowanie, krytykowanie i narzekanie na suplementy diety nie jest rozwiązaniem. Przynajmniej nie takim, które przystoi farmaceucie. Zamiast temat ignorować i deprecjonować, trzeba go po prostu wziąć za rogi. Przed suplementami diety nie uciekniemy. Ale możemy się nauczyć, jak odróżniać te wartościowe, potrzebne i wiarygodne od marketingowych potworków wątpliwej jakości" – apelował na łamach opiniotwórczego w środowisku portalu Mgr.farm jego redaktor naczelny, a zarazem członek Naczelnej Rady Aptekarskiej Łukasz Waligórski.

NOWELIZACJA W TOKU

Jednocześnie trwają prace nad nowelizacją ustawy o bezpieczeństwie żywności i żywienia. Co się w niej znajdzie? Kluczowe zmiany dotyczą dwóch kwestii. Pierwsza z nich nie budzi w zasadzie wątpliwości i polega na wprowadzeniu

eprasa.pl 150ab1bc81

opłat za wejście suplementów do obrotu oraz za zmiany w już sprzedawanych produktach. Mają one wynieść odpowiednio 1 tys. i 500 zł. Regulacja z pewnością ograniczy liczbę suplementów zgłaszanych do GIS, którą dziś szacuje się na poziomie od kilku do nawet kilkunastu tysięcy rocznie. Część z nich to „garażowe" produkty, wytwarzane poza Polską i sprzedawane także przez internet. Zalewana wnioskami inspekcja nie jest w stanie odpowiednio ocenić dokumentacji. Pieniądze od firm pomogą też odpowiednio wykorzystać możliwości GIS, który – co podkreśla wielu ekspertów – już dziś posiada narzędzia, by skutecznie regulować rynek. Nie może jednak z nich korzystać z powodu chociażby braków kadrowych. – Środki z opłaty zostaną wykorzystane m.in. na prowadzenie badań suplementów, tak by eliminować te niebezpieczne dla konsumentów – podkreśla Jan Bondar.

Pewne kontrowersje budzi za to kwestia kar za wprowadzające w błąd reklamy suplementów. Branża podjęła tu próbę samoregulacji, przyjmując kodeks dobrych praktyk w reklamie, w którym wyraźnie podkreśla się kwestię rozróżnienia pomiędzy suplementami a lekami, a także zakazuje wykorzystania wizerunku lub rekomendacji lekarza, farmaceuty, pielęgniarki czy położnej. Zdaniem projektodawców zmian w legislacji jest to krok w dobrym kierunku, ale niewystarczający.

20 MLN KARY?

– Sankcje są potrzebne, konsument musi wiedzieć, co kupuje. To zresztą działanie w interesie samej branży, bo rynek jest psuty przez wąską grupę firm bazujących na oszukiwaniu konsumentów i konkurentów – podkreśla Jan Bondar.

Niepewność mogą jednak wywoływać zapisy o procedurze nakładania kary – nie do końca bowiem wiadomo, jak w praktyce będzie wyglądać interpretacja „wprowadzenia w błąd" przez reklamę. Poważne zastrzeżenia budzi też wysokość grzywny, która ma wynieść nawet do 20 mln zł. Z jednej strony tak poważna kara może powalić nawet dużą firmę, z drugiej – będzie trudna (uczciwiej powiedzieć – niemożliwa) do wyegzekwowania od niewielkich przedsiębiorstw działających w formie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. A to takie firmy najczęściej odpowiadają za nie najlepszy wizerunek branży.

„Kluczowym błędem jest traktowanie suplementów diety w niektórych przypadkach surowiej niż leków" – przekonywała we wrześniu na łamach „Dziennika Gazety Prawnej" dr Daria Wierzbińska, radca prawny w kancelarii Kieszkowska Rutkowska Kolasiński.

Dość ostrożnie o nowelizacji ustawy, zwłaszcza w kontekście reklamy, wypowiada się Ministerstwo Zdrowia. Rzeczniczka resortu zaznacza, że nowe regulacje muszą być koherentne z unijną dyrektywą w sprawie wspólnotowego kodeksu odnoszącego się do produktów leczniczych stosowanych u ludzi.

– Ministerstwo Zdrowia dostrzega konieczność doregulowania kwestii dotyczących reklamy suplementów diety, jednak zmiany te muszą być zgodne z przepisami ww. dyrektywy i w związku z tym nie ma możliwości, aby do polskiego prawa wprowadzić przepisy wykraczające poza zakres regulacji tego aktu prawnego – podkreśla w odpowiedzi na nasze pytania Milena Kruszewska.

Kiedy nowelizacja trafi pod obrady Sejmu? Tego nikt oficjalnie nie chce powiedzieć. Poza protokołem nasi rozmówcy wskazują, że tym terminem może być luty 2018 r.

Piotr Filipczyk

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 150ab1bc81

Procenty galaktyki



Kiedy odchodzący rok żegnają na wielkim ekranie „Gwiezdne wojny: Ostatni Jedi", a na zagubionego w „Dżungli" Daniela Radcliffe'a nie polują już dementorzy, tylko znacznie mniej kultowe strachy, zaświadczając, że skończył się ważny dla wielu etap Harry'ego P., można przeszłość pożegnać symbolicznym drinkiem; np. w czasie sylwestrowej zabawy – jeśli na okolicznościowym toaście się skończy – bo w tę noc warto jak najdłużej zachować przytomność umysłu, a filmowe procenty solidnie uderzają do głowy.

Mamy też w perspektywie szmat karnawału. I szansę, by dawnych bohaterów, a może i wciąż żywe sentymenty z nimi związane, uczcić odpowiednim napitkiem i po sylwestrze.

Trunki dedykowane ekranowym bohaterom, wstrząśnięte lub zmieszane, mają – jako się rzekło – moc. I to całkiem konkretną. Choćby Darth Vader, w którego oryginalnym składzie obok wódki, rumu, ginu i tequili znajdziemy likier Triple Sec i Jägermeistera.

Znawcy zauważają, że to wariant popularnego drinka Long Island Ice Tea, tyle że colę zastępuje w nim Jägermeister. Podobnie się go także przygotowuje. W shakerze miesza się pięć przezroczystych alkoholi, wlewa do szklanki, a następnie polewa np. miksem cytrynowym (Sweet & Sour Mix) i Jägermeisterem.

Zaradni rodacy dostrzegli przy tym, że drogie składniki Darth Vadera bez szkody dla walorów smakowych koktajlu można zastąpić tańszymi zamiennikami. Jednocześnie podkreślają, że to imprezowy cichy zabójca. Wyraźna nuta cytryny złamana likierem ziołowym skutecznie tuszuje procentową moc. Warto o tym pamiętać, mając w planach skosztowanie i innych napitków odwołujących się do filmowej galaktyki. Choćby drinka z Tatooine, który podzielił internautów. Jedni w jego składzie uwzględniają 90 ml mleka i 30 ml śmietanki zmieszanych z 30 ml kokosowego rumu, 30 ml Amaretto i 60 ml Blue Curaçao. Inni stosują zamienniki.

Niebieskie mleko Bantha – informują znawcy tematu – to „wydzielina z gruczołów mlekowych włochatych, powolnych, roślinożernych zwierząt Tuskenów z Tatooine. Można się go napić w barach całej Galaktyki – zarówno w Kantynie Mos Eisley na Tatooine, jak i w Jadłodajni Dexa na Coruscant".

Ci, którzy nie chcą łączyć mleka z alkoholem, stworzyli wersję alternatywną napitku. Zamiast pomarańczowego Curaçao wlewają 40-procentowy, anyżkowo-owocowo-ziołowy likier Sambuca, który skutecznie mętni napoje, nadając im odpowiedni charakter i – znów – ukrywając moc. Zupełnie inaczej, niż to się dzieje w przypadku ognistego drinka z alternatywnego świata czarodziejów.

Dwie dekady po ukazaniu się pierwszej książki o Harrym Potterze toast na cześć bohaterów, którzy potrafili skupić wokół siebie tylu fanów, pomoże spełnić płonący Goblet of Fire. Tylko trzeba zmieszać: 30 ml wódki, 30 ml blue Curaçao, 90 ml lemoniady, odrobinę rumu 151 i cynamon.

Zamiast do magicznego kociołka, wódkę, Blue Curaçao i lemoniadę wystarczy wlać do dużego kieliszka, dodać odrobinę rumu 151, następnie podpalić i wrzucić w płomienie szczyptę cynamonu (dzięki temu będą iskry). Przed spełnieniem toastu oczywiście warto ugasić płomień.

***Jolanta** Gajda-Zadworna*

Mleko Bantha z Tatooine

przepis ze strony Kuchniazwyrakiem.blogspot.com

Składniki: 30 ml likieru Sambuca, kilka kropel Blue Curaçao, niegazowana woda mineralna, drobny lód



Przygotowanie: Do małej szklaneczki na odrobinę drobno skruszonego lodu przelać Sambucę. Dopełnić wodą i lekko zamieszać, aż drink zrobi się mleczno-biały. Następnie dolać Blue Curaçao, ale tylko tyle, by drink nabrał odpowiedniego koloru, i zamieszać.

Fot. Shutterstock (x3)

eprasa.pl 150ab1bc81



SŁODKO-SŁONY

Przepis na hasanie

ANNA MONICKA

Coś miłego na początek roku? Oczywiście kolacja, po której można tańczyć do białego rana i nie cierpieć katuszy kaca następnego dnia. Moja propozycja to dobrze zakamuflowane witaminy podane do szampana. Wszystkie dania robimy błyskawicznie, żeby nie tracić w kuchni energii przeznaczonej na tańce.

Na początek grzanki w kilku odsłonach. Z łososiem, bruschettą, kozim serem i burakiem – dla mięsożernych i zwolenników wege. Najpierw pieczemy pokrojoną na cienkie kromki bagietkę, posmarowaną czosnkowym albo chrzanowym masłem; na gorące chlebki będziemy nakładać farsz.

Ze świeżego fileta robimy tatar z dużą ilością kopru, czosnku i świeżego soku z cytryny – smarujemy i podajemy. Z kilku dorodnych pomidorów usuwamy skórkę i żel z nasionami, a sam miąższ kroimy w kostkę. Dodajemy posiekaną cebulę, żółtą papryczkę i kolendrę – nakładamy. Na plasterek pieczonego buraka kładziemy ser kozi, polewamy gęstym balsamico i na grzankę.

Faszerowane pieczarki to kolejna prosta i smaczna przekąska na sylwestrową noc. Oczyszczone grzyby skropione oliwą napychamy pastą pietruszkowo-ricottowo-migdałową, oprószamy pieprzem i przez pół godziny zapiekamy. Tę samą pastę można wyłożyć na talarki cukinii. Łódeczki z czerwonej papryki z pasztetem oliwkowo-serowym to kolejny hit. Oliwki – czarne lub zielone – mielimy z odrobiną dojrzewającego sera pecorino, czosnkiem i garścią nerkowców, a potem zapiekamy w papryczce.

Zupa idealna to taka, po której jeszcze będzie się chciało skakać. Najlepszy jest krem dyniowy lub ziemniaczany na lekkim bulionie warzywnym z groszkiem ptysiowym albo prażonymi nasionami słonecznika czy dyni.

Na deser sałatka. Idealna będzie taka z pokrojonej w kostkę galaretki z dodatkiem winogron, daktyli, pomarańczy i jędrnych bananów z posypką z orzeszków piniowych. Albo mrożony arbuz z szampanem – zamiast typowego sylwestrowego dzwoneczka.

Gdybyście padali ze zmęczenia wcześniej niż inni goście, na nogi postawi was kawa zaparzona w tygielku, z kilkoma ziarenkami kardamonu i miodem.

Udanej zabawy!

WINNICA MAZURKA

Rumun z Orient Expressu

ROBERT MAZUREK

Dziś, szanowni państwo, wybierzemy się na Wołoszczyznę. Nie, żeby tam teraz jakoś nadzwyczaj pięknie było albo i działo się tam co niezwykłego, lecz dlatego, że tam nas jeszcze nie widzieli. A powinni, w końcu mamy kawał wspólnej historii.

Wołoszczyznę na mapie znaleźć łatwo, to południowa, nizinna część dzisiejszej Rumunii, ta z Bukaresztem, od Morza Czarnego po Serbię. To na multańską stronę wyprawiali się bohaterowie Trylogii, to stamtąd uciekali przed Turkami osadnicy, po których ślady zostały w Bieszczadach. Wpadniemy do Dragasani, niedużego, nudnego i brzydkiego miasteczka, które butelkuje wszystko, co ma najlepszego. Bo Dragasani to stolica jednego z najstarszych i najlepszych regionów winiarskich w Rumunii.

No ale właśnie, czy w ogóle jest sens picia win z kraju Draculi i Ceaușescu, co zresztą na jedno wychodzi? Jeszcze niedawno zawahałbym się – rumuńskie, podobnie jak bułgarskie, winiarstwo komunizm zniszczył do cna. Lata 90. to niemrawe próby odrodzenia go wedle schematu – róbmy wina jak wszędzie, to się musi sprzedać. Na szczęście teraz Rumuni przychodzą po rozum do głowy i zaczynają stawiać na to, co u nich oryginalnego.

Prince Stirbey, posiadłość z kilkusetletnią tradycją, z której wina podawano w Orient Expressie, również bierze udział w tym zacnym procederze. Negru de Dragasani to szczep powstały ze skrzyżowania dwóch rdzennie rumuńskich odmian. Soczyste wino z 2016 r. ma piękny, oszałamiający bukiet i uderza owocową świeżością. Jest pyszne, zdecydowanie do zimowych mięs i wędlin. Novac to z kolei dziecię negru vartos – najstarszego szczepu gruzińskiego i słynnego gruzińskiego saperavi. Efekt? Samo się może starzeć, ale już teraz jest pięknie zaokrąglone i zrównoważone. Trzeba spróbować.



Prince Stirbey Negru de Dragasani 2016 / 59 zł

Prince Stirbey Novac 2013 / 74 zł

Winnacja.pl

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

eprasa.pl 150ab1bc81

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Rośnie frekwencja, rośnie PiS

Koniec roku przynosi ciekawe badania socjometryczne firmy Kantar Public. Kantar to po polsku nazwa podręcznej końskiej uzdy, ale bez krępującego konia wędzidła, co należy odebrać pozytywnie, gdyż badania sympatii politycznych przeprowadzane w III RP nauczyły nas nieufności. Często mieliśmy wrażenie, że takie badania są częścią kampanii politycznej tej partii, która ma największe wpływy w establishmencie i najwięcej pieniędzy. No cóż. Kto płaci albo kto trzyma końskie wędzidło, ten wymaga.

Miarą prawdziwego sukcesu dobrej zmiany będzie wysoki procent ludzi, którzy chcą głosować

Ale wyniki badań Kantar Public bez wędzidła w postaci zlecenia ze strony Prawa i Sprawiedliwości i polskiego rządu stają się wiarygodniejsze i muszą budzić zrozumiałe zainteresowanie. Także dlatego, że Kantar Public jest częścią dużej międzynarodowej instytucji Kantar Group utworzonej w 1993 r. w Londynie, działającej w stu krajach i zatrudniającej ponad 30 tys. pracowników. Miejmy nadzieję, że trzymają naukowe, bezstronne standardy.

Kantar Public zaprezentował w grudniu dwa sondaże. Pierwszy tuż po desygnowaniu na premiera Mateusza Morawieckiego na zlecenie dziennika „Fakt", który należy do niemiecko-szwajcarskiego wydawnictwa Ringier Axel Springer. Wyniki sondażu stały się dla wielu mediów wydarzeniem numer jeden, prawdziwym newsem, gdyż na pytanie: „Na kogo byś głosował, gdyby wybory miały się odbyć w najbliższą niedzielę?", 50 proc. poparcia zdobyło Prawo i Sprawiedliwość. Można z tego wyciągnąć wniosek, że połowa Polaków zagłosowałaby na PiS, a dalej – 17 proc. na Platformę Obywatelską, 11 proc. na Kukiz '15, 8 proc. na Nowoczesną, 5 proc. na SLD, a tylko 3 proc. na PSL, które w ten sposób nie dostałoby się do parlamentu.

Drugi sondaż, także przeprowadzony w grudniu 2017 r., daje PiS 40 proc. poparcia, Platformie Obywatelskiej 17 proc., Nowoczesnej i Kukiz '15 po 7 proc., PSL 5-proc. poparcie, a SLD, tym razem, z 2-proc. poparciem, znajduje się poniżej progu wyborczego i nie wchodzi do Sejmu. Pytanie brzmiało, jak poprzednio: „Na kogo byś zagłosował, gdyby teraz odbyły się wybory do Sejmu".

Tak więc wśród wyborców, którzy są zdecydowani głosować, bezapelacyjnie wygrywa PiS. Ma więcej zwolenników niż wszystkie pozostałe partie. A tych gotowych pójść na wybory jest aż 65 proc. badanych przy próbie reprezentatywnej 1018 osób w wieku powyżej 18 lat.

Czekam na kolejne badania firmy Kantar Public po to, aby się upewnić, czy ta tendencja się utrzyma. Jeżeli tak, to miarą prawdziwego sukcesu dobrej zmiany będzie wysoki procent ludzi, którzy chcą głosować, i równocześnie, jak teraz, niski, bo 13-proc. udział wyborców deklarujących, że w przyszłych wyborach na pewno nie zagłosuje.

Wiemy, jak było w III RP. Z 30,5 mln osób uprawnionych do głosowania uczestniczyło w wyborach 15,5 mln Polaków, a więc niecałe 51 proc. Czyli 15 mln, 49 proc. uprawnionych, miało wybory gdzieś, najczęściej twierdząc, że nic one w ich życiu nie zmienią. Jakże ubolewano zarówno na lewicy, jak i na prawicy nad tym smutnym faktem, który stawiał Polskę na szarym końcu, jeśli chodzi o frekwencję wyborczą. Ileż razy powtarzano, że nieobecni nie mają racji albo że nie wolno krytykować władzy, jeżeli nie uczestniczy się w wyborach.

I to może się wreszcie zmienić. Do głosu może dojść olbrzymia grupa Polaków dotąd niechętnych każdej władzy, sceptycznych wobec politycznych elit, które miała w pogardzie. To dlatego do zawodów o najmniejszym stopniu zaufania zaliczani są politycy, ci, którzy przed wyborami obiecują, a po głosowaniu natychmiast zapominają o wyborczych hasłach „dla ludu".

Prawo i Sprawiedliwość po raz pierwszy udowodniło, że swoje obietnice wyborcze traktuje poważnie i realizuje je po wyborach, o czym każdy może się przekonać. To zupełnie inna jakość rządzenia, dla którego wsparciem na przyszłość są właśnie te ostatnie sondaże preferencji wyborczych.

Poza tym, i jest to chyba oczywiste, w grupie ludzi dotychczas obojętnych na wybory nie znajdują się zwolennicy demokracji liberalnej, czyli większości partii reprezentujących III RP. Nie są to też, należy sądzić, zwolennicy obecnej opozycji i ogólnie lewicy, złodziejstwa, teraźniejszych sądów, antyklerykalizmu i zaślepienia Unią Europejską.



Widmo przyszłości

Nic dwa razy się nie zdarza i nie zdarzy" – pisała Wisława Szymborska. Żyjący lata świetlne przed noblistką Kohelet miał na ten temat inne zdanie: „Jeśli jest coś, o czym by się rzekło: Patrz, to coś nowego – to już to było w czasach, które były przed nami". Zaprowadziło go to do wniosku, że „to, co było, jest tym, co będzie, a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie, więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem". Kto ma rację? Żeby rozstrzygnąć ten problem, przyjrzyjmy się dziejom naszej ojczyzny w XVIII w.

Już w końcu XVIII w. wprowadzaniu reform ustrojowych w Polsce towarzyszył wrzask totalnej opozycji

W epoce saskiej rządzili Polską władcy wychowani w kulturze niemieckiej. Historia nałożyła na ich barki brzemię, którego nie mieli ochoty dźwigać. „Polskość to nienormalność" – takie skojarzenie nasuwało im się z bolesną uporczywością, kiedy dotykali niechcianego tematu. August II Mocny postawił więc na polityczny piar, a August III wprowadził modę na powszechne grillowanie. A że do pieczeni najlepsze jest wino, większość interesów załatwiano przy kielichach. W rozpasanej Rzeczypospolitej rosły wpływy oligarchów, wzmagał się pacyfizm szlachty, kwitła korupcja, szerzyła się propaganda prusko-rosyjska, kurczył się potencjał militarny.

Jest faktem, że potomkowie Sarmatów zawsze cenili wiejski spokój, uroki rodzinnego życia i sielskie krajobrazy. Jednak dotąd na równi z tymi wartościami stawiali męstwo i miłość ojczyzny. Jako regularny zaciąg albo pospolite ruszenie tworzyli trzon zwycięskich armii spod Chocimia czy Wiednia. Dopiero w epoce saskiej całkowicie porzucili rycerskie tradycje, zaszyli się w swoich posiadłościach i wołami nie sposób ich było stamtąd wyciągnąć. Można powiedzieć, że postawili na rozwój Rzeczypospolitej samorządowej. Podczas lokalnych sejmików debatowali głównie nad własnymi potrzebami. Z tajemniczych względów byli przekonani, że Polsce nic nie zagraża, z wyjątkiem absolutyzmu władców. Twierdzili, że im będzie mniej wojska, tym będziemy bezpieczniejsi. Rezygnując z wojennych ambicji i nie stanowiąc zagrożenia dla ościennych mocarstw, zyskamy święty spokój. Zresztą najważniejsza i tak jest ciepła woda w studni.



Następnie mieliśmy na tronie Stanisława Augusta Poniatowskiego, który wprawdzie nie pomieszkiwał w Budzie Ruskiej, ale posłusznie realizował ruskie instrukcje, za co – jak później ustaliła komisja lustracyjna Tadeusza Kościuszki – brał solidne pieniądze z carskiej ambasady. Prawdziwą szansą na odrodzenie państwa stała się konstytucja uchwalona 3 maja 1791 r. Niestety, wprowadzaniu reform ustrojowych towarzyszył wrzask totalnej opozycji. Nie umiejąc się pogodzić z utratą dotychczasowych przywilejów, targowiczanie krzyczeli, że odbiera się im wolność, a o interwencję prosili siły zagraniczne. Błagali, nalegali, aż się doczekali.

Scenariusze układane na podstawie historycznych analogii mają to do siebie, że mogą się sprawdzić do końca, ale – na szczęście! – nie muszą. Nie każdy fakt z epoki przedrozbiorowej pasuje do obecnych czasów. Tropy się plączą, wzorce osobowe mają nieostre granice. Bez wątpienia jednak istotą dzisiejszego podziału w polskim społeczeństwie pozostaje stosunek do własnego państwa. Ci, którzy czują się jedynie jego klientami, idą śladem targowiczan. Chcąc się bogacić w miłej atmosferze, domagają się, aby rządzący realizowali interesy mocarstw. Ci, którzy czują się współtwórcami Rzeczypospolitej, wiedzą, że bez suwerennej polityki zagranicznej państwo nie ma przyszłości.

U progu nowego roku życzę Państwu wszystkiego dobrego. I to w podwójnym znaczeniu. Czytelnikom tej rubryki składam serdeczne życzenia miłości, nadziei i pokoju ducha, natomiast państwu polskiemu – konsekwencji w przeprowadzaniu i obronie ustrojowych reform, które – wierzę w to głęboko – w najbliższych latach doprowadzą do uchwalenia konstytucji na miarę naszej historii.

A poza tym uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony.

Wojciech Wencel

eprasa.pl 150ab1bc81

Florian Czarnyszewicz

DARIUSZ KARŁOWICZ

Kto książki Floriana Czarnyszewicza zna, niech mi ten felieton wybaczy. Do kategorii „nowości" sprawa się z pewnością nie nadaje. Kto z państwa jednak nie słyszał, niech notuje sobie to nazwisko w pamięci, bo odkrycie pisarza tego formatu to wydarzenie, które nie zdarza się co dzień.

Urodzony w 1900 r. debiutuje bardzo późno, dopiero na emigracji. Ma 42 lata, kiedy ukazuje się jego arcydzieło „Nadberezyńcy" – książka opowiadająca dzieje zaściankowej szlachty z okolic Bobrujska (na dzisiejszej Białorusi), wielowątkowa, gęsta jak nadberezyński bór, historia Polaków mieszkających między Berezyną a Dnieprem, powieść o ludziach zmagających się z surową przyrodą i szaleństwami okrutnej historii końca XIX i początków XX w.

Czarnyszewicz zostawił po sobie niewiele – cztery książki silnie naznaczone niełatwymi doświadczeniami autora. Pisane już w Argentynie są wspomnieniem utraconego i zdradzonego przez wszystkich świata. Historia opowiedziana niezwykłym, śpiewnym, jakby polsko-białoruskim językiem, zrazu trudnym, ale już po kilku stronach przejmującym pełnię władzy nad czytelnikiem.

Wszystkie cztery tomy ukazały się w ostatnich kilku latach w Bibliotece Kresowej wydawnictwa LTW w opracowaniu i z posłowiem prof. Macieja Urbanowskiego, któremu należy się za tę robotę wielkie podziękowanie.

Niestety mimo tych wydań Czarnyszewicz do szerszej publiczności się nie przebił. I jest to dziwne nie tylko dlatego, że to po prostu znakomita proza, ale i dlatego, że zawsze przyjmowany był entuzjastycznie zarówno przez pisarzy, jak i krytyków.

Jego prozą zachwycali się tacy – swoją drogą bardzo odmienni autorzy – jak Jerzy Stempowski, Józef Czapski, Melchior Wańkowicz czy Wojciech Wencel. Czesław Miłosz pisał o narkotycznej sile „Nadberezyńców", która sprawiła, że kilkaset stron powieści przeczytał jednym tchem.

Tymczasem Czarnyszewicza nie ma ani w kulturze popularnej, ani na uniwersytecie. Jego książki nie weszły do kanonu, a wielu czytelników nigdy nawet o nim nie słyszało.

Oczywiście mamy tu znany problem z recepcją tzw. literatury emigracyjnej. Dotyczy to zwłaszcza tych autorów, których twórczość była za komuny niecenzuralna. No, a Czarnyszewicz z jego opowieściami o krwawym barbarzyństwie sowieckiej Rosji nie miał wówczas żadnych szans.

Ale na tym nie koniec. Myślę, że wielki problem z przyjęciem Czarnyszewicza bierze się z niezwykłej intensywności obecnego w tych powieściach katolicyzmu i patriotyzmu. Organiczny, a zarazem heroiczny katolicyzm, patriotyzm naraz żarliwy i tragiczny mają w sobie płomień, który nie mógł się podobać ani przed, ani po '89 r. Marzącej o nowoczesności III RP, która pąsowiała ze wstydu na samą myśl o polskiej formie, Czarnyszewicz podobać się nie mógł. A szkoda, bo gdyby ktoś chciał polskość zrozumieć, to z tych książek wziąć mógłby naprawdę wiele!

Miłosz, który się Czarnyszewiczem zachwycił i stawiał „Nadberezyńców" wyżej Reymonta, pisał, że w tej powieści są „Krzyżacy", „Potop" i „Pan Tadeusz" jednocześnie, że ci bohaterowie wprawdzie zubożeli od czasów Zagłoby i Soplicy, ale są przecież kolejnymi pokoleniami tych samych ludzi. To prawda. To opowieść o istnieniu upartym i heroicznym, o trwaniu, wierności i męstwie, ale opowieść ciemna, bez happy endu.

Przez nadberezyńskie zaścianki wiele razy przetaczał się walec historii. Ziemie przechodziły z rąk do rąk. Rosja, Niemcy, bolszewicy, Polacy, a na koniec znowu i na dobre bolszewicy. Po traktacie ryskim tereny za Berezyną ku rozpaczy mieszkających tam Polaków zostały w rękach Sowietów. To historia z tragiczną pointą. Na horyzoncie jest przecież tzw. operacja polska NKWD (1937–1938) – wielka, planowa eksterminacja, w której zamordowano ponad sto tysięcy Polaków. Operacja, która ostatecznie unicestwiła opisywany przez Czarnyszewicza świat. Czapski ma rację – „Nadberezyńcy" opisują Atlantydę. Jej blask i zagładę.



W 1924 r. Czarnyszewicz emigruje do Argentyny. Ale nie dostaje tam pracy w banku. Przez 30 lat pracuje fizycznie, w rzeźni. Ten wielki pisarz nie miał żadnego wykształcenia – skończył zaledwie cztery klasy.

Nieraz próbuję sobie wyobrazić spotkanie, do którego pewnie nigdy nie doszło, spotkanie Czarnyszewicza z autorem „Transatlantyku". Gombrowicz przyjechał do Argentyny trzy lata przed wydaniem „Nadberezyńców", a wyjechał rok przed śmiercią Czarnyszewicza. Mogli się spotkać gdzieś w Buenos Aires. Zresztą nawet jeśli nigdy się nie spotkali, to przecież ta rozmowa trwa. Długa, trudna, nieoczywista, czasem gwałtowna. Rozmowa o ojczyźnie, synczyźnie, zdradzie, wierności, wspólnocie, wolności i formie. Rozmowa w zasadzie nieprzekładalna na żaden język – całkowicie nieprzydatna dla ideologów.

65/1017/F



Zbigniew Bródka - Sochi 2014

Jesteśmy jedną drużyną

#białoczerwoni

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PYEONGCHANG2018

ORLEN — Sponsor Strategiczny

LOTTO — Sponsor Generalny

TAURON — Sponsor

4F — Sponsor Kolekcji Olimpijskiej

GRUPA LUXMED — Główny Partner Medyczny

LOT POLISH AIRLINES — Oficjalny Przewoźnik

Deloitte. COLUMNA MEDICA — Partnerzy PKOl

RZECZPOSPOLITA onet PRZEGLĄD SPORTOWY EUROSPORT — Partnerzy Medialni PKOl

eprasa.pl 150ab1bc81

Obronić ostatnią pozycję

PIOTR SKWIECIŃSKI

Polską zimną wojnę domową już jakiś czas temu przestałem przeżywać tak dramatycznie jak dotąd.

Nie, nie zmieniłem poglądów. Dalej uważam, że racje są podzielone. Nierówno, ale podzielone. Dalej sądzę, że chora wojna radykalizmów niszczy kraj na wszystkich możliwych płaszczyznach. I dalej smutkiem napełnia mnie obserwowanie, ile szans na skutek tego tracimy i jak na arenie międzynarodowej przez tę wojnę domową degraduje się potencjalnie silne państwo.

Przeżywam jednak to wszystko znacznie spokojniej. Dojrzałem do rezygnacji. Dotarło do mnie bowiem, że trudno się kopać z koniem.

Ten koń to Polacy, a w każdym razie zdecydowana większość tej ich części, którą obchodzą sprawy publiczne. Oni po prostu bardzo tego wszystkiego chcą. Chcą świadomie i nie ma się co łudzić, jakoby był to chwilowy fenomen. Bo przecież to, co przechodzimy, to nie jest żaden tam stan nowy; wprawdzie najgorszy paroksyzm polsko-polskiej nienawiści zaczął się dopiero dwa lata temu, ale startował już z wysokiego poziomu, na który wzbiliśmy się po Smoleńsku, wojna z „pierwszym PiS" też była nie od parady. A tak w ogóle to szlaki wytyczono już w początkach lat 90., kiedy stronnictwa oszołomów i chamów oraz zdrajców i złodziei zaczęły uprawiać swoją ulubioną zabawę we wzajemną moralną eksterminację.



Trzeba eksterminować jedną trzecią męskiej populacji kraju – mówił na początku hiszpańskiej wojny domowej adiutant generała Franco. Czy dziś w Polsce, po obu stronach barykady, jesteśmy daleko od podobnych konstatacji?

Skoro więc tego Polacy chcą, to mają to, czego chcą, i będą mieć logiczne oraz możliwe do przewidzenia tego rezultaty. Po prostu trzeba się z tym pogodzić.

„To, co się połamało, to się już nie sklei" – napisał swego czasu Jarosław Marek Rymkiewicz. Choć z Rymkiewiczem mi, łagodnie mówiąc, nie po drodze, to z tą akurat jego konstatacją nie mogę niestety się nie zgodzić. Nie sklei się, bo nikt tego nie chce. Próbować nawet nie warto. Próbujący tylko bez sensu wydatkują energię i nerwy.

„Ale co robić, przecież ta nienawiść nas zalewa?" – pytają niektórzy. Ano, rady na to po prostu nie ma.

Co nie znaczy, aby ci nieliczni, którzy w jakimś stopniu zdołali się ocalić przed pogrążeniem w szaleństwie, mieli popaść w bierność i pasywnie przyglądać się temu, w co osuwa się Polska. Wręcz przeciwnie. Tylko że należy stawiać sobie cele realistyczne, a to niestety w obecnej sytuacji znaczy minimalne.

Naprawdę minimalne. Takie, żebyśmy po prostu nie zaczęli się nawzajem naprawdę zabijać. „Trzeba eksterminować jedną trzecią męskiej populacji kraju" – mówił na początku hiszpańskiej wojny domowej adiutant generała Franco, kapitan Gonzalo de Aguilera. Czy naprawdę po obu stronach dzielących nas barykad jesteśmy dziś daleko od podobnych konstatacji?

Nie odbudujemy wspólnoty. Nie za naszego – czyli tych, którzy obecnie są w średnim wieku – życia. Ale możemy ciągłym wysiłkiem wstrzymywać kataklizm. Prowadzić, używając języka wojskowego, uparte walki opóźniające.

Z nadzieją na co?

Z nadzieją na ogólną zmianę czasów i kontekstów. Na to, że postępujące zmiany społeczeństw, w tym naszego, zaczną stopniowo tworzyć nowe podziały, oparte na innych pytaniach i innych interesach niż te, które wykreowały podziały obecne. I – co za tym idzie – z wolna, po trochu te ostatnie rozmywać. Nie unieważniać, ale powoli zmniejszać ich znaczenie.

No i przede wszystkim – z nadzieją na zmianę pokoleń. Bo polską wojnę domową najdramatyczniej przeżywają i najaktywniej prowadzą Polacy generacji starszych niż moja, mojej i tylko trochę od mojej młodszych. Ci, aktywnie przeżywający lata 80. i czynni w formacyjnej dla III RP „dekadzie sukcesu" lat 90.

Polacy zaś sporo młodsi, zwłaszcza ci mający dziś mniej niż 30 lat, są inni. Można mieć do nich sporo zastrzeżeń, zżymać się na wiele ich cech, ale jedna z nich napawa nadzieją. Nawet jeśli sytuują się oni po jednej ze stron polsko-polskiej barykady, to tego konfliktu – nie wszyscy spośród nich, ale w większości – nie przeżywają ani w połowie tak intensywnie jak ich dziadkowie, rodzice czy nawet młodsze rodzeństwo rodziców.

Musimy więc zacisnąć zęby i ze wszystkich sił starać się nie dopuścić do najgorszego. Z Polską będzie niedobrze, będą się dziać różne złe rzeczy. Polacy będą się obrażać i poniżać. Mścić i krzywdzić, zapewne na zmianę. Trudno, nic się na to nie poradzi. Zaciśnijmy zęby i brońmy naprawdę ostatniej pozycji. Żeby tylko powstrzymać najgorszy horror.

Żeby doczekać czasów, kiedy my – pokolenie dotknięte przez ducha nienawiści – szczęśliwie odejdziemy wreszcie na zasłużony śmietnik.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 150ab1bc81

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Ja, szowinista

Ledwie rozpoczynało się nowe tysiąclecie, a ja już zostałem postawiony przed poważną próbą. Parałem się wtedy urzędniczeniem w krakowskim magistracie. Pewnego dnia przyszła do mnie Teresa Starmach, działaczka podziemnej „Solidarności", i poprosiła, abym poprowadził konferencję z udziałem „gości z Lipska". Zgodziłem się... Tak uczyniłem pierwszy krok w przepaść, którą dzisiejsze Pasionarie Ibarruri zwą „męskim szowinizmem".



Witold Gadowski

Niewinnie brzmiąca „delegacja z Lipska" składała się z plutonu niewiast wyglądających jak rajtarzy, który dopiero co zeszli z pola bitwy. Oblicza marsowe, wzrok przeszywający, wszelkie przejawy tego, co ofiarowała im Matka Natura, starannie zasłonięte. Feministki z Lipska przyjechały do Krakowa, aby przeprowadzić konferencję „Rola agresywnego samca w dziejach". Zasiadłem, aby to niecodzienne wydarzenie poprowadzić. Słuchając potoku złorzeczeń pod adresem męskiej połowy ludzkości, zastanawiałem się, kto wyrządził taką krzywdę lipskiemu oddziałowi babonów.

Od tamtej pory gnębi mnie przeświadczenie, że współczesne kobiety robione są na perłowo przez cwaniaczków, którzy na tumanieniu rodzaju żeńskiego zbili już fortunę. Rzecz bowiem w tym, by najpierw wmówić niewiastom, że są uciskane, a potem powołać ruch wyzwolenia kobiet. Jak wiadomo, kobiety poświęcają się sprawom ważniejszym niż polityka, nie mają zatem zbyt wiele czasu na analizę kierowanej w ich stronę propagandy. Wiele z nich uwierzyło zatem, że muszą być wyzwalane. Z reguły tym „wyzwalaniem" trudnią się lewicowe typki. Od czego cwaniaczki chcą kobiety wyzwalać? No od kobiecości, od porodów, wychowania dzieci, od tworzenia domu, dzięki czemu może funkcjonować rodzina, etc. Po prostu odkąd bolszewicy zauważyli, że kobiety bywają bardziej gorącymi dewotkami marksizmu niż sam Lenin i Trocki, trwa galop imbecylizmów, które niewiastom mieszają w głowach ku utrapieniu normalnej (jeszcze) ludzkości.

Czytając to wszystko, już wiecie, jak nazwać autora: przecież to męski szowinista. Zastanówcie się jednak: jak najskuteczniej rozwalić klasyczną rodzinę, jak sprowadzić wojnę pod strzechy? Wystarczy napuścić robaków pod damskie ondulacje i już mamy wojnę nie do wygrania, rodziny targają się jak niepotrzebny papier, mężczyźni flaczeją, a flaki te feminozy przestają szanować, i dalejże jeździć im po głowach. W tym szaleństwie jest metoda – gdzie diabeł nie może, tam... Nadzieja zatem w ludziach (płci obojga), którym te „wyzwolicielskie" kocopoły nie narobiły jeszcze miazgi w mózgownicach. Bracia szowiniści, nie wszystko stracone!

Zdrowia, szczęścia i... rozumu

Tradycyjnie w Nowym Roku życzymy sobie zdrowia i szczęścia. O pierwszym z nich pisał i Rej, i Mickiewicz („Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił..."). O szczęściu błyskotliwie napomknął Napoleon; wszak to właśnie na wojnie wielu młodych, silnych i zdrowych pechowców znienacka traci życie... Jednak swoistym faux pas byłoby życzenie komukolwiek rozsądku i rozumu. Dlaczego akurat mądrość – niezbędna dla większości naszych trafnych decyzji i wyborów – jest wstydliwie pomijana w noworocznych powinszowaniach? Przecież przysłowie „Mądry Polak po szkodzie" lub równie popularna złota myśl Jana Kochanowskiego: „Polak [...] przed szkodą i po szkodzie głupi!" wyraźnie sugerują nam kierowanie się w życiu codziennym wiedzą i doświadczeniem. Dlatego namawiam do zapoznawania się z przekazami informacyjnymi z obu stron barykady (wiem, że to trudne!) i wyciągania obiektywnych wniosków. Nie poddawajmy się wyłącznie emocjom. Brutalizacja życia i podpalanie Polski są efektem bezmyślnej, totalnej walki opozycji z legalnie wybraną władzą. Z drugiej strony rządzącym też trzeba patrzeć na ręce; nic tak nie deprawuje ludzi jak władza absolutna.



Lech Makowiecki

Tematów do aktualnych przemyśleń (na wagę naszego przetrwania) nie zbraknie. Czy błędna polityka migracyjna to głupota, a może już spisek? Czy nasze sojusze są wiarygodne? Inwestować we własną armię czy w unijne siły zbrojne? Trzymać z UE czy też z Amerykanami? I jak w porę wycofać się z niekorzystnej współpracy?

PS Gdybyśmy kierowali się wyrachowaniem, to podpisując umowę okrągłego stołu, sukcesywnie odsuwalibyśmy komunę od władzy; pakty pod przymusem i ze zdrajcami narodu nie obowiązują! Zamiast odpowiadać na bezsensowne napaści „elyt" Rady Europejskiej, powinniśmy edukować (na unijnym forum, medialnie, w internecie, wszędzie) społeczeństwa Zachodu, które nie znają z autopsji komunistycznych zagrożeń.

Pora myśleć i robić swoje! Czas działa na korzyść rozumnych posunięć.

eprasa.pl 150ab1bc81

PRZEZ ŚWIETLIK

W stary rok

Inteligentny postkomunista, publicysta Janusz Rolicki przechwalał się kiedyś nieustannie, że to on jako jedyny przewidział, iż po 2005 r. nie dojdzie do koalicji PiS z PO. Wywróżył również, że ta pierwsza partia będzie musiała się dogadywać z Platformą, co na dobre jej nie wyjdzie. Kierowałem wtedy działem publicystycznym w dzienniku „Fakt", który był całkiem inny niż dzisiaj, główną gwiazdą działu był Maciej Rybiński, a i pan Janusz pisywał tam swoje felietony. Przy okazji owej twórczości nieustannie podkreślał swój geniusz profetyczny.



Czasem zastanawiałem się nad tym i innymi przypadkami udanych i nieudanych przepowiedni politycznych. Dochodzę do wniosku, że rację ma noblista Daniel Kahneman, który jeden z rozdziałów swojej książki „Pułapki myślenia" poświęcił prognozom politologów i rozmaitych analityków. Kahneman dochodzi do wniosku, że w przypadku ekonomii i polityki w dłuższej perspektywie liczba rozmaitych niemożliwych do przewidzenia czynników jest tak wielka, że nawet geniusz z tą ilością niewiadomych nie ma szans. Może co najwyżej strzelać. A jeśli trafi, to jak Janusz Rolicki albo facet, który w kasynie właśnie obstawił zero na ruletce, trafił i triumfalnie stwierdza: „A widzicie, durnie, wiedziałem, że tak będzie!".

Fatalne i całkowicie błędne prognozy dotyczące przyszłości świata stawiali Samuel Huntington, Francis Fukuyama i Zbigniew Brzeziński. Trzej najwięksi szamani politologii końca XX w. Pierwszy wierzył, że za pomocą tzw. petrodolarów da się budować demokrację. Drugi, że liberalna demokracja będzie już wszędzie do końca świata. Trzeci nie wierzył w upadek komunizmu i bagatelizował islamizm. Każdy z nich po prostu źle postawił, grając w ruletkę. Nie dość tego. Każdy był przekonany jak nałogowy hazardzista, że zna system, wie, które numerki i kolory wypadną.

Niekiedy obstawiają w ten sposób też bardzo mądrzy ludzie. A niekiedy po prostu nie wierzą, że coś się zmieni, uważają, że otoczenie takie, jakie jest, będzie zawsze. Nic się nie zmieni, bo przyszłości nie widać przecież, a teraźniejszość widać czasem aż za dobrze. Myślę, że taką osobą był facet, na którego publicystyce w dużym stopniu się wychowywałem – Stefan Kisielewski. Chyba jako ostatni człowiek w Polsce uwierzył, że komunizm naprawdę może upaść. Już po jego upadku Kisiel niezwykle narzekał na to, że ludzie zapomnieli o swoich zmarłych, ba, uważał, że to wręcz część kultury europejskiej, świadczącej zresztą o jej barbarzyństwie i zacofaniu w stosunku choćby do Chińczyków, oddających hołd niezliczonym szeregom przodków.

„Dziś jest ważne, jutro jeszcze ważniejsze, ale nie uda się nam uciec w przyszłość od wyrównania rachunków z przeszłością"

Czasem zdarzało mi się przytaczać ten tekst Kisiela, czy to pisząc o klinikach aborcyjnych w Zurichu, czy o naszych studentkach mówiących w sondzie telewizyjnej, że stan wojenny to dla nich coś tak odległego, jak państwo Mieszka I. Czy wreszcie pisząc o samych Chińczykach porzucających swoją kulturę na rzecz plastikowej papki. Trochę tak, jak zrobiła to kiedyś część Niemców, a potem Polaków. Ale przede wszystkim ta diagnoza idealnie pasowała do Polski sprzed kilku lat, bezmyślnie plotącej o przyszłości, wstydzącej się przeszłości, takiej, w której zdjęcie dziadka w mundurze legionisty na ścianie było wiochą, zaściankiem. Można było się obawiać, że rzeczywiście tak będzie zawsze i Stefan Kisielewski przewidział, zaklął już nas na wieki.

I co mamy dziś? Koszulki z Żołnierzami Wyklętymi, pobudzające serca i wyobraźnię młodych ekshumacje, ale też ogromne zainteresowanie własną genealogią, losami przodków, ich postawami, życiem. Boom literatury i filmu historycznego, renesans kuchni staropolskiej (nawet jak ma niewiele wspólnego), grupy rekonstrukcyjne na każdym kroku, modę na wydobywanie starych ubiorów. „Dziś jest ważne, jutro jeszcze ważniejsze, ale nie uda się nam uciec w przyszłość od wyrównania rachunków z przeszłością. Na podbój życia iść trzeba w zgodzie z umarłymi" – pisał Kisiel. No to idziemy.

Wiktor Świetlik
Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

eprasa.pl 150ab1bc81

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Moje arcydzieło





Aleksander Nalaskowski

Zaraz kolejny rok. Zatem Czytelnikom należą się życzenia od stałego felietonisty „Sieci". Bo jakże mógłbym zapomnieć. Życzenia są rysunkowe. To prawdziwe arcydzieło godne samego Stasia Wyspiańskiego. Rysowałem sam. A gdy już dzieło skończyłem, to kartkę zwinąłem w rulon, przewiązałem sznurkiem i posłałem do redakcji. Redakcja jednak uznała, że mój obrazek zbytnio podnosi poprzeczkę dotychczasowego poziomu graficznego tygodnika i pozwoliła jedynie na opublikowanie go w formie, w jakiej przesłałem, czyli w formie rulonu.

Co jest na rysunku? Otóż są tam Wasi znajomi. Tylko ci, których lubicie. Wasi koledzy z dzieciństwa, młodości, z pracy, z wczasów, wasze koleżanki, bohaterowie wspomnień. Wasi przyjaciele. Jeśli tylko ich macie. Nadzwyczaj udane konterfekty. Wszyscy przyjechali do Was. Do każdego, rzecz jasna, inni. Bo w każdym egzemplarzu „Sieci" rulon zawiera inny rysunek. Absolutnie spójny z indywidualnym odbiorcą.

Otóż ci znajomi przyszli Wam złożyć noworoczne życzenia. I robią to tak szczerze, że życzenia się z całą pewnością spełnią. Te życzenia zresztą u spodu wykaligrafowałem. Każdy bowiem mi je wyjawił. Widzicie? Cóż za litery, a jaka linia i staranność, prawda? Zatem komu trzeba, życzyłem powrotu do zdrowia, a komu trzeba, powrotu męża z saksów, a kto życzy sobie potomka, to mu właśnie tego życzę, a kto profesury – proszę bardzo. Kto chce w nadchodzącym roku podróżować, niechaj już się pakuje, a kto pragnie szampańskiej zabawy – może już wzuwać lakierki. A kto marzy, marzy, marzy, to temu marzenia niechaj się spełniają, spełniają, spełniają... Wasi znajomi i ja tego wszystkiego Wam życzymy.

A na wierzchu rulonu, niestety od tej strony, której nie widzicie, napisałem: „Trzymaj się, moja Polsko". I wiem, że w tych życzeniach wszyscy jesteśmy zgodni. Błogosławionego roku 2018!



Z ogromnym smutkiem przyjąłem wiadomość o nagłej śmierci

JANUSZA DOMINIKA

Kierownika Zespołu Obsługi Transportowej w Ministerstwie Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej

Wyrazy szczerego współczucia
oraz słowa wsparcia w tych trudnych chwilach
Rodzinie i Najbliższym

składa

Marek Gróbarczyk
Minister Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej
wraz ze współpracownikami

40/1217/F

Fot. shutterstock

eprasa.pl 150ab1bc81

ROBERT MAZUREK

Konstrukcja cepa

Zawsze byłeś taki? Nie, kiedyś byłem mały. No ale czy zawsze miałeś takie poglądy? No co ty?!

To było streszczenie półtoragodzinnego wywiadu, jakiego moja osoba udzieliła pewnej młodej dziennikarce. Najpierw udzieliłem, a później się zadumałem, choć zapewne powinienem zrobić to w kolejności odwrotnej. Dla mnie bowiem oczywistością – by nie nadużywać oczywistej oczywistości – jest, że człowiek zmienia poglądy. I to nie dlatego, że tylko krowa nie zmienia. Nie, po prostu zmienia się świat, my nabywamy mądrości/durniejemy (ocenę zostawmy reszcie ludzkości) i modyfikujemy owe poglądy.

Ja po prostu zmianę poglądów – i akurat nie mam teraz na myśli polityki ani siebie – uważam za normę, ba, za oznakę myślenia

No bo skąd się one, te poglądy, w nas biorą? Albo we mnie? Gdyby popytać hejterów, wszystko bierze się z kredytu we frankach, który jest praprzyczyną i właściwą motywacją wszystkich mych zachowań. O ile woda ma to do siebie, że się gromadzi i spływa, o tyle kredyt ma do siebie to, że wymaga spłaty. Taki więc Mazurek – właściwiej byłoby tu pisać „mazurek" jako określenie całkiem pokaźnej grupy – no więc taki mazurek to wie i kombinuje. I się przytula, i ogonem merda, i służy wiernie temu, który mu pozwoli go spłacić. Menda z niego śliska, ot co.



No dobra, ale załóżmy, że taki mazurek jakoś sobie z kredytem radę daje albo go w ogóle nie ma. Nie wiem jak u reszty PT Ludzkości, ale u mnie najnormalniej w świecie poglądy biorą się z lektur i spotkania z ludźmi. Dam dwa przykłady. Przyjaźń z Jankiem Kelusem, przyjaźń, którą się szczycę, a właściwie długie rozmowy z nim i z jego żoną kazały mnie zrewidować moje liberalne sympatie gospodarcze. Nie, żebym został socjalistą, ale nabrałem tylu wątpliwości, że mam w głowie skuteczny kociokwik. I dobrze mnie z tym, bo wątpliwości nie mają tylko geniusze i durnie, a bardzo trudno jednego od drugiego odróżnić.

Zasadniczo wszystkich ultraliberałów zapraszam do Kelusa i na wycieczkę poglądową po Mazurach, tudzież po PGR-owskich Ziemiach Odzyskanych. A jeśli za daleko, to do Centrum Zdrowia Dziecka na pogaduszki z rodzicami, którzy opowiedzą, jak wygląda życie prawdziwe, nie to z TVN-owskich seriali czy czytanek Korwin-Mikkego.

Przykład drugi, przyjaźń druga – Szewach Weiss. Nie, Szewach nie musiał mnie leczyć z antysemityzmu, ale znajomość z nim zasiała we mnie bardzo żywe zainteresowanie Izraelem z jednej i historią polskich Żydów z drugiej strony. To naprawdę człowieka zmienia. O ile to drugie każe po prostu inaczej patrzeć na polskie dziedzictwo i dostrzegać w nim także ten element, o tyle wyjazdy do Izraela pokazują świat w innym świetle. To stąd wzięło się moje mocne przekonanie, że trzeba mocno postawić na edukację. I to stąd wzięło się moje pozbawione romantycznych złudzeń spojrzenie na politykę zagraniczną.

Jednych zmienia rodzicielstwo i rzeczywiście sam znam kilka kobiet, które po latach, także na skutek swych doświadczeń, radykalnie zmieniły zdanie na temat aborcji. Mnie na ten przykład zmieniają również podróże. Doświadczenie Afryki jest czymś tak mocnym, że każe zadawać sobie pytania we wszystkich dziedzinach życia – od geopolityki po własną hierarchię rzeczy ważnych i źródła szczęścia w życiu.

Piszę to wszystko z niejakim zawstydzeniem, bo wydaje mnie się to oczywistością. No ale nią nie jest, wszak tylekroć słyszałem: „Zmieniłeś poglądy" jako zarzut, często zresztą od ludzi, którzy sami je zmienili i będąc wcześniej konformistycznymi wyznawcami historycznych konieczności, teraz stali się hunwejbinami nowej władzy. Mógłbym wzruszyć ramionami i wyśmiać tupet gości, których teksty albo milczenie mam żywo w pamięci, ale nie w tym rzecz.

Ja po prostu zmianę poglądów – i akurat nie mam teraz na myśli polityki ani siebie – uważam za normę, ba, za oznakę myślenia. Czego sobie i państwu w nowym roku życzę, amen.

robert.mazurek@hotmail.com

Fot. Andrzej Wiktor

Udane święta sędziów



Jerzy Jachowicz

Najbardziej lubię rozmowy pełne miłości. Między kochankami. Słychać w ich głosach tajemnicę i pożądanie. Czasami małżonkowie mówią do siebie czule. Z oddaniem i wzajemną troską. Zwykle już tacy starsi. Co po burzach i cierpieniach trwają z sobą.

Te przypadkowo podsłuchane rozmowy to produkt uboczny najnowocześniejszych technologii. Rodzaj ironii postępu cywilizacyjnego. Dzięki nim nasze życie staje się coraz bogatsze, ale zarazem w coraz większym stopniu dostępne innym. Odzierane z intymności. Telefony komórkowe mają w tym swój pokaźny udział.

W tym roku wykonałem mnóstwo przypadkowych połączeń, które sprowokowałem własną ignorancją w obsłudze tego subtelnego na dotyk osiągnięcia ludzkiego umysłu. Wiele takich połączeń też sam odbieram. Na szczęście spokojnie. Być może dlatego, iż jestem już w tym wieku, że kiedy słyszę w słuchawce: „Tu zakład pogrzebowy", nie mam pewności, czy to tylko pomyłka.

Teraz święta, słyszę więc wiele wzruszających życzeń oraz doraźnych rozmów związanych z prezentami, zaproszeniami i planami świątecznymi.

Uległem tej świątecznej, pogodnej atmosferze pełnej wzajemnej życzliwości. Postanowiłem zadzwonić do znajomego, gdy zaraz po wybraniu jego numeru usłyszałem tajemniczą rozmowę.

– Co to za sprawa? – pytała jakaś kobieta.

– Pani sędzio, pani prezes, nieprzyjemna. Dlatego dzwonię. Prokuratura umorzyła oskarżenie opozycji, że dwie ustawy z grudnia zeszłego roku, budżetowa i dezubekizacyjna, uchwalone w Sali Kolumnowej są nielegalne. Platforma zaskarżyła decyzję prokuratury. Musimy coś z tym zrobić. Zbliża się termin – usłyszałem miły baryton.

– Jeszcze przed świętami, rozumiem. Czy tak?

– Właśnie. Co robić? Wisi nad nami ta cholerna reforma. Prezydent raczej podpisze. Pani prezes wie najlepiej, w jak trudnej sytuacji jesteśmy.

– Panie przewodniczący, więcej opanowania. Nie damy skrzywdzić naszych sojuszników. Ma pan tam u siebie takiego sędziego... Chyba Tuleya czy coś podobnego. Wysłałam go do was rok temu. Dajcie jemu sprawę. On zrobi wszystko, żebyśmy mieli udane święta.

CO MNIE ZASTANAWIA

Czarny czwartek



Katarzyna Łaniewska

Chciałam napisać o pięknych grudniowych rodzinnych świętach Bożego Narodzenia, podczas których dzieciątko Boże podnosi rękę i błogosławi ojczyźnie miłej, ale...

Obejrzałam w telewizji publicznej (nie pierwszy raz) wielki, prawdziwy i jakże tragiczny film Antoniego Krauzego „Czarny czwartek". Wspomnienia wróciły do grudnia 1970 r. i 13 grudnia 1981 r. Ja to przeżyłam. Ze stanu wojennego pamiętam doskonale dzień po dniu, co się działo. W jakże innej Polsce dzisiaj żyjemy! Jak wielką przeszliśmy drogę. Żyjemy w wolnej, bezpiecznej, powstałej z kolan ojczyźnie. Z kolei co kieruje tymi ludźmi, którzy udzielają wywiadów i wypisują na portalach w internecie, że czują się strasznie zagrożeni i przerażeni, kiedy się budzą? Mówią, że to gorsze czasy niż w stanie wojennym. Nie mogę się nadziwić, że nie są to ludzie pokroju Mazguły, który twierdzi, że w stanie wojennym nic złego się nie działo, były ścieżki zdrowia, ale kulturalne.

Tak piszą ludzie kultury. Wielcy, utalentowani, wspaniali moi koledzy. Nie było dyshonorem granie – zresztą znakomicie, i wspaniale, że to zrobili – postaci z biura politycznego w „Czarnym czwartku". Ale dyshonorem u tego samego reżysera było podjąć się roli szlachetnego prezydenta Rzeczypospolitej, który zginął w katastrofie smoleńskiej – świętej pamięci prof. Lecha Kaczyńskiego? Czy oni się nie wstydzą, że stoją i podskakują w organizacjach szukających demokracji w Polsce? Czy teraz ktoś zabija licealistów i morduje księży? Zamyka ludzi tysiącami?

To są wspaniali i chyba wrażliwi aktorzy? Dlaczego tak robią? Chciałabym to zrozumieć. Krysiu, przecież to Ty śpiewałaś balladę o Janku Wiśniewskim, który padł. I co teraz, nie wstyd Ci? O czym Ty piszesz, co Cię do tego skłania? Chciałabym to zrozumieć.

I modlę się, żeby to dzieciątko Boże, które wyciąga rękę, przetarło Wam oczy zaropiałe nienawiścią.

eprasa.pl 150ab1bc81





Przeczytaj wSIECI HISTORII

Naród polski do zlokalizowania nie jest raczej koło Kijowa czy nawet na tzw. Kresach, ale jest jak najbardziej na Opolszczyźnie, na Śląsku i na Pomorzu – *z prof. Andrzejem Nowakiem rozmawia Jan Żaryn*

Polskie Państwo Podziemne z okresu II wojny światowej było zjawiskiem unikatowym, ale niekoniecznie oryginalnym. Przy jego tworzeniu odwoływano się do pomysłu na „Tajemną Polskę" z czasu powstania styczniowego – *pisze Wojciech Lada*

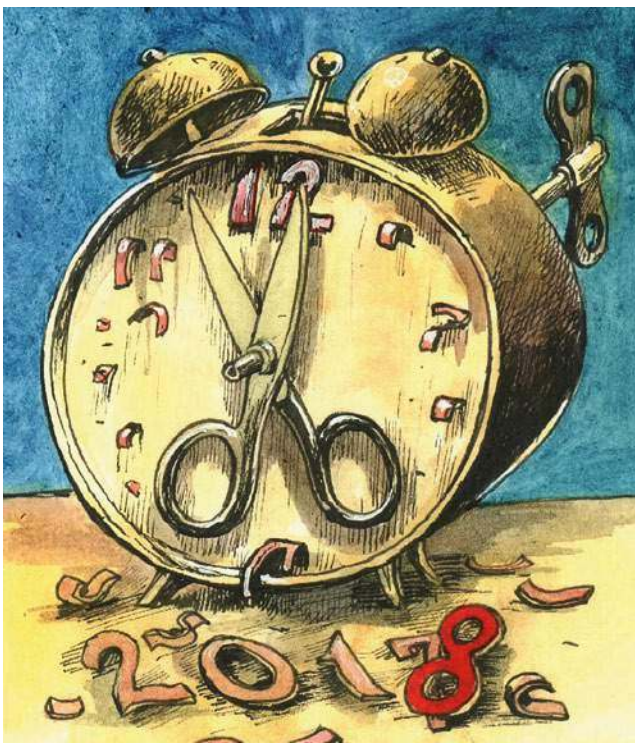
Rząd Mazowieckiego miał szansę przejść do historii jako gabinet dokonujący zerwania z peerelowską przeszłością. Czy ją wykorzystał? – *pyta Przemysław Waingertner*

Po 13 grudnia 1981 r. „Solidarność" rozpoczęła falę druków konspiracyjnych. Pokoleniowa zdolność konspiry doprowadziła do pojawienia się pism nieocenzurowanych. Wiele prac drugiego obiegu traktowało o Piłsudskim – *pisze Adam S. Lewandowski*

Wigilijna bitwa pod Łowczówkiem zamyka szczęśliwą siódemkę działań legionowych z 1914 r. Rosjanie zostali powstrzymani – *przypomina Krzysztof Jabłonka*

eprasa.pl 150ab1bc81

Zawistowski prezentuje: Czas



Wycinki z przeszłości

Ta urocza dziewczynka przy starym zegarze zdobiła okładkę noworocznego wydania tygodnika „Światowid" z 2 stycznia 1937 r. A co opisywano wewnątrz?

„20 grudnia odbyła się we Lwowie w Hali Warsztatów Głównych Miejskich Kolei Elektrycznych gwiazdka dla najbiedniejszych dzieci. Licznie zgromadzona dziatwa z zachwytem wysłuchała produkcyj wokalno-muzycznych i suto obdarowanych wróciła zadowolona do domów, wdzięczna za tak piękną imprezę.

* * *

W majątku p. Jana Koźmiana w Wierzchowicach (w powiecie lubelskim) odbyło się polowanie na dziki, na którem padło 28 sztuk tych zwierząt. W polowaniu wzięło udział szereg osób ze sfer ziemiańskich.

* * *

Wzorem lat ubiegłych wprowadzona została na linii Warszawa–Zakopane i Warszawa–Rabka dogodna komunikacja lotniczo-kolejowa. Samoloty odlatują z Warszawy w soboty i dnie przedświąteczne o godz. 14-tej i przybywają do Krakowa o godz. 15.05. W Krakowie pasażerowie przewożeni są na dworzec kolejowy i odjeżdżają torpedą o godz. 15.45, która przybywa do Rabki o godz. 17.24, do Zakopanego o godz. 18.46. Cena biletu do Rabki wynosi 36 zł, do Zakopanego 46 zł".

(mk)



Do siego roku!



Leszek Długosz

Na ten Nowy Rok (SMS)

W przestworzach zawierucha
Świat się z nieba oprósza...
– Jeszcze się nie zawierusza
Na progu, na belce Nowego Roku
Dusza...
– Mocnej wiary, śmiałych lotów
Pięknych horyzontów
Mocnych, miłujących uwięzi na Ziemi!
Pod jemiołą
Całujcie się pod jemiołą
Ona cały rok w zieleni
– Zawsze wysoko
Zielona gwiazda pomyślności
W uplotach gałęzi
W morzu obłoków
To prawda – żyje na rachunek Innych
Ale czyż miłość nie żyje kosztem
Zdrowego rozsądku?
Całujcie się zwłaszcza pod jemiołą
Ona nie ma korzeni
– Ziemi nie dotyka

* * *

Zawiasy zimy skrzypią
Tygodni białych rząd
Wielbłądy – zaspy na horyzoncie
Kołuje stado wron...
A rzeka mrozem zaciągnięta
Głęboka sina żyła
Rysuje ciszy szklistą gałąź
I trzcinę doń przypina
W kwestii podróży wskazówka praktyczna
Nie przyjmują żadnego bagażu na tamtym świecie
Prócz tego, co dusza uniesie
A z tą Gwiazdką...
A z tą Gwiazdką na Niebie
Niech na Ziemi wszystko pojaśnieje
Najpiękniej się pomyli
– Chmury z górami, ludzie z aniołami
Wnuki z dziadkami, gruszki z jabłkami
Tryb warunkowy z oznajmującym
Marzenia lotne z twardymi faktami
Niech w furtkę serca podpowiedź zapuka serdeczna
Skuteczna
Kolęda z nagła sama niechaj się zanuci:
Chwała na wysokości
Na Ziemi pokój – w nas
Pomiędzy nami
Radości niechaj więcej się przysporzy
Czasami, choć czasami...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 150ab1bc81

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Milczenie w erze infozgiełku

Na nowy rok robimy postanowienia. Stawiamy sobie zadania. Planujemy. Nierzadko tylko na wzniosłych deklaracjach się kończy, ale nie podcinajmy skrzydeł.

A może w przyszłym roku nauczymy się milczeć? Tak, milczeć. Co by się stało, gdybyśmy ciszy dali dojść do głosu – codziennie, przez parę minut w ciągu dnia? Postanawiamy, że codziennie na parę minut robimy przerwę od internetu, tv, radia, rozmów i wszystkiego tego, co na okrągło nas bodźcuje. Robimy przerwę i dajemy sobie szansę...

Szansę na posłuchanie głosu z wewnątrz. Czyli głosu naszej ludzkiej natury.



Wielu nie cierpi ciszy. Zakładają słuchawki na uszy, bo potrzebują muzyki w tle, potrzebują, aby ktoś do nich mówił, inaczej czują się samotni

ROZKRZYCZANY SWOJSKI ŚWIAT

Ale po co zaglądać w głąb siebie? Na zewnątrz mamy wszystko, czego dusza zapragnie.

Jak bardzo przywykliśmy do gwaru dzisiejszego życia? Czyż nie chodzi o to, by było fajnie, intensywnie, ekscytująco, na maksa? Jeśli tak, to im więcej się dzieje, tym lepiej. Przecież życiu potrzebne jest tempo; coś, co nakręca. Gdy nic ekscytującego się nie dzieje, wpadamy w depresję.

Mamy oczekiwać tego, co niezwykłe, spektakularne. Cisza tu nie pasuje. Nie pasuje, bo budzi grozę? Wielu jej nie cierpi. Zakładają słuchawki na uszy, bo potrzebują muzyki w tle, potrzebują, aby ktoś do nich mówił, inaczej czują się... samotni.

A iluż mówi bez przerwy. Nawet jeśli nie używają głosu, to robią wpisy na fejsie, Twitterze, wysyłają esemesy. Internet dał nieograniczone (zdawałoby się) możliwości ekspresji poglądów i uczuć – od wzniosłych ekscytacji po ekstremalny gniew. Wszystko możemy powiedzieć, wyśpiewać, wykrzyczeć – tyle że stajemy się jak marionetki sterowane raz jednym, raz innym impulsem-sznurkiem z zewnątrz. Ciągła ekscytacja zawłaszczyła przestrzeń zadumy. I choć krzyczeć można do woli, to czy jest to głos z głębi duszy?

MOC MILCZENIA

Jak łatwo w zgiełku współczesnego świata roztrwonić duszę, dobitnie uzmysławia nam „Moc milczenia. Przeciw dyktaturze hałasu" – zapis rozmowy francuskiego dziennikarza Nicolasa Diata z gwinejskim kardynałem Robertem Sarahem.

Kardynał Sarah, przez papieża Benedykta XVI nazwany nauczycielem milczenia i modlitwy wewnętrznej, wystąpił w październiku tego roku w Senacie RP, w ramach międzynarodowego kongresu ruchu „Europa Christi". Zwrócił uwagę, że Zachód udzielając pomocy ekonomicznej krajom afrykańskim, jednocześnie narzuca ideologię gender i „elastyczne" podejście do kwestii małżeństwa oraz rodziny, sprzeczne z tradycją chrześcijańską, ale także z tradycją społeczności afrykańskich. Pomoc dostaniesz pod warunkiem zmiany tego, kim jesteś.

A my, ile poglądów i postaw bezrefleksyjnie przejmujemy jako swoje, ulegając otaczającemu nas infozgiełkowi? Na ile nasze przekonania dotyczące obyczajowości, moralności, estetyki, ale i preferencje polityczne to wynik mniej lub bardziej dojrzałych przemyśleń, efekt świadomej religijności, a na ile odruchowo przyswojony zlepek tego, co akurat jest nagłaśniane i modne w środowisku, którego częścią jesteśmy albo chcemy być?

Refleksja potrzebuje wyciszenia. Bez milczenia nie ma kontaktu z samym sobą. Nie chodzi tylko o zaprzestanie mówienia i słuchania zewnętrznego świata. Chodzi o coś więcej. Tropy znajdziemy już na okładce wspomnianej książki (nie jest lekturą łatwą): „Gdy jednak oderwiemy się od hałasu wokół nas i okiełznamy wewnętrzny zamęt, gdy przestaniemy lękać się ciszy, wówczas odetchniemy pełną piersią. Prawda i dobro nie krzyczą, czekają na odkrycie. Cisza zna pełnię sensu. Trzeba słuchać, żeby usłyszeć. Zamilknąć, aby wybrać słowo. Zatrzymać się, by znaleźć kierunek".

BEZ USPOKOJENIA...

...nie poznamy naszych prawdziwych pragnień, nie doznamy prawdziwej drugiej osoby (i też Boga; jak tym razem przeżyliśmy Boże Narodzenie?). Nie usłyszymy swego sumienia, o którym współczesny świat każe zapomnieć.

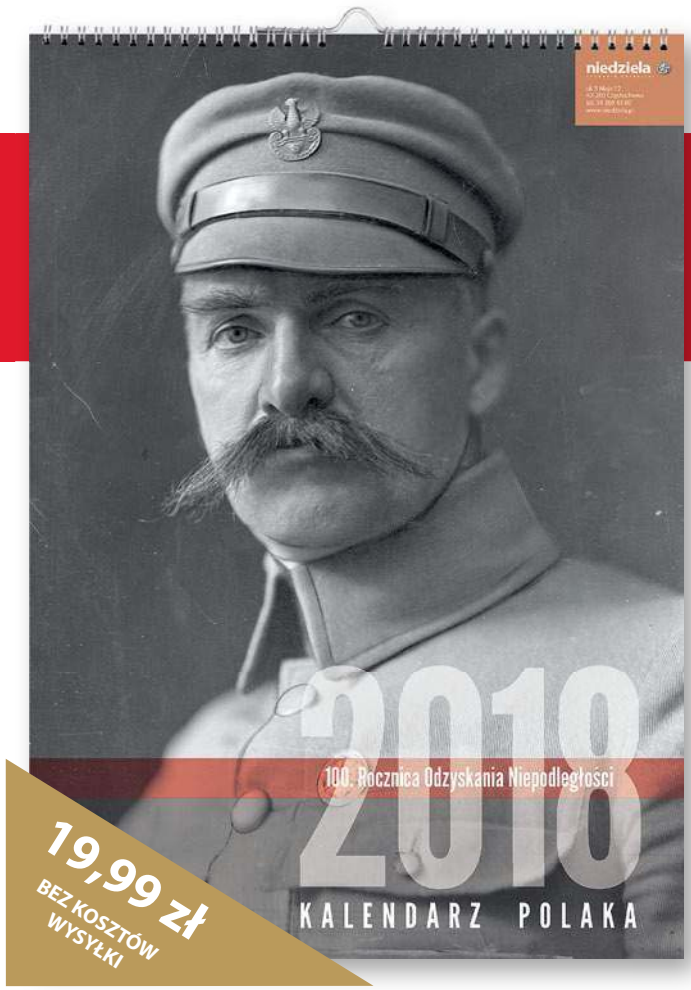
Zatem w nowym roku każdemu dniu spróbujmy „skraść" kilka chwil ciszy.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

43/1217/F | 37/717/F

eprasa.pl 150ab1bc81

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA



19,99 zł
BEZ KOSZTÓW WYSYŁKI

KALENDARZ POLAKA 2018

ŚWIĘTUJMY 100. ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI

W 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości oddajemy do rąk Czytelników kalendarz ukazujący ostatni etap trudnej drogi naszych przodków do upragnionej wolnej Ojczyzny. Początkowe 4 karty naszego kalendarza dotyczą akcji I Kompanii Kadrowej po wybuchu I wojny światowej w 1914 r., Legionów Polskich oraz Armii Polskiej we Francji, zwanej Błękitną, a kolejne idą po śladach wydarzeń roku jubileuszu – 1918 – od 1 stycznia aż po koniec grudnia. Dla większości Polaków to wydarzenia raczej słabo znane, zatem lepszej okazji do ich poznania niż 100. rocznica już nie będzie.

Przedstawione w kalendarzu fakty z historii są, rzecz jasna, tylko krótkim przypomnieniem najważniejszych zdarzeń bezpośrednio poprzedzających odzyskanie przez Polskę niepodległości. W walkę o wolność Rzeczypospolitej było zaangażowanych wielu Polaków.

W pokoleniu, które wywalczyło niepodległość, kluczową rolę odegrali Józef Piłsudski – spadkobierca tradycji insurekcyjnej oraz Roman Dmowski – lider Narodowej Demokracji. W 1918 r. Piłsudski i Dmowski zjednoczyli siły, aby wskrzesić Polskę na gruzach zaborczych monarchii.

S. B.

Kalendarz Polaka może stanowić cenną pomoc dla nauczycieli czy animatorów kultury w kraju i na emigracji – jako podpowiedź doboru treści na akademie rocznicowe z okazji 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Treść kalendarza to autorska synteza drogi do niepodległości w 1918 r.

ZAMÓWIENIA:
Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa
www.ksiegarnia.niedziela.pl
telefonicznie: **34 365 19 17, 34 369 43 00, 34 369 43 52** pocztą elektroniczną: **kolportaz@niedziela.pl**

eprasa.pl 150ab1bc81





N O W O Ś C I











EDYCJA
LIMITOWANA
100szt.



KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

W PEŁNI POLSKA PRODUKCJA

SKLEPY STACJONARNE
Warszawa:
Jagiellońska 69
Chmielna 7

Kraków:
Szewska 25

www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
22 290 66 55

RED IS BAD™

eprasa.pl 150ab1bc81